

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/122

1957



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

Zb. JORDAN: **ODWRÓT OD PAŹDZIERNIKA**

W. SUKIENNICKI :
REWOLUCJA ZAWCZASU ZAPOWIADANA

Cz. MIŁOSZ :
NA ZASADZIE MARTWEJ DOZY

SPIS RZECZY

Zbigniew Jordan :	<i>Odwrot od Października</i>	3
Wiktor Sukiennicki :	<i>Rewolucja zawczasu zapowiadana</i> ..	23



Zbigniew Grabowski	<i>Oblicze Szwecji</i>	61
--------------------	------------------------------	----



Florian Śmieja :	<i>Poezja arabsko-andaluzyjska</i> (prze- kłady)	79
------------------	---	----

SPRAWY I TROSKI

Wiktor Turek :	<i>Jeszcze o Polonii kanadyjskiej</i>	85
----------------	--	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Leon Kozłowski :	<i>Więzenie sowieckie</i> (3)	95
------------------	-------------------------------------	----

KRONIKA KULTURALNA

Andrzej Vincenz :	<i>Rzecz o polszczyźnie</i>	111
-------------------	-----------------------------------	-----

KSIAŻKI

Józef Czapski :	<i>O wyborze pism Rozanowa</i>	121
Czesław Miłosz :	<i>Na zasadzie martwej dozy</i>	128
Bolesław Taborski :	<i>Kolumbowie i ich Ameryki</i>	138
Maria Czapska :	<i>O Januszu Korczaku</i>	143
Marian Pankowski :	<i>Więzień bławatów</i>	149
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	151



L. Krzeszowski i J. Dobrzański, J. Jenne, Z. Michałowski, J. Nowak :	<i>Listy do Redakcji</i>	153
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień-December 1957

INSTITUT



LITERACKI

DO PRENUMERATOROW „KULTURY”

Mimo zwiększających się ciągle kosztów drukarni i papieru nie podwyższaliśmy ceny „Kultury” w ciągu bieżącego roku. Obecnie jednak jesteśmy do tego zmuszeni i zawiadamiamy naszych prenumeratorów i czytelników, że abonament „Kultury” na rok 1958 wynosić będzie:

WE FRANCJI: rocznie: frs 2200; — półrocznie frs 1100

Cena egzemplarza pojedynczego: frs 220

Cena egzemplarza podwójnego: „ 400

W ARGENTYNIE: rocznie: 270 peso; półrocznie 135 peso; kwartalnie 67,50 peso. Cena egzemplarza pojedynczego 22,50 p.

W krajach bloku szterlingowego i dolarowych ceny pozostają bez zmiany ze względu na automatyczną zwyżkę wskutek zmiany relacji.

PROSIMY WSZYSTKICH PRENUMERATÓW O ODNOWIENIE ABONAMENTU NA PRZYSZŁY ROK.



Następny numer „Kultury” — jak co roku — będzie numerem podwójnym za miesiące styczeń/luty 1958.

DALSZE WPLĄTY NA DOM „KULTURY”

Zbigniew Jordan, Monachium (Niemcy), ponownie 3.000 fr.

Stena Kałużniacka, Detroit, Mich. (USA), po raz trzeci 850 „

DZIEKUJEMY

Odwrót od Października

Przewrót październikowy stworzył *modus vivendi* między Partią a społeczeństwem. W przeciwieństwie do poprzedniego okresu, w którym Partię i społeczeństwo dzieliła nie do przebycia przepaść wzajemnej wrogości i przeciwstawnych dążeń, przewrót październikowy otworzył perspektywy ułożenia stosunków między nimi na zasadzie współpracy w osiągnięciu określonych wspólnych celów w dziedzinie kulturalnej, społecznej i gospodarczej. Problem stosunku Partii do społeczeństwa zajął centralne miejsce w życiu politycznym kraju, znajdował odbicie w fluktuacjach opinii publicznej i w rozwoju wydarzeń we wszystkich innych dziedzinach życia zbiorowego. Widzimy to dzisiaj jaśniej niż w minionych miesiącach w wyniku coraz wyraźniejszego zagrożenia warunków współpracy ich jednostronnym wypowiedzeniem przez kierownictwo Partii.

Problem stosunku Partii do społeczeństwa znalazł się na pierwszym miejscu wśród zagadnień o ogólnonarodowym znaczeniu w wyniku procesów jakie doprowadziły do przewrotu październikowego. W przeszłości problem ten nie istniał i istnieć nie mógł. Społeczeństwo widziało w Partii samodzielną bez tytułu prawnego i moralnego do władzy, sprawowaną dzięki poparciu obcego mocarstwa. Pozbawiona autorytetu i szacunku Partia rządziła krajem środkami przymusu i wzamian była traktowana przez społeczeństwa jako obce ciało w organizmie narodowym, przebrane w kostiumy narodowe i socjalistyczne zagranicznego wyrobu, by nazwać rzecz po imieniu — *made in the Soviet Union*. Nie było danych po temu, by wytworzyć się mogły kanały komunikacji między Partią a społeczeństwem.

Ten stan rzeczy ulegał powolnym przekształceniom w okresie przedpaździernikowym. Chociaż oficjalna polityka i praktyka Partii pozostała niezmieniona, najpierw jednostki, potem całe

grupy w Partii stanęły po stronie społeczeństwa i poparły jego dążenia do naprawy istniejącego stanu rzeczy. W różnych środowiskach w stolicy i na prowincji wyrosli ludzie, którzy posiadali legitymacje partyjne i uznanie społeczne za działalność, jakiej przewodzili. Dynamiki procesów przedpaździernikowych dostarczył podział na dwa przeciwstawne sobie obozy — zwolenników stalinizmu i totalitarnych metod rządzenia oraz wyznawców demokratycznych ideałów życia zbiorowego. Podział ten przechodził poprzez Partię i społeczeństwo. Albowiem w okresie przedpaździernikowym wielu członków Partii znalazło się po stronie wyznawców ideałów demokratycznych, a niektórzy przedstawiciele pozapartyjnych ośrodków społecznych opowiedzieli się całkowicie za stalinowskim odłamek Partii. Fakt, iż w obozie demokratycznym znalazła się znaczna liczba członków Partii stanowił sam w sobie uzasadnienie oczekiwań, iż ze zwycięstwa nad stalinowskim totalizmem Partia wyjdzie zreformowana w swej strukturze wewnętrznej i metodach rządzenia krajem. Te dwa aspekty działalności Partii są bowiem z sobą najściślej związane.

Partia o autokratycznej strukturze wewnętrznej, w stalinowskim lub leninowskim wydaniu, z natury rzeczy rządzić będzie również społeczeństwem w sposób autokratyczny i stawiać interes własny ponad dobro i wolę narodu. Natomiast partia, która w swej działalności wewnętrznej kieruje się zasadami demokratycznymi nie jest w stanie traktować społeczeństwa w sposób jaki określał stosunek feudalnych panów do poddanych. Z tej właśnie przyczyny październikowe zwycięstwo rewizjonistycznego skrzydła Partii budziło tyle nadziei, a sprawa demokratyzacji struktury partyjnej nabrała w oczach myślących kół opinii publicznej decydującego znaczenia dla dalszych losów kraju.

Problem stosunku Partii do społeczeństwa znalazł się w centrum uwagi publicznej również za sprawą Gomułki. *Gomułka nie jest twórcą przewrotu październikowego*. Nie układał on strategii wydarzeń, jakie do przewrotu doprowadziły, nie kierował nimi i nie stał na czele sił walczących na różnych odcinkach — w fabrykach, organizacjach partyjnych, na wyższych uczelniach, w publicystyce i prasie. *Gomułka nie był także ideologiem przewrotu*. Program Października wykuwał się w mrocznych latach powojennych w ludzkich sumieniach i umysłach, znalazł sformułowanie w słowie pisanym w miesiącach poprzedzających przewrót, był proklamowany w przemówieniach i rezolucjach podejmowanych na zebraniach publicznych ustami robotników, młodzieży, publicystów i pisarzy. *Gomułka znalazł program gotowy*, gdy fala rewolucyjna wyniosła go w październiku do władzy. Jego zasługą w tym okresie było utożsamienie się z siłami dokonującymi przewrotu, przyjęcie ich programu i obwieszczenie go jako własny. W ten sposób Gomułka zyskał powszechne poparcie społeczeństwa, jakim nie cieszył się w całej historii ruchu komunistycznego żaden komunistyczny przywódca. Stając się głosem społeczeństwa i rzecznikiem jego woli został uznany za przywódcę

cę narodu, a osiągając tę godność był w stanie oprzeć się zwycięsko naporowi przeważających sił zewnętrznych i ich popleczników w Partii. Społeczeństwo zaciągnęło dług u Gomułki i Gomułka zaciągnął dług u społeczeństwa. Bez poparcia społecznego Gomułka byłby tylko meteorem. Za sprawą Gomułki przewrót październikowy, narastający samoistnie i spontanicznie, stał się w decydującym momencie ruchem kierowanym, skupił się na określonych celach i te cele osiągał w sposób zdyscyplinowany i zorganizowany.

Stosunek między kierownictwem Partii a społeczeństwem, jaki ukształtował się w wyniku październikowego przewrotu, ma charakter niepisanej umowy. Określił to trafnie zespół „Tygodnika Powszechnego”, który jest uprawniony, by zabierać autorytatywnie głos w tej sprawie.

„W październiku Partia przeszła na stronę narodu, a naród przyznał Partii kierownictwo polityczne. Oczywiście nie bezwarunkowo — warunkiem jest realizacja październikowego programu. Przed Partią stoi teraz alternatywa; czy potrafi ten związek utrzymać, czy utraci zaufanie społeczeństwa” (*Tygodnik Powszechny* 5/57).

Powyższe sformułowanie wymaga uzupełnień, jakie znajdujemy w innych kontekstach oświadczenia zespołu „Tygodnika Powszechnego”. Pierwsze z nich dotyczy Partii. Kredyt udzielony Partii przez społeczeństwo w Październiku i potwierdzony w styczniowych wyborach dotyczy tych ludzi, którzy

„w październiku opowiedzieli się za linią reformy, oraz tych, którzy linię tę realizują. Natomiast (społeczeństwo) uznaje za swych przeciwników tych członków Partii, którzy pragnęliby cofnąć się do czasów panowania systemu stalinowskiego i antydemokratycznej dyktatury”.

Drugie ze wspomnianych uzupełnień łączy się z definicją warunków umowy między Partią a społeczeństwem. W poczuciu społeczeństwa warunki te zostały określone w mowie Gomułki na VIII Plenum i w uchwałach tego Plenum. Wśród nich demokratyzacja Partii figuruje na wysokim miejscu. Jest to jedyny punkt programu październikowego o wewnątrzpartyjnym charakterze, w którym społeczeństwo jest jednak żywotnie i prawnie zainteresowane. Albowiem bez demokratyzacji Partii nie może być mowy o demokratyzacji w żadnej innej dziedzinie zbiorowego życia. Demokratyzacja społeczna i gospodarcza jest zaś podstawowym punktem programu październikowego.

Umowa między Partią i społeczeństwem nie oznacza poparcia udzielonego przez społeczeństwo Partii lub Gomułce, lecz poparcie udzielone programowi reform, stanowiącemu punkt wyjścia stopniowego przekształcania stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych bez przymusu i ucisku zgodnie z aspiracjami społeczeństwa. Zaufanie pokładane pod tym względem w osobie Gomułki wywodzi się z postawy, jaką zajął wraz z re-

wizjonistycznym skrzydłem Partii w dniach październikowego przewrotu. Umowa między Partią a społeczeństwem ma charakter trwały pod warunkiem dochowania wierności dobrowolnie udzielonym zobowiązaniom. Dodać trzeba, iż jeśli chodzi o Partię

„trwałość układu zależy do dotrzymania przez Partię jej własnych uchwał” (*Tygodnik Powszechny*, 5/57).

POCZUCIE ZAGROŻENIA

W okresie dzielącym wybory i X Plenum KC PZPR miały miejsce fakty, które podwały w wątpliwość dobrą wolę kierownictwa Partii. Na pierwszym miejscu, w porządku chronologicznym, wymienić trzeba utrzymanie na wysokich stanowiskach w rządzie i państwie członków frakcji natolińskiej, obrońców totalistycznych metod rządzenia, ludzi znanych z pogardy dla woli społeczeństwa, spiskujących z obcym mocarstwem przeciw własnemu narodowi, propagatorów antysemityzmu i nienawiści rasowej. Decyzja ta zaskoczyła wszystkich, rzuciła cień na kierownictwo Partii i zachwiała zaufaniem do niego, dała początek dezorientacji w Partii i zaniepokojeniu w społeczeństwie. Udział frakcji natolińskiej w rządzie obudził nadzieję przeciwników programu październikowego w aparacie partyjnym, tak zwanych elementów konserwatywnych — żywotnie zainteresowanych w utrzymaniu dawnego systemu, z którego wywodzi się ich pozycja i prestiż społeczny — iż nic jeszcze nie jest stracone i rozgrywka nie jest rozstrzygnięta, jeżeli trwać będą w opozycji przeciw wszelkim zmianom. Następstwem tego stanu rzeczy był fakt, iż w wielu środowiskach prowincjonalnych program Października znany był tylko z nazwy, a reżym kacyków, bezprawie, korupcja i nadużywanie władzy było nadal rzeczywistością dnia codziennego. Z drugiej strony wzbudziło w społeczeństwie podejrzenia, iż w Partii bądź dalej toczy się walka, której losy są nadal niepewne, bądź udzielane są koncesje wrogom Października kosztem społeczeństwa i październikowego programu.

Stosunku Gomułki do frakcji natolińskiej opinia publiczna nie mogła bowiem traktować jako przemyślanej gry politycznej obliczonej na pozyskanie lub zneutralizowanie przeciwników październikowego programu w Partii. Ta gra, jeśli grała ona była, okazała się błędem, straty narastały z miesiąca na miesiąc bez żadnego widomego zysku. W sześć miesięcy po udzieleniu koncesji frakcja natolińska nie ustąpiła na jotę w swej wrogości do październikowego programu. Zamiast nadziei, iż w Partii znikną różnice, pisały „Nowe Drogi” (8/57, p. 64), „dochodzi do formułowania kontrpłaszczyzny (natolińskiej)... coraz szerzej i coraz obficie argumentowanej”. Gdy na IX Plenum frakcja natolińska przeszła do generalnej ofensywy na osiągnięcia Paź-

dziernika, KC PZPR uchwaliło rezolucję podjęcia „sankcji partyjnych aż do wykluczenia z szeregów partii” za robotę grupową i frakcyjną. Z rezolucji tej nie uczyniono jednak użytku, gdy już na konferencji warszawskiej, odbywającej się w kilka dni po IX Plenum, ponowiono próby „poderwania autorytetu kierownictwa i próby forsowania do składu KW frakcyjnie ustalonych kandydatów” (Nowe Drogi 8/57). Z dwuznacznego stanowiska, koncesji, niezrozumiałej pobłażliwości kierownictwa Partii w stosunku do frakcji natolińskiej społeczeństwo wyciągało własne wnioski. Narastała nieufność do kierownictwa Partii, a ten fakt psychologiczny kształtował atmosferę polityczną. Jej zasadniczym elementem była apatia i obojętność na sprawy publiczne, coraz bardziej rozpowszechniające się przekonanie, iż nie można liczyć na poprawę w rzeczach ważnych i mniej ważnych, ponieważ kierownictwo Partii nie liczy się z wolą społeczeństwa, dąży do własnych celów i nie zamierza wykonać programu październikowego.

Sprawa frakcji natolińskiej nie była jedyną przyczyną spadku reputacji kierownictwa Partii i zachwiania się pokładanego w nim zaufania. Przyczynił się do tego walenie obrażający poczucie prawa i sprawiedliwości sposób, w jaki Partia przekreśliła własną uchwałę wyrównania robotnikom zaległych roszczeń, unicestwienie dążeń młodzieży do stworzenia samorządowych organizacji, tłumienie inicjatyw społeczeństwa do organizowania się na zasadach dobrowolności i niezależności. Kierownictwo Partii zaznaczało swoje istnienie stawianiem rozlicznych przeszkód w działaniu zbiorowym i w zużytkowaniu energii i inicjatywy zbiorowości dla celów społecznej rekonstrukcji. Partia ciążyła nad społeczeństwem w formie zakazów, ograniczeń i przeszkód w tej dziedzinie życia społecznego, jaka leży poza sferą ingerencji państwa nie posiadającego intencji i ambicji do totalnej kontroli nad społeczeństwem. Zryw energii, wyzwolonej w dniach październikowego przełomu, nie tyle wypalił się słowiańskim słomianym ogniem, co został roztrwoniony i udaremniony, a jego miejsce zajęła nieunikniona frustracja, skutek niepowodzeń poniesionych przy wielkim nakładzie nadziei i psychicznego napięcia (1).

Rozdźwięk i wzrastająca nieufność społeczeństwa w stosunku do kierownictwa Partii (o innych przyczynach prócz wymienionych będzie jeszcze mowa) nie były tajemnicą dla bacznych obserwatorów życia politycznego w kraju. Pierwszy w dzwon alarmowy uderzył E. Osmańczyk występując gościnnie

(1) Rolę i znaczenie grup „nieformalnych” i organizacji dobrowolnych w normalnie rozwijającym się społeczeństwie omawiał J. Szczepański w „Przeglądzie Kulturalnym” (36/57). Do spraw tych powrócił w przemówieniu na zebraniu „Krzywego Koła”, drukowanym również w „Przeglądzie Kulturalnym” (44/57). Te świetne wypowiedzi rzucają wiele światła na przyczyny, które sprawiają, iż w życiu zbiorowym w kraju występuje tyle zjawisk patologicznych i szerzy się poczucie osiągnięcia jakiegoś martwego punktu w życiu zbiorowości.

w „Polityce” (29/57) z artykułem, który odbił się szerokim echem w całej polskiej prasie. Osmańczyk ostrzegał Partię, iż jej bezceremonialne metody realizowania kierowniczej roli w państwie oraz lekceważenie opinii i reakcji bezpartyjnego społeczeństwa obniżają autorytet kierownictwa Partii i wyrządzają poważne szkody sprawom ogólnym i publicznym. W tym samym duchu wystąpił Stanisław Stomma:

„Sztuka rządzenia Polską jest bardzo trudna. Ale naród jest taki, jaki jest i taki, jaki jest — trzeba ku dobremu prowadzić. Aby narodem skutecznie kierować, trzeba się z nim porozumieć. Porozumienie jest możliwe tylko na płaszczyźnie wartości ideowych, które naród rozumie i uznaje. Należą tu demokracja i wolność... Doświadczenia przeszłości wykazują, że pomimo najmocniejszego aparatu egzekucyjnego nie osiągnęły powodzenia rządy tych, którzy naród usilowali wtłoczyć w łożo Prokrusta, starali się rządzić nim w imię ideałów niezrozumiałych i obcych kierując ku celom z góry narzuconym. Warunkiem sukcesu jest porozumienie z narodem” (*Tygodnik Powszechny* 36/57).

W rocznicę październikowego przełomu, pomimo surowej i bezwzględnej cenzury, głos zaniepokojenia i alarmu wobec niebezpieczeństw zagrażających Państwu przemawiał donośnie z kart niektórych dzienników i tygodników. Wśród nich artykuł wstępny „Przeglądu Kulturalnego” (40/57) zasługuje na wyróżnienie, gdyż dotyka sedna omawianej sprawy. Bez ukształtowania „oblicza Partii w sposób, który odpowiadałby „zarówno jej celom, jak i potrzebom społeczeństwa”, pisał „Przegląd Kulturalny”, „więc Partii z masami może być łatwo narażona na naruszenie a nawet na zerwanie”.

Więć ta jest cenna nie tylko dla społeczeństwa. Dla Partii stanowi ona jej „być lub nie być”. Partia nie ma realnej siły politycznej, poniżej szczebla Komitetów Powiatowych po prostu przestała istnieć. Z grubsza rzecz biorąc Partia zredukowana została do aparatu partyjnego, liczącego kilkadziesiąt tysięcy osób w 27 milionowym narodzie. Próba sił ze społeczeństwem może, na długą metę, przynieść jedynie całkowitą porażkę. Złudny jest argument, iż sprawne użycie pałec przez milicję przeciw kobietom, studentom i strajkującym robotnikom świadczy o tym, iż rząd i kierownictwo Partii są silne gdyż posiadają sprawny aparat wykonawczy władzy. Największą siłą Partii jest dobrowolne poparcie i posłuch społeczeństwa, wynikające ze zrozumienia geopolitycznej sytuacji Polski w obecnym układzie stosunków w Europie i w świecie. Gomułka znał tę prawdę i do niej się odwołał w przeddzień wyborów (nazywając ją „absurdalną tezą” już na X Plenum).

Ostatecznym fundamentem władzy jest dobrowolna zgoda na nią, przyzwolenie rządzonych. Rzeczy te były jasne w Październiku. W rok później wygląda na to, iż ta podstawowa zdobycz Października idzie w niepamięć.

ZMIANA MODELU GOSPODARCZEGO

Taktyka ustępstw i koncesji kierownictwa Partii w stosunku do frakcji natolińskiej wzmocniła opór konserwatywnych elementów w aparacie partyjnym, państwowym i gospodarczym, w szczególności w zakresie spraw dotyczących gospodarki narodowej. Po przemówieniu Gomułki na VIII Plenum zmiany modelu w rolnictwie nastąpiły częściowo spontanicznie, częściowo przy współudziale kierownictwa Partii, które nie liczyło się z tak zwanymi „trudnościami rynkowymi”, usankcjonowało zmianę modelu i umocniło go szeregiem rozsądnych zarządzeń. Poprawa w produkcji rolnej była natychmiastowa i przekroczyła oczekiwania największych optymistów, nie wyłączając Czesława Bobrowskiego. Wydawać się mogło, iż ten szczęśliwy eksperyment zachęci do radykalnych zmian modelu w zakresie planowania i organizacji przemysłu. Nic podobnego jednak nie nastąpiło.

W maju br. Rada Ekonomiczna opublikowała tezy „W sprawie niektórych kierunków zmian modelu gospodarczego”, złożone uprzednio do aprobaty Radzie Ministrów. Wspomniane tezy stały się natychmiast przedmiotem ataków

„ze strony tych żywiołów, które każdy krok naprzód na drodze odnowy usiłują przedstawić jako „zdradę socjalizmu”. Próbowano oskarżyć tezy Rady Ekonomicznej o wszystkie grzechy główne — od nawrotu do kapitalizmu i anarcho-syndikalizmu poczynając a na powodowaniu wzrostu cen kończąc” (*Życie Gospodarcze* 32/57).

Powyższe ataki były już drugim aktem kampanii przeciw zmianom modelowym gospodarki narodowej, prowadzonej przez wyznawców „biurokratycznego centralizmu”. Akt pierwszy rozegrał się w Radzie Ekonomicznej, gdzie zasiadali oni z racji zajmowania wysokich stanowisk w administracji gospodarczej (A. Brzeski-S. Kurowski, *Po prostu* 25/57). Ich działalność nie była całkowicie bezskuteczna. Niemal trzy miesiące minęły zanim 30 lipca Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów uznał ogólny kierunek też za słuszny. Nie wiele to jednak pomogło, by sprawę zmian modelu gospodarczego posunąć naprzód. Przemówienie Gomułki na X Plenum nie zawiera już żadnych konstruktywnych gospodarczych propozycji i wieje od niego pod tym względem myślową pustką (z wyjątkiem spraw dotyczących budownictwa mieszkaniowego). Czy trzeba przypisać to faktowi, iż opracowując tezy dotyczące zmian modelu gospodarczego Rada Ekonomiczna nie brała pod uwagę doktrynalnych pod uwagę, lecz kierowała się realnymi potrzebami natury społecznej i gospodarczej? Nie doktrynalny, empiryczny charakter też Rady Ekonomicznej skłania do wniosku, iż ich realizacja jest nie do pomyślenia bez dalszego rozwoju demokratyzacji życia w kraju. Jeżeli to nie nastąpi, zdrowy rozsądek i względy ekonomiczne ponieść mogą klęskę.

Obecne szanse zwycięstwa rozsądku i względów ekonomicznych nie wyglądają pomyślnie. Przemawiając na posiedzeniu Sejmowej Komisji Planu Gospodarczego Prof. O. Lange, przewodniczący Rady Ekonomicznej, oświadczył między innymi:

„W opinii społeczeństwa występowało i mogło występować zjawisko pewnego zaniepokojenia zbyt powolnym procesem zmian dokonywanych w modelu gospodarki socjalistycznej, któremu to procesowi przeciwstawiano śmiałość założeń nowej polityki rolnej...

Zagadnienia przemysłu przedstawiają o wiele większą trudność, gdyż wymagają pozytywnych rozwiązań, wymagają wprowadzenia do przemysłu tego wszystkiego co nazywamy formami i nowymi metodami pracy. Ta kwestia przedstawiała — rzecz jasna — o wiele większą trudność i co do samej koncepcji i — co niemniej ważne — trudność polegającą na niezbędności przełamania wątpliwości ostrożnego lub nawet konserwatywnego stosunku do nowych form części aparatu gospodarczego” (*Trybuna Ludu* 23.10.57).

Podkreślając, iż „te trudności w zasadzie zostały przezwyciężone”, Prof. Lange poinformował Komisję Sejmową, iż pewne zmiany modelowe nastąpią przypuszczalnie w przyszłym roku, lecz najważniejsze z nich i podstawowe, od których w znacznym stopniu zależy powodzenie decentralizacji organizacji przemysłu, planowanej na 1958 rok (reforma cen i płac), „będzie mogła stanąć na porządku dziennym dopiero w 1959 roku”. Na łamach prasy partyjnej pojawia się znowu argument, iż przyspieszenie realizacji nowego modelu, lekkomyślnie propagowane przez „niektórych publicystów gospodarczych”, doprowadziłoby do „obniżenia realnego poziomu życia ludzi pracy”.

Ataki na projekt modelu gospodarczego wychodzą z założenia, iż obecny model żadnych zasadniczych zmian nie wymaga prócz usunięcia „wad” jakie do niego wprowadzono po przewrocie październikowym. „Są towarzysze”, pisały „Nowe Drogi” (10-11/57, p. 21), „którzy uważają, że wszystko było dobrze lub prawie dobrze przed Październikiem, że rady robotnicze i w ogóle socjalistyczna demokratyzacja Polski — to tylko niepotrzebny bałagan i ułatwienie roboty reakcji”. Tezy Rady Ekonomicznej wychodzą z odmiennego założenia. Są one wyrazem poglądu, iż oprócz mnożstwa ułomności, które nie są wyłącznym skutkiem modelu ekonomicznego (a również następstwem braku zdrowego sensu), w gospodarce narodowej występują poważne błędy strukturalne typu modelowego nie pozwalające wykorzystać zasobów kraju i dających początek różnorodnym plagom nękającym życie gospodarcze. Rada Ekonomiczna traktowała przeto przeobrażenia typu modelowego za niezbędny warunek poprawy zarówno jeśli chodzi o „zlikwidowanie głębi”, z której wyrastają wspomniane plagi, jak i celem pełnego wykorzystania potencjału gospodarczego kraju.

„Jeśli zapytamy, dlaczego gospodarka kuleje, dlaczego brak towarów, dlaczego panuje brakoróbstwo, dlaczego są absencje, przestoje, dlaczego nie ma produktów na rynku, to jasne, że źródło tego

tkwi nie w inflacji, która jest produktem ubocznym, a jedynym i wyłącznym źródłem jest system gospodarczy... Zmiana tego systemu stanowi przesłankę podstawową naprawy gospodarczej... Obecny system jest zły dla socjalizmu i dla gospodarki” (E. Lipiński, *Przeгляд Kulturalny* 42/57).

Wahania, opóźnienia i bezczynność kierownictwa Partii w dziedzinie zmian modelu gospodarczego miały poważne skutki, jeśli chodzi o postawę klasy robotniczej i o psychologiczno-społeczne warunki sprawnego działania gospodarki narodowej. Ludzi pracy przytłacza ciężar kłopotów materialnych, których usunięcie nie może nastąpić w krótkim okresie czasu. W tych okolicznościach tym większej roli nabierają czynniki psychologiczne, a więc przekonanie, iż podejmowane są dalekosiężne kroki, by ulżyć ich położeniu i podnieść poziom życia. To przekonanie mogą wzbudzić i podtrzymać tylko widome znaki, iż dokonywane są zmiany w organizacji i planowaniu produkcji przemysłowej, które usuwają absurdy i niedorzeczności dotychczasowego systemu. Tego przekonania ludzie pracy dotąd nie nabrali, bo nabrać nie mogli. Zostali natomiast wezwani do wzmoczonego wysiłku i ofiarności w ramach dotychczasowego modelu, którego wadliwy mechanizm jest im aż nadto dobrze znany. Rezultatem była fala strajków, łamanych, jak na przykład w Łodzi, brutalnie dla zademonstrowania siły, niedostateczny wzrost produkcji, zła jej jakość, wzmoczona absencja i wiele innych plag oddziałujących ujemnie na poprawę sytuacji gospodarczej.

Fala strajków nie była, jak się to czasem przedstawia, jedynie wynikiem żądań o podwyżkę płac, w obecnych warunkach ekonomicznych kraju trudnych do spełnienia. Przyczyn wielu strajków, nie wyłączając strajku łódzkiego — pisało „Życie Gospodarcze” (36/57) — szukać należy w błędach funkcjonalnych istniejącego modelu, których nie można lokalnie usunąć przy najlepszej woli. Wywołują one rozdrażnienia i niezadowolenie załóg przedsiębiorstw i na tym tle dopiero dochodzi do strajków koncentrujących się na żądaniu podwyżek płac. Rzeźwistych przyczyn strajków szukać trzeba wśród takich faktów, jak „nieudolna, nieruchawa lub niekiedy nieuczciwa dyrekcja”, sztywne ceny, sztywny fundusz płac, system kontroli, brak możliwości wyboru dostawcy i odbiorcy i w ogólności brak samodzielności przedsiębiorstw. Są to wszystko sprawy, które dotyczą modelowych właściwości obowiązującego systemu planowania i organizacji przemysłu. Wprowadzenie rad robotniczych dało robotnikom wgląd od wewnątrz w działanie obecnego modelu i uświadomiło im wynikające z tego konsekwencje co do zmian niezbędnych dla poprawy ich losu. Ci, którzy mają do czynienia z obecnym systemem organizacji i planowania przemysłu w praktyce i na co dzień, to znaczy rady robotnicze i załogi fabryczne, pisał Włodzimierz Brus (*Życie Gospodarcze* 42/57), znają jego sprzeczności i niekonsekwencje, jego „skały podwodne”, o które rozbijają się najlepsze zamierzenia podejmowane w skali przed-

siębiorstwa. Ogranicza je niezmienną strukturą administracji gospodarczej, niedostatecznie zmienione metody planowania, splątana sieć niezgodnych z nową sytuacją przepisów finansowych, reglamentacyjnych i innych, nie mówiąc już o wadliwym systemie cen i błędnego ustawienia bodźców.

Program październikowy „ulepszenia modeli socjalizmu”, którego głównymi punktami była decentralizacja organizacji i planowania w przemyśle, przywrócenie prawa wartości (reforma systemu cen), rady robotnicze i otwarcie pola działania dla inicjatywy prywatnej, nie wymaga poprawek, lecz konsekwentnej realizacji. Tej konsekwentnej realizacji zabrakło i program październikowy pozostał dotąd w ogromnej części na papierze.

W jakiej mierze kierownictwo Partii nie rozumie rozczarowania spowodowanego beczynnością w dziedzinie spraw gospodarczych oraz następstw tego rozczarowania, świadczy przemówienie Gomułka w Krakowie z okazji rocznicy strajku chłopskiego w 1937 roku. Na IX Plenum Gomułka uznał, iż strajk jest zawsze „określonym sygnałem” dającym znać o tym, iż istnieje jakieś „schorzenie w funkcjonowaniu administracji, albo działalność elementów wicherzycielskich lub wrogich władzy ludowej”. W przemówieniu krakowskim nie było już mowy o pierwszej możliwości, a wyłącznie o drugiej. Strajk łódzki był dziełem „wrogich socjalizmowi prowokatorów”, inne strajki — „warchołów i demagogów”, obojętnych na losy narodu i niedbałych o dobro publiczne. Pogrożki o zastosowaniu siły w stosunku do „wroga” nadały przemówieniu złowroźny wydźwięk.

OGRANICZENIE WOLNOŚCI PRASY

Chociaż omówione fakty są niepokojące, nie uzasadniałyby one same przez się twierdzenia, iż w rok po przełomie październikowym jesteśmy świadkami odwrotu od programu Października. Odwrót ten jest jednak w toku i dokonał się na odcinku wolności prasy i demokratyzacji Partii.

Odwrót od programu październikowego pod określonym względem nie stanowi jego całkowitego przekreślenia. Odwrót i przekreślenie to dwa różne pojęcia. Odwrót nie naruszył ważnych osiągnięć — ułożenia stosunków z Rosją Sowiecką, przywrócenia w pewnej mierze praworządności, poszanowania praw obywatelskich, uregulowania stosunków z Kościołem, zmian w gospodarce rolnej, przywrócenia autonomii nauki, wolności badań naukowych i twórczości kulturalnej. Liczba, waga i zasięg przemian dokonanych przed rokiem składają się na to, iż w Polsce popaździernikowej życie jest swobodniejsze i lżej jest oddychać aniżeli w wielu innych krajach o systemie autokratycznym i monopartyjnym. Ten fakt właśnie budził nadzieje, iż proces przemian stosunków politycznych, społecznych i gospodarczych nie zatrzyma się w miejscu, lecz będzie się pogłębiać i rozszerzać

w oparciu o październikowy program, iż jest on procesem dynamicznym, jaki po przezwyciężeniu trudności ekonomicznych zapewni społeczeństwu wzrastającą miarę wolności, dobrobytu i zadowolenia z życia. Obecnie widzimy, iż te oczekiwania były zbyt optymistyczne i opierały się na zbyt niedokładnym rozpoznaniu bądź kierownictwa bądź układu sił w Partii. Zamiast stopniowo się rozwijać, proces zmian utknął w miejscu i począł się cofać na niektórych odcinkach z pozycji przedwcześnie uznanych za trwałe osiągnięcia.

O wolność prasy obóz Października musiał ciężko walczyć i wydarł ją Partii w miesiącach poprzedzających przewrót, gdy parafrazując słowa Lenina rządzeni nie chcieli się pogodzić z dawnymi metodami rządzenia, a rządzący nie byli w stanie wymusić dla nich posłuchu. W przemówieniu na VIII Plenum Gomułka uznał wolność prasy, mówienie „prawdy o dniu wczorajszym i dzisiejszym”, za niezbędny warunek zachowania przez ludzi dzierżących ster władzy zaufania klasy robotniczej. Bez tego zaufania znika moralna podstawa sprawowania władzy.

„Przed prawdą uciec nie można. Jeśli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka” (Przemówienie na VIII Plenum).

Dzisiaj Gomułka nie mógłby tych słów powtórzyć. Jeśli redaktor chce uniknąć ołówka cenzora, gromadzenia się w szufladach stosów skonfiskowanych artykułów, a wreszcie zamknięcia pisma, dwie drogi stoją przed nim otworem — może bądź unikać tematów, co do których ma odmienne poglądy od kierownictwa Partii i milczeć w sprawach budzących zasadniczy sprzeciw, bądź przyjąć linię programową oportunistycznego konformizmu, jakiej apologetą jest „Polityka” (2). Trzeba wówczas „poprzeć kierownictwo Partii” i w „pełni zaangażować się po jego stronie”. Stosunek ten ponoć „bynajmniej nie wyklucza krytyki”, lecz krytyka ta ma być „twórcza” i wychodzić z „socjalistycznych” pozycji. O „twórczym” i „socjalistycznym” charakterze krytyki lub jego braku decyduje kierownictwo Partii.

Głównym zadaniem prasy, oświadczył Gomułka na X Plenum, jest „mobilizowanie wszystkich twórczych sił narodu wokół aktywnego popierania wewnętrznej i zewnętrznej polityki Partii i Rządu”. Sprawa oceny słuszności tej polityki nie jest rzeczą prasy, gdyż ocena słuszności jest ograniczonym przywilejem. Słuszność jest zależna od tego, kto się za nią opowiada i jakie miejsce zajmuje w hierarchii partyjnej. *Roma locuta, causa finita*. W słuszność linii politycznej Partii zwyktemu śmiertelnikowi nie wypada wątpić.

(2) M. F. Rakowski — M. Radgowski, *Polityka* 22/57, M. F. Rakowski, *Polityka* 27/57. Artykuły kwestionujące lub polemizujące z oficjalnym stanowiskiem „instancji partyjnych”, donieśli przy tej okazji redakcjom „Polityki”, nie były od dawna dopuszczane do druku.

Prasa, mówił również Gomułka na X Plenum, ma obowiązek „przedstawić rzeczywistość w ten sposób jak ona faktycznie wygląda”, prasa posiada „prawo krytyki wszelkich ujemnych zjawisk zachodzących w kraju”. Lecz poglądy o tym, jak „rzeczywistość faktycznie wygląda” i jakie zjawiska są „ujemne” nie mogą odbiegać od poglądów jakie w tej sprawie głosi kierownictwo Partii. W przeciwnym razie może się okazać, iż rozsiewa się „rozzarowanie do socjalizmu” lub „uderza w socjalizm” lub uprawia „negację” i wykazuje „brak wiary w socjalizm”. Systematyczne głoszenie poglądów, jakie nie znajdują uznania kierownictwa Partii naraża na niebezpieczeństwo zamknięcia pisma. Albowiem

„rzeczą instancji partyjnych jest decydowanie o losach redakcji złożonej w swej większości (mowa o „Po Prostu” — Z. J.) z członków Partii” (S. Żółkowski, *Trybuna Ludu* 10.10.57).

Wolność prasy stała się wolnością egzegezy i obrony stanowiska „instancji partyjnych”. Dochodzenia przeciw „Po Prostu”, wyrok wykluczający członków zespołu tego tygodnika z szeregów partyjnych i nauki dla prasy na X Plenum oparte są, jak się zdaje, na zasadach następujących. Poglądy, jakie nie odpowiadają kierownictwu Partii, są *ex definitione* poglądami antysocjalistycznymi lub burżuazyjnymi. Co jest socjalizmem i co nim nie jest, co można z nim pogodzić i czego pogodzić się z nim nie da, o tym decyduje kierownictwo Partii, autorytatywnie i ostatecznie. Obowiązkiem nieomylnych „instancji partyjnych” jest bronić „prawdy” i chronić ludzi przed „fałszem”, pouczać gdzie leży granica dzieląca „wolność słowa” i „wolność kłamstwa”.

Zawieszenie „Po Prostu” nie jest sprawą partykularną, sprawą dotyczącą jednego tygodnika. Jest to wydarzenie zwrotne i decydujące, ma charakter wyroku skazującego niezależność i wolność prasy na banicję. Prawo publicznego głoszenia i obrony poglądów zostało boleśnie okaleczone. Przed zamknięciem „Po Prostu” wolność prasy była ograniczona, lecz rzeczywista. Była ograniczona, gdyż obracać się musiała w ramach wyznaczonych względami określonymi skrótowo mianem racji stanu. Te ograniczające ramy dyktował interes narodowy, ich uszanowanie było dobrowolne, wypływało z poczucia odpowiedzialności piszącego, a przeto nie naruszało poczucia wolności słowa. Po przewrocie październikowym były wypadki wykroczenia przeciw powszechnie przyjętym nakazom samodyscypliny piszących, lecz te odosobnione wypadki spotykały się natychmiast z właściwą odprawą. Dziennikarze i publicyści wytworzyli sprawnie i samorzutnie działający mechanizm etyki zawodowej, który bez interwencji z zewnątrz określał skutecznie to co stanowiło nadużycie wolności słowa (ze względu na ograniczenia dyktowane interesem narodowym). W tych granicach wolność prasy była rzeczywista i chociaż kurczyć się zaczęła od znanego incydentu

z „Trybuną Ludu”, zaostrzająca się cenzura nie zdołała zmusić wolnego słowa do milczenia. Czego nie zdołała osiągnąć cenzura, tego dokonało zamknięcie „Po Prostu”. Na demonstrację studentów w Warszawie protestujących przeciw tej decyzji i przeciw brutalnym wystąpieniom milicji, dającej po Łodzi drugi z kolei pokaz siły dla przekonania opornych kto „ma rację”, odpowiedział w prasie codziennej zgodny chór potępień pod batutą wytrwałych znawców totalitarnej techniki władzy. Rocznice Października uczciła prasa, prócz nielicznych wyjątków, odrodzeniem się drętwej mowy, świecącej blaskiem dawnej świetności w artykule rocznicowym „Trybuna Ludu”.

ISTOTA KONFLIKTU MIĘDZY PARTIĄ A „PO PROSTU

„Po Prostu” nie atakowało nigdy ludzi stojących na czele Partii, polskiej drogi do socjalizmu, polityki rolnej, demokratyzacji życia politycznego i gospodarczego, wypełnienia socjalistyczną treścią istniejących biurokratycznych instytucji. Tę funkcję spełniała w Partii inna dobrze znana grupa nie ponosząc za to żadnych konsekwencji. „Po Prostu”, co jest niemal rzeczą zbyteczną stwierdzać, stało bez zastrzeżeń na platformie Października i czyniło co było w jego mocy, by uzyskać dla niego poparcie całego narodu „konkretną pracą, inicjatywą, wytrwałością, przełamywaniem przeszkód, na które żadne deklaracje programowe nie mogą stanowić cudownego uzdrawiającego lekarstwa” (21/57). Działalność „Po Prostu” była propagandą socjalizmu w najlepszym tego słowa znaczeniu, gdyż przywracała socjalistycznym ideom walor moralny i humanistyczny, łączyła je z szacunkiem dla faktów i myśleniem w kategoriach empirycznych.

Nie wszystko po Październiku było radosną twórczością. Zmieniła się całkowicie ogólna atmosfera w kraju, lecz jednocześnie zaczęły narastać zjawiska ujemne — rozzarowanie, zniechęcenie, apatia, a liczne plagi gnębiące od lat życie społeczne i gospodarcze wystąpiły jaskrawo, gdy można było mówić i pisać o nich bez przeszkód. Przedstawiając stan społeczeństwa nieraz brutalnie i zawsze bez socrealistycznego sosu, „Po Prostu” wzbogacało wiedzę o społeczeństwie, której brak był największą przeszkodą w zwalczaniu plag społecznych. Naczelnym obowiązkiem dziennikarza jest niczego nie tać, nie przemilczać, stwierdzać fakty, jak je widzi. To stanowi rację jego istnienia i użyteczności. Przykro jest, iż tego abecadła dziennikarskiej moralności trzeba raz jeszcze bronić. O wierze w program Października nie świadczą słowne deklaracje *at usum Delphini*. O wierze w program i o woli jego realizacji świadczy najlepiej wykrywanie i jasne widzenie przeszkód stojących na drodze jego realizacji. By skutecznie działać, trzeba najpierw znać fakty. Faktów zaś w życiu społecznym nie znajduje się jak kamieni w polu,

nie wystarczy spojrzeć, by wiedzieć, jak się rzeczy mają „na prawdę”, nie ma barometrów i termometrów pozwalających zmierzyć bez pomyłek temperaturę i ciśnienie opinii społecznej. Wszelkowiedza do jakiej pod tym względem roszczą sobie pretensje „instancje partyjne” — my wiemy wszystko, jak jest i jak być powinno — jest śmiesznym i tragicznym dla nich świadectwem.

Prawdą jest oczywiście, iż „Po Prostu” widziało niejednokrotnie sytuację w Polsce inaczej niż widzi ją kierownictwo Partii. W tym nie ma nic niezwykłego i nie dostarcza to podstaw do twierdzenia, iż „Po Prostu” zamieniło wolność słowa w „wolność kłamstwa i fałszerstwa”. Być może że „Po Prostu” nie zawsze miało rację, bo tak się zdarza każdemu pismu, z czego jednak nie wynika, iż „instancje partyjne” miały jaśniejszy i adekwatniejszy obraz sytuacji. „Po Prostu” widziało natomiast często rzeczy, które dopiero znacznie później przeniknęły do świadomości kierownictwa Partii. Alarmowało ono niejednokrotnie o tym, że w aparacie partyjnym, we władzach administracyjnych i gospodarczych znajdują się jednostki przeżarte korupcją, nadużywające władzy i nagminnie popadające w konflikt z prawem karnym. Działo się to na długo przed X Plenum, na którym Gomułka odkrył fakty dobrze znane czytelnikom „Po Prostu”. Zanim Klub Poselski PZPR i „Trybuna Ludu” stwierdzili w Częstochowie istnienie „atmosfery obycia się... z zasterzałym złem i niesprawiedliwością”, o potrzebie dochodzeń pisało „Po Prostu”. Z podobnych przykładów ułożyć by można długą listę.

Prawdą jest także, iż „Po Prostu” miało inną aniżeli kierownictwo Partii diagnozę zjawisk ujemnych występujących w kraju. W licznych artykułach redaktorzy „Po Prostu” podkreślali niebezpieczeństwo tych elementów społecznych, jakie określali nazwą „klasycznej reakcji”. W wachlarzu kierunków politycznych i ideowych „Po Prostu” stało zdecydowanie na pozycjach lewicy społecznej i politycznej. Wszelkie ustępstwa na rzecz ugrupowań prawicowych i konserwatywnych traktowało jako koncesje w stosunku do koncepcji „absurdalnych” i „sprzecznych z interesami narodu polskiego”. Jedyne słuszny program, zgodny z „obiektywną sytuacją kraju” reprezentował dla niego ten odłam polskiej lewicy, który w dziejach PZPR nosi nazwę „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” (*Po Prostu* 22/57). Oskarżenie zespołu „Po Prostu”, iż „staczał się na pozycje antysocjalistyczne i burżuazyjne” (Uchwała CKKP w sprawie zespołu „Po Prostu”, *Trybuna Ludu* 17.10.57), jest niedorzeczne. Można je podtrzymać tylko pod tym warunkiem, jeżeli w ten sam sposób oceni się działalność Gomułki.

Przestępstwo „Po Prostu” nie polega na tym, iż zeszło ono na pozycje niezgodne z socjalizmem, ani na tym, iż nie chciało dostrzec niebezpieczeństw związanych z istnieniem sił społecznej reakcji. Grzech „Po Prostu” był wynikiem przekonania, iż brak poprawy sytuacji w kraju, narastanie rozczarowania i apatii,

nie daje się sprowadzić do faktu istnienia i działalności „wroga klasowego”. „Po Prostu” broniło poglądu, że te ujemne zjawiska będą stopniowo ustępować pod naporem reform *explicite* lub *implicite* zawartych w październikowym programie. Istotą konfliktu między „Po Prostu” a kierownictwem Partii było nieprzerwane domaganie się pełnego wykonania październikowego programu. Tym samym i w stopniu jeszcze wyższym „Po Prostu” popadło w konflikt z konserwatywnym aparatem partyjnym zagrożonym przez reformy, przez ujawnienie na łamach „Po Prostu” grupowego interesu aparatu partyjnego w utrzymaniu dawnego systemu i wyciągnięciu na światło dzienne jego korupcji. Nikt nie wyrzeka się dobrowolnie pozycji społecznej, przywilejów i władzy. Jeśli ich utratę przedstawia się jako zagładę „socjalizmu”, „Po Prostu” stać musiało na pozycjach „antysocjalistycznych” i „burżuazyjnych”.

Zawieszenie „Po Prostu” jest zwycięstwem konserwatywnego i dogmatycznego skrzydła Partii nad obrońcami październikowego programu i wzmocnieniem wpływów tego skrzydła w Partii. Zmienił się układ sił. Siły partyjnej reakcji zdobyły podstawę wyjściową do ofensywy taktycznej i ideologicznej przeciw radom robotniczym, polityce rolnej, polskiej drogi do socjalizmu, które aprobowały kiedyś jedynie „pod naciskiem opinii, pod terrorem wieców, pod moralną presją społeczeństwa”.

KU PARTII — MONOLITOWI

Na VIII Plenum Gomułka solidaryzował się z programem demokracji Partii sformułowanym swego czasu przez Adama Schaffa. Na IX Plenum Gomułka zajmował się więcej „demokratycznym centralizmem” aniżeli demokratyzacją Partii, lecz jednocześnie stanowczo odrzucił koncepcję partii-monolitu. Wreszcie na X Plenum Gomułka zapowiedział, iż ideologiczna jedność i organizacyjna spójność PZPR wymaga odtworzenia partii-monolitu.

Centralna Komisja Kontroli Partyjnej obarczona została zadaniem „odcienienia rewizjonistycznego skrzydła Partii” oraz „zlikwidowania wszelkich zorganizowanych i pojedynczych przejawów antypartyjnej działalności prowadzonej z pozycji dogmatyzmu”. W języku ukutym przez Gomułkę termin „dogmatycy” oznacza frakcję natolińską, znaną społeczeństwu jako obca agentura, utrzymywana w rezerwie, gdyby zaistniała potrzeba stworzenia alternatywnego „kadarowskiego” rządu”. Dogmatycy tworzą w łonie Partii frakcję we właściwym tego słowa znaczeniu, która odbywa tajne posiedzenia dla ustalenia taktyki walki z kierownictwem Partii zwalczą je jawnie i potajemnie przy pomocy tak zwanej „akcji powielaczowej” i „szepianej propagandy”, ma swych przedstawicieli w rządzie i na placówkach dyplomatycznych. Są to ludzie „niepoprawni” i „nieprze-

jednani", pisały „Nowe Drogi” (10-11/57, p. 34-35), podejmujący „próby konspiracyjnej akcji przeciwko Partii”.

W przemówieniu na X Plenum Gomułka nie czynił jednak tajemnicy, przeciw któremu z dwóch wymienionych skrzydeł Partii zwróci się główny front walki. Skuteczne zwalczanie rewizjonizmu, oświadczył Gomułka, ułatwi przewyższenie dogmatyzmu, działalność frakcyjna dogmatyków jest mniejszym niebezpieczeństwem niż działalność rewizjonistów, rewizjonizm jest najgroźniejszym schorzeniem Partii, gdyż wnosi zamęt ideologiczny i rozbija partyjną jedność. Na takim „skrzydle” jak rewizjonizm „socjalizm mógłby zlecieć tylko do przepaści”, podczas gdy dogmatycy jedynie błędzą „tęsknotą za powrotem do starych metod”. Ataki prasowe centrowej grupy w Partii na rewizjonistów oraz mowa Gomułka na X Plenum przewyższyły gwałtownością potępień wszystko co w przeszłości frakcja natolińska miała do powiedzenia o swych nieprzejednanych przeciwnikach — rewizjonistach.

Postępowanie Gomułka jest konsekwentne. Od instrukcji Biura Politycznego wydanej w lutym i nakładającej na organizację partyjne obowiązek walki na dwa fronty — przeciw dogmatykom i rewizjonistom — hasło walki na dwa fronty stanowiło *camouflage* walki prowadzonej faktycznie tylko na froncie antyrewizjonistycznym. Było to rzeczą nieuniknioną z dwóch względów. Krótko po wyborach Gomułka poszedł na kompromis z frakcją natolińską, politycznym i ideologicznym przywódcą sił konserwatywnych i reakcyjnych w Partii. Walka na tym froncie została przeto faktycznie poniechana zanim została podjęta. Po wtóre, walkę na dwa fronty prowadziły „instancje” w dużym stopniu opanowane przez reakcję partyjną. W początkowym okresie „walki na dwa fronty” wzmocniła ona swe siły, gdyż przepłoszone w Październiku konserwatywne elementy w aparacie partyjnym na nowo podniosły głowę i potrafiły opanować stracone „instancje” (*Nowe Drogi* 2/57, p. 71). Obecnie głównie poplecznicy konserwatywno-dogmatycznego skrzydła w „instancjach partyjnych” będą przeprowadzać czystkę która w ten sposób przypuszczalnie dotknie w pierwszym rzędzie rewizjonistów.

Sens tej operacji jest przejrzysty, jeśli zdamy sobie sprawę o co w niej chodzi. Jak w wypadku „Po Prostu”, istota sporu między rewizjonistami a Gomułką jest różna od osłaniającej ją zasłony dymnej fantastycznych i absurdalnych oskarżeń. Absurdalne jest oskarżenie, iż rewizjoniści prowadzą ofensywę przeciw uchwałom VIII Plenum, których przewodnich myśli są współtwórcami. Fantastycznie brzmi zarzut uprawiania jałowej i negatywnej krytyki w stosunku do jedyne go twórczego ośrodka myśli marksistowskiej w całym bloku sowieckim. Gomułka doszedł do władzy z tego tytułu, iż był rewizjonistą systemu zwanego „kultem jednostki” i jego odpowiednika w krajach satellickich, do których Polska wówczas należała; rewizjonizm rewizjonistów polega na wyciąganiu konsekwencji z doświadczeń

i upadku tego systemu, zapoczątkowanym przez Gomułkę. Nie było jedności Partii, gdy Gomułka do władzy dochodził i to, że nie ma jej dzisiaj nie jest winą rewizjonistów. „Taka sytuacja”, mówił Gomułka na IX Plenum, „zaistniała w Partii na długo przed VIII Plenum”, w związku z dobrze znanymi wydarzeniami poza Polską i w kraju. Jeżeli „to, co w socjalizmie jest niezmiennie, sprowadza się do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka”; jeżeli „drogi do tego celu mogą być i są różne”, gdyż „warunkują je różnorodne okoliczności czasu i miejsca”; jeżeli teoria „musi rozwijać się w oparciu o doświadczenia życia, musi być stale wzbogacana”, gdyż życie jest od niej pełniejsze (przemówienie Gomułka na VIII Plenum) — jasną jest rzeczą iż dyskusja nad najlepszą drogą do socjalizmu jest permanentnie otwarta. Z przesłanek, które prowadzą do wniosku, iż istnieją różne drogi do socjalizmu dla różnych krajów, również wynika, iż istnieje dróg wiele w obrębie każdego kraju, a wybór najlepszej z nich wymaga rozważenia w każdym momencie różnych alternatyw i uwzględnienia wszystkich dostępnych faktów. Nie jest rzeczą właściwą określenie tego zbiorowego wysiłku mianem „zamętu ideologicznego”, gdyż myśl twórcza i żywa niszczy zawsze schematy i nawyki myślowe, dogmaty i tradycyjne wierzenia.

W Partii istnieje kryzys odmiennego rodzaju, o którym Gomułka nie wspominał. Narastał on w czasach stalinizmu i przebiegał do świadomości w okresie przedpaździernikowym. A. Schaff nazwał go kryzysem „wiary”, głównym niebezpieczeństwem zagrażającym Partii (*Przegląd Kulturalny* 41/57). Negatywnym aspektem kryzysu jest porzucenie ślepej wiary w autorytet i ślepego posłuszeństwa w stosunku do władz, pozytywnym — dążenie do prawdziwie samodzielnego myślenia i dobrowolnej, świadomej dyscypliny. To dążenie popada w konflikt z istniejącą organizacją partyjną dostosowaną do postaw uznających autorytety ze ślepą wiarą i posłuszeństwem. W organizacji opartej na autorytecie i autokracji władza spoczywa w rękach oligarchii, partyjnego aparatu dominującego nad Partią, wyobcowanego z Partii i społeczeństwa, niereprezentującego innych interesów prócz własnych jako klasy uprzywilejowanej i panującej. Partia, którą rządzi oligarchia uzupełniająca swe szeregi drogą kooptacji i przetargów rywalizujących między sobą koterii, jest z natury rzeczy oderwana od sił społecznych, jakie powołały ją do życia i odizolowana od ich dążeń. Staje się ona, jak podkreślał Kołakowski, zamiast narzędzia urzeczywistniania celów ogólnych i społecznych celem dla siebie i obrońcą interesów partykularnych grupy rządzącej. W Partii zredukowanej de facto do aparatu partyjnego, skupiającego całokształt władzy w państwie i niepodlegającej żadnej kontroli społecznej, nieuniknione szerzy się korupcja, gdyż „wszelka władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje w sposób absolutny”. Wyplenienie korupcji z aparatu partyjnego, niepowołanego przez wybory i nieodpowiedzialnego przed wyborcami za swą działalność, jest

trudem syzyfowym. Te rzeczy stały się w Polsce jasne w kołach partyjnych i bezpartyjnych i tej wiedzy nic nie jest już w stanie zniszczyć. Partia, w której zmieniają się osoby bez zmiany jej struktury i form działalności, pozostanie partią nie zreformowaną, nieprzydatnym narzędziem urzeczywistniania socjalizmu. Z tej przyczyny, w oczach wielu członków Partii i kół bezpartyjnych niezbędnym warunkiem odrodzenia i żywotności ideałów socjalistycznych, a również ostatecznym miernikiem szczerości intencji Gomułki, stała się demokratyzacja organizacji partyjnej, do czego Gomułka zobowiązał się na VIII Plenum.

„Aby Partia mogła sprężyć się wypełniać swe zadania i stać na czele procesu demokratyzacji, musi być przede wszystkim zwaarta i jednolita, oraz musi w swych szeregach, w swoim życiu zastosować w pełni zasady demokratycznego centralizmu... Na czoło tych zasad należałoby postawić sprawę wyboru władz partyjnych, jawności życia partyjnego, prawo do zachowania swych poglądów przy zasadzie, że uchwały większości obowiązują wszystkich członków Partii” (przemówienie na VIII Plenum).

Rezolucje na X Plenum stanowią odstępstwo od zobowiązań danych przez Gomułkę Partii i społeczeństwu, gdy dochodził w Październiku do władzy. Konsolidacja i przywrócenie jedności Partii ma się dokonać przez wykluczenie z niej sił, jakie dokonały październikowego przewrotu, sformułowały jego program i wyniosły Gomułkę do władzy. Nie jest to konsolidacja na ideowej platformie Października, lecz na platformie kompromisu i ustępstw na rzecz antypaździernikowego obozu. Zamiast demokratyzacji Partii nastąpić ma odbudowa partyjnego monolitu, wzmocnienie autokratycznych rządów aparatu partyjnego nad społeczeństwem i dyktatorialnej władzy Gomułki nad aparatem, powołnym narzędziem wykonywania jego decyzji. Konsolidacja Partii, jaka wyklucza siły październikowe i przywraca monolityczną strukturę partyjnej organizacji, stanowi wzmocnienie tej części Partii, która nigdy nie uznała osiągnięć Października i dąży do ich powolnej likwidacji. Znaczenia i wpływów tej części Partii nigdy nie można było lekceważyć. Obecnie stała się ona groźna dla społeczeństwa, całego procesu odnowy w kraju, a także, w dalszej kolejności, dla samego Gomułki.

Nasuwa się pytanie, czy próba otworzenia partii-monolitu ma szanse powodzenia. Adam Schaff, przedstawiciel grupy centrowej, wrogiej i odcinającej się od koncepcji rewizjonistycznych, odpowiedział na to pytanie odmownie.

„Wraz z mitami absolutnych autorytetów rozbita została w minionym okresie ślepa wiara zwolenników ruchu komunistycznego, którzy otrzymali dotkliwą poglądową lekcję konieczności myślenia samodzielnego... Ślepa wiara i ślepa dyscyplina są zjawiskami w ostatecznym rachunku ujemnymi nawet w wojsku, a cóż dopiero w partii robotniczej...”

Wstrząs polityczny i moralny minionego okresu zadał śmiertelny wstrząs ślepej wierze. W każdym razie u nas w kraju nie ma do

niej powrotu, albowiem tego rodzaju postawy duchowe są niezwykle kruche i delikatne, a gdy zostaną rozbite nie dają się łatwo odbudować. Siła tu nic nie wskóra (Przegląd Kulturalny 41/57).

Przywrócenie Partii jedności i zwartości nie wymaga odtworzenia partii-monolitu. Próba w tym kierunku podjęta nie daje się wytłumaczyć przymusową sytuacją Gomułki. Partia polityczna może osiągać ideologiczną jedność i organizacyjną spójność bez narzucania środkami administracyjno-represyjnymi jednomyślności myślenia i działania, pozbawiania członków ich demokratycznych uprawnień i wymogu bezkrytycznego posłuszeństwa w stosunku do kierownictwa Partii. Skuteczną drogą do partyjnej spójności jest jedność kształtowana w oparciu o pewne najogólniejsze przesłanki światopoglądowe i programowe w wolnej dyskusji ludzi samodzielnie myślących. Te dwie różne drogi osiągnięcia partyjnej jedności omawiał Gomułka na IX Plenum i w zasadzie odrzucił jedność monolitu, którą „można wytwarzać sztucznie, teatralnie, przy użyciu wcale nie teatralnych sposobów reżyserii”, na rzecz jedności osiągananej „na drodze dyskusji”. Fatalne dzieje lat ubiegłych, pisały „Nowe Drogi” (8/57, p. 64) na marginesie obrad IX Plenum, nauczyły nas, iż partia-monolit jest „głosem jednych, a milczeniem innych” i ostatecznie prowadzi do „procesów czarownic”. Jedność „na drodze dyskusji”, przeciwstawianą autokratycznej jedności monolitu, nazywano w kraju demokratyczną, albowiem „istotą demokracji jest nie tylko demokratyczny wybór ludzi, ale głównie demokratyczne ścieranie się poglądów”, formułowanie alternatywnych programów, dla których pozyskuje się większość. Dla lewicowego skrzydła Partii

„jedność demokratyczna a nie autokratyczna oznacza wspólne poparcie nowej linii, ale nie oznacza absolutnej jednomyślności, zdecydowanego zamknięcia dyskusji nad dalszym kierunkiem rozwoju i poszukiwań wynikających z wykonywania obowiązującego programu” (A. Hajnicz, Życie Warszawy 10.4.57).

Postulat poszanowania prawa mniejszości przekształcił tak zwany spór o lewicę w spór z lewicą, wsparty represjami ze strony kierownictwa Partii. Postulat poszanowania praw mniejszości nie mieści się bowiem w ramach „demokratycznego centralizmu” dającego nadrzędnym instancjom partyjnym prawo mechanicznego narzucania decyzji członkom i instancjom podległym we wszelkich sprawach, zarówno dotyczących aktualnych zagadnień polityki partii, jak i wykraczających poza kompetencje partyjnych władz wykonawczych.

Decyzje podjęte na X Plenum mają charakter autokratyczny z dwóch względów — pozbawiają ogół członków prawa decyzji w zakresie spraw światopoglądowych i ideologicznych, oraz rozstrzygają w sposób arbitralny kwestię zgodności i niezgodności głoszonych poglądów z programowymi założeniami, jakie

nie zostały sprecyzowane i przyjęte w sposób prawomocny. Praktyka ta nie jest nowością i Gomułka doświadczył jej osobiście w 1948 roku. Jest ona świadectwem tendencji zmierzających do zachowania centralizmu bez demokratyczności, do poświęcenia wewnątrz-partyjnej demokracji na rzecz partii-monolitu. Sposób rozstrzygnięcia sporu między kierownictwem Partii a rewizjonistami stanowi powrót do autokracji i, z tej przyczyny, może mieć reperkusje wykraczające daleko poza krąg spraw partyjnych *sensu stricto*.

Trudno bowiem mieć nadzieję, by kierownictwo Partii, które odrzuca zasady demokratyczne w wewnętrznych stosunkach partyjnych miało wolę ich uszanowania w stosunku do społeczeństwa. Jeżeli ukraca się krytykę z przekonania socjalistycznego, a w myśleniu marksistowską, nie będzie miejsca na krytykę z nie-marksistowskich pozycji społecznych, szukającą kompromisu między dążeniami społeczeństwa i programem Partii. Jeżeli wszystkie znaki ostrzegawcze nie są mylne, X Plenum zapoczątkowało nowy okres w stosunkach między Partią a społeczeństwem.

Czytamy w uchwale VIII Plenum:

„Partia w walce z siłami zachowawczymi, z próbami nawrotu wstecz, hamowania rozwoju demokracji wewnątrzpartyjnej i tłumienia krytyki, naruszeń praworządności, nawrotu do obrony biurokratyzmu, kacykowskich porządków i rozbieżności między słowem i czynem skupi i poprowadzi wszystkie żywe siły socjalizmu”.

Po roku doświadczeń zbieżność tej deklaracji z czynami jest daleka od urzeczywistnienia.

Zbigniew JORDAN



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.) na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.
Telefon: FREmantle 7888/9

Rewolucja zawczasu zapowiadana

1. SPECYFICZNA „PRZYJEMNOŚĆ”

Odmienne od większości socjalistów-pacyfistów, Lenin nigdy nie uważał wojny za zło absolutne, zło same w sobie. Zgodnie ze swymi zasadniczymi poglądami etycznymi (1) sądził, że w pewnych warunkach i okolicznościach wojna może być nawet „dobrem”: jeśli się przyczyni do rozpętania lub zwycięstwa rewolucji. Toteż — mając na uwadze świeże wówczas doświadczenie wojny japońskiej i jej wpływ na wybuch rewolucji w Rosji w 1905 r. — Lenin w 1913 pisał w liście do Gorkiego: „Wojna pomiędzy Austrią a Rosją byłaby bardzo użyteczna dla sprawy rewolucji w Europie Zachodniej. Trudno jednak przypuścić, aby Franciszek Józef i Mikołaj II zrobili nam tę przyjemność”.

(*Lenin'skij Sbornik*, 1924, Tom I, str. 131).

Gdy w rok później „przyjemność” zrealizowała się (2), Lenin

(1) „Nasza moralność jest całkowicie podporządkowana interesom walki klasowej i proletariatu”. „Mówimy: moralność jest tym, co służy zburzeniu opartego na wyzysku dawnego społeczeństwa”. Lenin, *Zadania Związków Młodzieży, Dzieła Wybrane*, Tom II, str. 788 i nast.

(2) Z punktu widzenia interesów grupy politycznej Lenina wybuch wojny I.VIII.14 nastąpił w samą porę: na wyznaczonym na sierpień 1914 r. kolejnym kongresie Międzynarodówki Robotniczej w Wiedniu rozpatrywana być miała sprawa przywłaszczenia przez bolszewików na konferencji w Pradze Czeskiej w styczniu 1912 r. ogólnopartyjnej firmy RSDPR (Ob. „Kultura”, 1957, Nr 7-8, str. 40). Sprawą tą już od szeregu miesięcy zajmowało się Międzynarodowe Biuro Socjalistyczne w Brukseli i nie wyglądała ona pomyślnie dla Lenina. Jego najbliższy wówczas współpracownik i przyjaciel, Grigorij Zinowiew, w wydany w Leningradzie w 1925 r. zbiorze przemów-

bynajmniej nie pragnął, aby się rychło zakończyła. Odmienne od socjalistów-„internacjonalistów”, nie wypowiadał się za możliwie natychmiastowym zakończeniem wojny, lecz za jej kontynuowaniem i przekształceniem z wojny „imperialistycznej” w „klasową” wojnę domową. Jak to stwierdzał w swoich wspomnieniach Bucharin, pierwszą reakcją Lenina na wiadomość o wybuchu wojny było ukucie sloganu do żołnierzy wszystkich walczących armij: „Skierujcie wasze karabiny przeciwko waszemu oficerom”. Po namyśle jednak hasło takie nie zostało w tej formie nigdy ogłoszone, lecz zastąpione hasłem o „przekształceniu wojny imperialistycznej w wojnę domową”. Zresztą w pierwszym okresie po rozpoczęciu wojny przyniosła ona Leninowi pewne osobiste przykrości: podobnie jak większość „nieprzyjacielskich poddanych” w krajach wojujących, został on w Poroninie aresztowany i umieszczony w więzieniu powiatowym w Nowym Targu. Trzeba było dopiero interwencji socjalistycznych posłów do parlamentu wiedeńskiego: dra Marka, Daszyńskiego (3) i Wiktora Adlera, ich zapewnień, że Uljanow nie jest „socjal-patriotą”, lecz zaklętym wrogiem carskiej Rosji, który — jak się miał wyrazić Adler — „mógłby nam oddać duże usługi w obecnych warunkach”, aby rząd austro-węgierski zarządził zwolnienie Lenina z więzienia (19. VIII. 14) i zezwolił mu na wyjazd do neutralnej Szwajcarii. Tam dopiero Lenin mógł w pełni wykorzystywać „przyjemność” wojny, rozwijając ożywioną działalność na rzecz swego programu.

5 września 1914 r. Lenin przyjechał do Berna i już nazajutrz ogłosił rezolucję „grupy członków RSDPR” o „Zadaniach

wień i artykułów pt. „Lenin” pisał, że Vandervelde i Huysmans zdecydowani byli wówczas pogodzić „wszystkie grupy i frakcje ówczesnej naszej partii... Ogółem wezwano 14 grup, z których tylko jedna była bolszewicka. W ten sposób reprezentowaliśmy tylko 1/14 część i oczywiście, zdaniem tych ludzi, powinniśmy byli podporządkować się reszcie”. Wybuch wojny nie tylko uniemożliwił zebranie się wiedeńskiego kongresu, lecz wywołał w Międzynarodówce kryzys tak zasadniczy, że pasjonująca ją w okresie przedwojennym „sprawa rosyjska” przestała być całkowicie aktualna i, w rezultacie Lenin uniknął, niewątpliwie nieprzyjemnego dla niego osobiście i dla jego grupy, potępienia za Pragę.

Drugą nieprzyjemną dla Lenina i bolszewików sprawą, którą wybuch wojny całkowicie zdeaktualizował, była tzw. „sprawa Malinowskiego”. Roman Malinowski, uczestnik zjazdu w Pradze, pełnomocnik bolszewickiego KC na kraj, faktyczny organizator dziennika „Prawda”, poseł i przywódca frakcji bolszewickiej w IV Dumie, w maju 1914 r. nagle bez podania motywów złożył mandat poselski i wyjechał zagranicę, usuwając się całkowicie od działalności politycznej. W związku z tym w Rosji rozeszły się pogłoski, że Malinowski przez cały czas swej działalności był prowokatorem na usługach Ochrony. To powtórzenie się „sprawy Azefa”, latem 1914 r. ogromnie poruszyło rosyjską opinię publiczną. Bolszewicy, i osobiście Lenin, bardzo się zaangażowali w publicznej obronie Malinowskiego, który, jak się okazało po rewolucji, istotnie przez cały czas był policyjnym prowokatorem.

(3) W lipcu 1917 r. Lenin pisał: „Rolę (w sprawie zwolnienia z więzienia) odegrali Polacy, którym wystyd było, że w polskim kraju możliwe jest tak nikczemne aresztowanie rosyjskiego rewolucjonisty” (XXV, 229).

rewolucyjnej socjaldemokracji w wojnie europejskiej”, a mianowicie o „konieczności skierowania broni nie przeciw swym braciom, najemnym niewolnikom innych krajów, ale przeciw reakcyjnemu i burżuazyjnemu rządowi i partiom wszystkich krajów”. (Lenin, *Dzieła*, wydanie polskie, Tom XXI, str. 4. W dalszym ciągu to wydanie *Dzieł* będą cytował, podając tylko rzymską liczbę tomu i arabską strony). Następnie w licznych artykułach, broszurach i wystąpieniach wiecowych piętnował „socjal-patriotów” jako „zdrajców” i domagał się „przekształcenia obecnej wojny imperialistycznej w wojnę domową” (XXI, 20).

We wznowionym od 1. XI. 14 wydawnictwie „Socjal-Demokrat”, w artykule o „Sytuacji i zadaniach Międzynarodówki Socjalistycznej”, Lenin pisał m. in.:

„Odmowa służby wojskowej, strajk przeciwko wojnie itp. jest to zwykła bzdura, nędzna i tchórzliwa mrzonka o bezorężnej walce z uzbrojoną burżuazją, westchnienie za unicestwieniem kapitalizmu bez zacieklej wojny domowej lub szeregu wojen... Działalność zmierzająca do przekształcenia wojny narodów w wojnę domową — oto jedyna działalność socjalistyczna w okresie imperialistycznego starcia zbrojnego burżuazji wszystkich narodów. Precz z klechowisko-sentymentalnym i głuputkim wzdychaniem do „pokoju za wszelką cenę”! Wzniesmy sztandar wojny domowej” (XXI, 27).

Aczkolwiek wśród socjalistów rosyjskich było stosunkowo dużo „internacjonalistów”, czy nawet życzących klęski Rosji carskiej „porażenców”, większość ich nie była tak radykalna, jak tego sobie życzył Lenin. Za jego stanowiskiem i hasłami wypowiadali się tylko nieliczni jego zwolennicy. M.in. Kamieniew, przebywający od 1913 r. w Rosji, po otrzymaniu od Lenina odpowiednich instrukcji zwołał we wsi Ozierki pod Petersburgiem 4. XI. 14 r. zebranie bolszewickich posłów do IV Dumy, proponując by któryś z nich odczytał w Dumie „deklarację” w duchu leninowskich haseł. O zebraniu tym policja carska była zawniku poinformowana i jego uczestnicy zostali na nim aresztowani i później za zdradę stanu skazani na dożywotnie osiedlenie na Syberii (por. XXI, 169, 338 i 501 oraz Badajew, *Bolszewiki w gosudarstwiennoj Dumie*, Leningrad, 1930). W lutym 1915 r. Maksim Litwinow usiłował odczytać przygotowane przez Lenina „tezy” na konferencji socjalistów państw *Ententy* w Londynie, został jednak pozbawiony głosu i wydalony z sali (por. XXI, 127, 176). Gdy po długotrwałych przygotowaniach 5-8 września 1915 r. zebrała się w Zimmerwaldzie w Szwajcarii Międzynarodowa Konferencja socjalistów-„internacjonalistów”, tam również wśród 38 delegatów grupa Lenina, „rewolucyjnych marksistów”, znalazła się w zdecydowanej mniejszości (XXI, 413). Toteż konferencja odrzuciła projekt Lenina powołania do życia nowej III Międzynarodówki (por. XXI, 391) oraz wydania „manifestu do żołnierzy i robotników z wezwaniem ich do natychmiastowej akcji rewolucyjnej” (XXI, 406 i n.). Uchwalona przez konferencję odezwa mówiła jedynie o „pokoju bez aneksji i kontrybucji”, co — zdaniem Lenina — nie wstarczało, gdyż —

podobnie jak hasło „ani zwycięstwa, ani klęski” — było „świadomym lub nieświadomym szowinizmem” oraz „faktycznym staniem po stronie burżuazji i oportunistów” (XXI, 290, 331). Dlatego też grupa Lenina głosowała przeciw uchwalonej przez konferencję zimberwaldzką odezwie. Nie wiele lepiej przedstawiały się dla Lenina sprawy i na II konferencji „internacjonalistów”, jaka się zebrała w końcu kwietnia 1916 r. w Kienthalu. Wzięło w niej udział 43 osoby, w tym 3 posłów do francuskiego parlamentu. Grupa Lenina znowuż była w mniejszości; udało się jej wprowadzić przeprowadzić rezolucję, potępiającą przywódców II Międzynarodówki oraz „socjal-pacyfizm”, jednakże jej „pozytywne” wnioski: o „przekształcaniu wojny imperialistycznej w wojnę domową” oraz o natychmiastowym ukonstytuowaniu się konferencji w III Międzynarodówkę, uchwalone nie zostały. Pomimo to Lenin z konferencji w Kienthalu był raczej zadowolony: przyczyniła się ona do rozszerzenia jego wpływów wśród skrajnych socjalistów różnych narodowości i do jego wysunięcia się na przywódcę pewnego kierunku socjalistycznego w skali międzynarodowej (ob. m.in. XXIII, 246).

Konferencja w Kienthalu była jedynym bodaj — względny — sukcesem Lenina w pierwszym okresie wojny. Na ogół wiodło mu się nieszczerólnie. Na przełomie 1915/16 r. w Bernie dały się szczególnie Leninom we znaki trudności materialne i oboje energicznie szukali jakiejś pracy zarobkowej. Lenin m.in. zaofiarował swoje usługi wydawnictwu Encyklopedii Granata w Petersburgu, gdzie uprzednio umieścił obszerny artykuł o Karolu Marksie. Krupska szukała na miejscu jakichś prywatnych lekcji czy przepisywania. Wieści o trudnej sytuacji materialnej Leninów doszły do Petersburga, gdzie przyjaciele zorganizowali nawet na nich jakąś zbórkę. Nie dawała ona jednak dużych rezultatów, gdyż taki np. Krassin, niegdyś bardzo blisko z Leninem związany i wówczas bardzo dobrze materialnie sytuowany (u Siemens & Schucherta), miał wręcz odmówić datku, oświadczając: „Lenin nie zasługuje na pomoc. Jest to wredny typ i nigdy nie wiadomo, jakie dzikie koncepcje nagle się wylęgają w jego tatarskiej mózgowicy. Do diaska z nim” (Ob. G.A. Salomon, *Lenin i jego siemja*, Paris, 1931, str. 76/8).

2. „NOWY TESTAMENT” MARKSIZMU

a. Możliwość rewolucji socjalistycznej w Rosji

W styczniu 1916 r. Leninowie przenieśli się z Berna do Zurichu, gdzie vegetowali w trudnych warunkach i w bardzo specyficznym otoczeniu — zawodowych przestępców i prostytutek. Aczkolwiek Krupska w swych „*Wspomnieniach o Leninie*” twierdzi, że nie czuł się on źle w tym środowisku „prostego ludu”, Lenin próbował wytworzyć w Zurichu jakieś środowisko

kulturalno-polityczne, a gdy to mu się nie udało, zaczął pracować więcej niż normalnie w bibliotekach. Jeśli w latach 1914/15 w Bernie Lenin pracował głównie nad zagadnieniami filozoficznymi (Notatki Lenina z tego okresu, zebrane w tzw. „*Zeszytach filozoficznych*”, obok jego pracy o „*Materializmie i empirio-krytycyzmie*”, stały się następnie głównym źródłem sowieckiej filozofii), w Zurichu zajął się zagadnieniami ekonomiczno-politycznymi. W dużym stopniu pod wpływem dzieła austriackiego marksisty, Rudolfa Hilferdinga, „*Kapitał finansowy*” (Wiedeń, 1910), w połowie 1916 r. powstała tam praca „*Imperializm, jako najwyższe stadium kapitalizmu*”, którą sam autor nazywał „szkicem popularnym” lub „broszurą”, a która następnie została proklamowana jako „genialne dzieło” teoretyczne, niemal „nowy testament” marksizmu-leninizmu w stosunku do „starego” marksowskiego „*Kapitału*”.

Lenin pisał „*Imperializm*” z zamiarem wydania go legalnie w Petersburgu. Później, już po Rewolucji Marcowej, w kwietniu 1917 r. dopisał doń „*przedmowę*”, w której przyznawał się:

„Broszurę pisałem, mając na względzie cenzurę carską. Dlatego też byłem zmuszony nie tylko ograniczać się do analizy jak najściślej teoretycznej, zwłaszcza ekonomicznej, lecz także formułować niezbędne nieliczne uwagi dotyczące polityki z największą ostrożnością, za pomocą aluzji, językiem ezopowym” (XXII, 215).

Taka metoda pozwoliła następnie, przy tłumaczeniu „*Imperializmu*” z języka ezopowego na potoczny, znajdować w nim być może nawet coś więcej, niż istotnie zawierał.

Spróbujmy tutaj w największym skrócie sformułować zawarte w „*Imperializmie*” jawne i ukryte tezy, które legły następnie u podstaw teoretycznej rewizji marksizmu w postaci tzw. „marksizmu-leninizmu”.

1. Imperializm, to najwyższe, czyli ostatnie stadium kapitalizmu, „*przeddzień rewolucji socjalistycznej*” (XXII, 215); to „*monopolistyczne stadium kapitalizmu*” (304), „*kapitalizm pasywny albo gnijący*” (341), „*przejściowy lub raczej umierający*” (343).

2. W okresie imperializmu poszczególne państwa kapitalistyczne rozwijają się nierównomiernie; w pewnych okresach jedne stosunkowo szybciej niż inne. Powoduje to zmiany w równowadze ekonomiczno-politycznej świata, który jest już *całkowicie* podzielony pomiędzy mocarstwa imperialistyczne. Stąd, zdaniem Lenina, nieuniknioność w okresie imperializmu wojen imperialistycznych o nowy podział świata. „*Wojny imperialistyczne są absolutnie nieuniknione, dopóki istnieje własność prywatna środków produkcji*” (XXII, 218).

3. „*Nierównomierność rozwoju ekonomicznego i politycznego — oto bezwzględne prawo kapitalizmu*. Stąd wynika, że możliwe jest zwycięstwo socjalizmu początkowo w niewielu lub nawet w jednym, z osobna wziętym, kraju kapitalistycznym. Zwycięski proletariatus tego kraju, po wywłaszczeniu

kapitalistów i zorganizowaniu u siebie produkcji socjalistycznej, przeciwstawiały się pozostałemu światu, światu kapitalistycznemu, przeciągając na swą stronę klasy uciskane innych krajów, wzniecając w nich powstania przeciwko kapitalistom, występując w razie konieczności nawet z siłą zbrojną przeciwko klasom wyzyskującym i ich państwom.

Taka teza, „ukryta” w „Imperializmie”, została przez Lenina jawnie sformułowana we wcześniejszym artykule „O hasła Stanów Zjednoczonych Europy” (XXI, 360). Po napisaniu „Imperializmu” Lenin rozwinął ją po raz drugi jawnie w „Programie wojennym rewolucji proletariackiej” w zdaniach następujących:

„Socjalizm, który zwyciężył w jednym kraju, bynajmniej nie wyklucza od razu wszystkich w ogóle wojen. Przeciwnie, implikuje je. Rozwój kapitalizmu w różnych krajach odbywa się nadzwyczaj nierównomiernie... Stąd bezsprzeczny wniosek: socjalizm nie może zwyciężyć równocześnie we wszystkich krajach. Zwycięży początkowo w jednym lub kilku krajach, pozostaje zaś w ciągu pewnego czasu pozostaną burżuazyjnymi lub przedburżuazyjnymi. Będzie to musiało wywołać nie tylko tarcia, lecz nawet bezpośrednie dążenie burżuazji innych krajów do rozgromienia zwycięskiego proletariatu państwa socjalistycznego. W takich wypadkach wojna z naszej strony byłaby słuszną i sprawiedliwą. Byłaby to wojna o socjalizm, o wyzwolenie innych ludów od burżuazji... Dopiero po tym, gdy obalimy, zwyciężymy ostatecznie i wywłaszczymy burżuazję w całym świecie, a nie tylko w jednym kraju, wojny staną się niemożliwe... Naszym hasłem powinno być: uzbrojenie proletariatu po to, aby zwyciężyć, wywłaszczyć i rozbroić burżuazję” (XXIII, 78-81).

Z powyższych cytów wynika, że — zdaniem Lenina — droga do światowego ustroju socjalistycznego *nieuniknienie* prowadziła przez wojnę (lub szereg wojen) państwa lub państw, w których najprzód „zapanuje socjalizm”, z resztą świata, na razie jeszcze „burżuazyjnego”. W okresie późniejszym, w dwa lata po zdobyciu władzy w Rosji, Lenin otwarcie powie o „nieuniknioności” w tej sytuacji „szeregu najbardziej straszliwych konfliktów” (XXIX, 141). Były to twierdzenia dla marksizmu nowe: w pismach Marksa i Engelsa nie znajdujemy żadnych wzmianek o tym, aby socjalistyczna rewolucja światowa miała się odbyć drogą wojny jednych państw z innymi. Przeciwnie, z ogólnego kontekstu ich pism wynika, że rewolucja taka miała nastąpić w sposób raczej bezkrwawy, drogą nacisku wciąż wzrastającej większości proletariuszy na wciąż malejącą mniejszość kapitalistów.

4. Inną istotną poprawką, wprowadzoną przez Lenina do „starego marksizmu”, było jego (wprawdzie jawnie nie wypowiedziane w „Imperializmie”, ale z jego rozważań wynikające) stwierdzenie, że rewolucja i ustrój socjalistyczny wcale nie konieczne muszą mieć miejsce najprzód w krajach przodujących, najbardziej technicznie i ekonomicznie rozwiniętych. Przeciwnie, pierwsza rewolucja socjalistyczna może raczej nastąpić w kraju lub krajach bardziej technicznie i ekonomicznie zacofanych i nie odgrywających pierwszorzędnej roli wśród przodujących mo-

carstw w okresie imperialistycznym. W tych ostatnich bowiem imperialistyczna burżuazja, ciągnąc olbrzymie dodatkowe zyski z wyzyskiwanych kolonii oraz mniej rozwiniętych krajów należących do jej „strefy wpływów”, może ich część poświęcać na „przekupywanie” swojej klasy robotniczej i powstrzymywanie jej w ten sposób przed rewolucją.

W datowanej 6 lipca 1920 r. przedmowie do francuskiego i niemieckiego wydania „Imperializmu” Lenin pisał o tym otwarcie:

„Rzecz zrozumiała, że z takich olbrzymich zysków nadzwyczajnych (ponieważ kapitaliści otrzymują je ponad zysk, wyciskany z robotników własnego kraju) można przekupywać przywódców robotniczych i górną warstwę arystokracji robotniczej. Przekupują ją właśnie kapitaliści krajów „przodujących”, przekupują na tysiące sposobów bezpośrednich i pośrednich, jawnych i zamaskowanych. Ta warstwa zburzązających robotników... to główna podpora II Międzynarodówki, a w naszych czasach główna społeczna (nie militarna) podpora burżuazji. Są to bowiem prawdziwi agenci burżuazji w ruchu robotniczym, robotnicze pacholki klasy kapitalistów... W wojnie domowej proletariatu z burżuazją stają oni nieuchronnie w niemałej liczbie po stronie burżuazji” (XXII, 222/3).

Tej „warstwy zburzązających robotników” (przeciwko którym, jako najbardziej niebezpiecznym, przede wszystkim powinna być — zdaniem Lenina — skierowana akcja prawdziwych rewolucyjnych robotników-proletariuszy!) nie ma, lub prawie nie ma, w krajach mniej rozwiniętych, nie-„przodujących”. Dlatego tam burżuazja jest *stosunkowo* słabsza, a rewolucyjny proletariatus *stosunkowo* silniejszy, niż w krajach „przodujących”, i wobec tego miał on, zdaniem Lenina, mieć większe historyczne szanse osiągnięcia zwycięstwa nad burżuazją *wcześniej* niż w krajach „przodujących”.

b. „Samostanowienie aż do oddzielenia”

Jeśli w „Imperializmie” Lenin teoretycznie uzasadnił możliwość rozpoczęcia się międzynarodowej rewolucji socjalistycznej właśnie w Rosji (a nie w Anglii, Francji czy Niemczech), to w licznych w okresie szwajcarskim pracach na tematy spraw narodowościowych doszedł do ukucia hasła „samostanowienia aż do oddzielenia”, które to hasło odegrało w rewolucji rosyjskiej dużą praktyczną rolę.

W państwie wielonarodowym, jak imperium rosyjskie, sprawa ułożenia stosunków pomiędzy poszczególnymi narodami była zagadnieniem pierwszorzędnej wagi. Tymczasem w RSDPR istniały na ten temat poglądy bardzo rozmaite: od domagania się całkowitej narodowej autonomii organizacyjnej przez żydowski „Bund”, do zupełnego niemal negowania znaczenia różnic narodowych przez SDKPiL. Stanowisko Lenina znajdowało się gdzieś pośrodku pomiędzy „nacionalizmem” Bundu a „kosmopolityzmem” SDKPiL i było wykreślone przez wymogi aktual-

nej sytuacji politycznej. Jak zawsze i we wszystkich sprawach u Lenina decydowało kryterium celowości i użyteczności w stosunku do najwyższego celu i „dobra” — rewolucji dla „obalenia burżuazji” (XXII, 171). Dobro zaś rewolucji, jak wiemy („Kultura”, Nr 117/8), wymagało „organizacji z konieczności centralistycznej”, dlatego też „federalistyczne” stanowisko *Bundu* było nie do przyjęcia. Ale dobro rewolucji wymagało również, nie tylko liczenia się z potężnymi siłami energii narodowych, lecz również wykorzystywania tego, jak pisał Lenin (XXI, 95) „bardzo szerokiego i bardzo głębokiego prądu ideowego” w celach rewolucyjnych, a to przy stanowisku SDKPiL było niemożliwe. Dlatego też Lenin gotów był do walki na dwa fronty i propagował w sprawach narodowych politykę „dialektyczną”.

W okresie wojny zagadnienia narodowego patriotyzmu oraz jego postulatów i aspiracji nabrały szczególnej aktualności. Lenin przy wielu okazjach w niezwykle ostrych słowach piętnował „socjal-patriotów” czy „socjal-szowinistów”, jako ohydnych zdrajców sprawy rewolucji i proletariatu. Jednocześnie jednak, jeszcze w grudniu 1914 r., Lenin napisał artykuł „*O dumie narodowej Wielkorosów*”, w którym nie tylko stwierdzał że „byłoby rzeczą nieprzyzwoitą zapominać o olbrzymim znaczeniu kwestii narodowej”, lecz wręcz przyznawał się do posiadania „w pełni poczucia dumy narodowej” (XXI, 96). Z tego jednak poczucia „dumy narodowej” i należyte rozumianego patriotyzmu, zdaniem Lenina, właśnie wynikało pragnienie „za wszelką cenę” przekształcenia „kraju, który słusznie nazywają więzieniem narodów” w „wolną i niezależną, samodzielną, demokratyczną, republikańską, dumną Wielkorosję, układającą swe stosunki z sąsiadami na ludzkiej zasadzie równości, nie zaś na poniżającej wielki naród, opartej o poddaństwo zasadzie przywilejów”. (97).

„Z punktu widzenia interesów właśnie wielkoroskiego proletariatu, pisał Lenin, konieczne jest długotrwale wychowywanie mas w duchu jak najbardziej zdecydowanej... obrony... prawa do samookreślenia wszystkich uciskanych przez Wielkorosów narodów” (99).

Do „prawa do samookreślenia dla wszystkich narodów” oraz do wyrzeczenia się „wszelkich 'aneksji', tj. pogwałceń tego prawa” (XXI, 303), przywiązywał Lenin szczególne znaczenie. W dziesiątkach artykułów, od 1915 r. poczynając, analizował je i popularyzował. „Nie może być socjalistycznym proletariatu, który godzi się z najmniejszym gwałtem, popełnionym przez 'jego' naród nad innymi narodami”, pisał w przededniu konferencji w Zimmerwaldzie w broszurze „*Socjalizm a Wojna*” (XXI, 333). Na jesieni 1915 r., w artykule „*Kilka тез — Od redakcji Socjal-Diemokrata*”, odpowiadał „na pytanie, co by uczyniła partia proletariatu, gdyby rewolucja dała jej władzę w czasie obecnej wojny”: „zapropoNOWALIBYŚMY *wszystkim* walczącym zawarcie pokoju, wysuwając warunek uwolnienia kolonii

oraz *wszystkich* zależnych, uciskanych i niepełnoprawnych narodów” (XXI, 428).

W tym samym czasie polemika z Radkiem dostarczyła Leninowi okazji do obszerniejszego rozwinięcia i uściślenia jego myśli. Zgodnie ze stanowiskiem SDKPiL Radek w „*Berner Tagwacht*” wystąpił z artykułem przeciwko „iluzorycznemu” prawu do samookreślenia, jako chęci „cofnięcia koła historii” ku przeżytemu ideałowi państw narodowych. Odpowiadając Radkowi, Lenin twierdził, że „proletariat nie może zwyciężyć inaczej, jak tylko przez demokrację”, przez *pełną i wszechstronną* realizację *wszystkich* przeobrażeń demokratycznych (XXI, 432, podkreślenia Lenina). Jednym z takich „przeobrażeń demokratycznych” jest właśnie prawo do samookreślenia. Dlatego też, pisał Lenin:

„proletariat Rosji... nie może kroczyć... ku zwycięskiej rewolucji... nie żądając już obecnie w całej pełni i „*rückhaltlos*” swobody oderwania się od Rosji wszystkich ujarzmionych przez carat narodów” (438).

Żądanie to jednak należy rozumieć 'dialektycznie', pisał Lenin w dalszym ciągu:

„Żądamy swobody samookreślenia, tj. niepodległości, tj. swobody oderwania się narodów uciskanych nie dlatego, byśmy marzyli o gospodarczym rozdrobieniu lub o ideale małych państw, lecz przeciwnie, dlatego, że chcemy wielkich państw i zbliżenia wzajemnego, a nawet zlania się narodów, ale na prawdziwie demokratycznej, prawdziwie internationalistycznej podstawie, która jest *nie do pomyślenia bez swobody oderwania się*”.

Powołując się na Marksa, który, „nie będąc nigdy zwolennikiem ani małych państw, ani państwowego rozdrobnienia w ogóle, ani też zasady federacji”, „uważał oderwanie się narodu uciskanego za krok ku federacji, a więc nie ku rozdrobieniu, lecz ku koncentracji zarówno politycznej jak i ekonomicznej, ale ku koncentracji na podstawie demokratyzmu”, Lenin dawał wyraz nie do zrozumienia, że wysuwa teoretyczne HASŁO „samookreślenia” w tym samym celu: „interesów walki rewolucyjnej proletariatu”.

W dalszych swych pracach Lenin powtarzał i rozwijał te same myśli. W lutym 1916 r. w „*tezach*” o „*Rewolucji socjalistycznej a prawie narodów do samookreślenia*” wyjaśniał, że kwestia ewentualnego „oderwania się” przy samookreślanu powinna być rozstrzygnięta przez „przeprowadzenie referendum wśród odrywającego się narodu” (XXII, 167), oraz krytykował stanowisku SDKPiL'u jako „błąd teoretyczny”, jako „zastąpienie marksizmu przez proudhonizm” który w praktyce „oznaczałby mimowolne poparcie najbardziej niebezpiecznego szowinizmu i oportunizmu narodów wielkomocarstwowych” (179). W związku z szeroko propagowanym w owym czasie przez niektórych socjalistów hasłem „pokoju bez aneksji i kontrybucji”, Lenin we wniosku na konferencji w Kienthalu, na wiosnę 1916 r., pod-

kreślał, że nie można uważać za 'aneksję' ani każdego przyłączenia 'cudzego' terytorium, ani też każdego naruszenia *status quo*, a „jedynie przyłączenie terytorium *wbrew woli jego ludności*”; innymi słowy, pojęcie aneksji łączy się nierozdzielnie z pojęciem samookreślenia narodów (XXII, 200/1).

Gdy, pomimo tylokrotnych wypowiedzi Lenina, „polscy esdecy” uparcie odrzucali hasło 'samookreślenia' (i chcieli je zastąpić „wspólnym określeniem” granic przez „wszystkich zainteresowanych obywateli”), zirytowany Lenin nazwał ich stanowisko „karykaturą marksizmu”, po czym przystąpił raz jeszcze do obszernej z nimi polemiki („*Wyniki dyskusji o samookreśleniu*”). Zarzucając 'towarzyszom polskim' mętność i niekonsekwencje oraz wręcz stwierdzając, że „ich rozważania są z teoretycznego punktu widzenia... nieprzerwanym pasmem błędów” (XXII, 396), Lenin za Engelsem odróżniał granice 'naturalne', określone przez „język i sympatię ludności”, od granic 'nienaturalnych' wykreślonych przemocą i uważał, że jakieś granice państwowe muszą istnieć tak długo, jak istnieją państwa. Zwyczajski socjalizm, dowodził, będzie się liczył z 'sympatiami ludności' a nie z siłą i dlatego nie może wyrzec się hasła samookreślenia.

„Towarzysze polscy mówią, że są przeciwni aneksjom”. A przecież, pisał dalej Lenin, „żadne wykrety nie uchronią od wniosku: aneksja jest *pogwałceniem samookreślenia* narodu, jest *wytyczeniem granic* państwa *wbrew woli ludności*”. Ale 'towarzysze polscy' mówią, że są przeciwni *samookreśleniu* (XXII, 375, podkr. Lenina).

W dalszym ciągu polemiki z „polskimi esdekami” Lenin udawał, że oparte na teoretycznym błędzie ich rozumowanie jest zupełnie niekonsekwentne i doprowadza do tego, że w gruncie rzeczy są oni „obiektywnie aneksjonistami” i to idącymi „w swym aneksjonizmie” bardzo daleko. Tak gorąco i gorliwie bronią aneksji dokonanych przez państwa zaborcze, że są „przeciwnikami *wszelkiego* nawet pokojowego odbudowania ich niepodległości”! (380).

Poza pracami polemicznymi Lenin na początku 1917 r. rozpoczął większą pracę o „znaczeniu i roli ruchów narodowych” oraz „stosunku pierwiastka narodowego i międzynarodowego”. Pracy tej, pisanej językiem popularnym i 'cenzuralnym', Lenin nie dokończył. Z ogłoszonych fragmentów wydaje się wynikać, że, zdaniem Lenina, państwa 'narodowe', obejmujące możliwie całość danej narodowości i możliwie narodowo jednolite, w epoce współczesnej „reprezentują najwyższy poziom kulturalny” oraz stoją najwyżej „zarówno pod względem ekonomicznym jak politycznym” (XXIII, 304). Nie „zapominając o historycznie uwarunkowanym i przejściowym charakterze tego typu w ogólnym kapitalistycznym rozwoju ludzkości”, wydaje się, że, zdaniem Lenina, przez ten właśnie typ prowadziła droga koniecznego rozwoju historycznego, zanim — po światowej rewolucji

proletariacko-socjalistycznej — wszystkie dotychczasowe pojęcia „państw” i ich „granic” nie stałyby się, jego zdaniem, całkowicie anachronizmem.

c. Rola państwa w rewolucji

Trzecim wreszcie zagadnieniem teoretycznym, któremu Lenin poświęcił sporo czasu pod koniec 1916 i na początku 1917 r. była kwestia państwa, jego istoty i roli, jaką miało odegrać w toku rewolucji. Do zajęcia się tymi zagadnieniami skłonił Lenina artykuł Bucharina w wychodzącym w Zurichu czasopiśmie „*Jugend-Internationale*”. W artykule tym Bucharin wystąpił ostro przeciwko samej instytucji państwa, do którego — pisał — socjaldemokracja „musi podkreślać swą zasadniczą wrogość” i które po rewolucji socjalistycznej powinno być natychmiast „zniesione”, „wysadzone w powietrze” (*'sprengen'*). Takie stanowisko Bucharina, jak również niektóre inne tezy, zawarte w tym artykule, wywołały niezadowolenie Lenina, który już w 1905 r. mówił o możliwości i celowości „nacisku rządu rewolucyjnego na obywateli” w celu „pogłębienia rewolucji” (Ob. „*Kultura*” Nr. 117-18, str. 39). Niezadowoleniu swemu dał Lenin wyraz, pisząc w grudniu 1916 r. polemiczny artykuł „*Międzynarodówka Młodzieży*” (XXIII, 174), gdzie twierdził, że Bucharin błędnie przypisywał socjaldemokratom poglądy anarchistów. Odmienne bowiem od anarchistów, pisał Lenin:

„socjaliści są za wykorzystaniem współczesnego państwa i jego instytucji w walce o wyzwolenie klasy robotniczej, jak również za koniecznością wykorzystania państwa do stworzenia swoistej formy przejściowej od kapitalizmu do socjalizmu. Taką przejściową formą, która również jest państwem, jest dyktatura proletariatu”.

Pisząc tak w swym artykule, Lenin nie był jednak zbyt pewny swego stanowiska, tym bardziej, że Bucharina nie tylko bardzo lubił, lecz również i bardzo cenił, uważając za dobrego marksistę. Dlatego też zdecydował specjalnie przestudiować całe to zagadnienie teoretycznie, aby wyjaśnić, jakie właściwie było stanowisko klasyków marksizmu w stosunku do instytucji państwa oraz do możliwości i celowości wykorzystania go podczas i po rewolucji. Uważając tę sprawę za „niezmiernie ważną”, Lenin w grudniu 1916 r. zapowiedział powrót do niej w specjalnym artykule, na razie zaś zajął się jej studiowaniem w bibliotekach zurskich.

W rezultacie kilkumiesięcznych studiów Lenina nad dziełami Marksa, Engelsa i innych autorów marksistowskich powstały wówczas wypisy i notatki (*'siniaja tietradka'*), do których Lenin przywiązywał ogromną wagę i które następnie — już po śmierci Lenina — zostały wydane pod tytułem „*Marksizm o państwie*”. Na podstawie tych notatek jesienią 1917 r. Lenin napisał

„Państwo a Rewolucja. Nauka marksizmu o państwie a zadania proletariatu podczas rewolucji”, książkę, której nie zdążył dokończyć z powodu objęcia władzy w Rosji.

3. REWOLUCJA MARCOWA

Jak z powyższego wynika, Lenin wykorzystał lata wojny niezwykle owocnie dla przemyslenia i teoretycznego przepracowania szeregu zagadnień, z którymi miał później praktycznie do czynienia w okresie rewolucji. Nie robił jednak tego świadomie, gdyż, przebywając daleko od kraju, nie bardzo wiedział, co się w nim dzieje i zupełnie nie przypuszczał, aby w Rosji wybuchnąć mogła nowa rewolucja.

Podobnie jak w 1905 r., Rewolucja Marcowa w 1917 r. była zupełnym zaskoczeniem dla „zawodowych rewolucjonistów”. Przygotowali ją nie oni, lecz raczej wielcy książęta i przywódcy skrajnych nacjonalistów (Włodzimierz Puryszkiewicz) przez spiski pałacowe i zabójstwo Rasputina (30. XII. 16) oraz liberalni „kadeci” przez akcję polityczną w Dumie (tzw. „blok postępowy” oraz słynna mowa Pawła Milukowa, 14. XI. 16 r. o „zdradzie czy głupocie” rządu i dworu) i społeczną w organizacjach samorządów miejskich i ziemskich (4). Do spraw tych Lenin, zajęty w Szwajcarii studiami teoretycznymi oraz zwalczaniem ‘socialszowinistów’ i sytuacją w szwajcarskiej partii socjaldemokratycznej, nie przywiązywał najmniejszej wagi: nie ma o nich żadnej wzmianki w jego obszernych *Dzieliach*.

22 stycznia 1917 r. Lenin wygłosił po niemiecku referat o rewolucji rosyjskiej 1905 r. w zuryjskim Domu Ludowym. Nie wspominał w nim nic o możliwości czy prawdopodobieństwie nowej rewolucji w Rosji, przewidywał natomiast „powstania ludowe” w Europie. „Europa brzemienista jest rewolucją”, mówił i zakończył odczyt niezmiernie charakterystycznym dla ówczesnych poglądów i nastrojów Lenina ustępem:

„My, starzy, nie dożyjemy, być może, do decydujących bitew tej nadciągającej rewolucji. Mogę jednak — tak sądzę — z wielką pewnością wyrazić nadzieję, że młodzież, która tak dzielnie pracuje w ruchu socjalistycznym Szwajcarii i całego świata, będzie mieć szczęście nie tylko walczyć, lecz i zwyciężyć w nadciągającej rewolucji proletariackiej” (XXIII, 278).

Nic też dziwnego, że, gdy w kilka tygodni później wczesnym marcowym rankiem „polski esdek” Broński wpadł podniecony do mieszkania Leninów w Zurichu, wołając, że w Piotrogradzie wybuchła rewolucja, — Lenin nie chciał mu wierzyć i czekał na potwierdzenie tej wiadomości przez prasę szwajcarską (por. D. Shub, *Lenin*, str. 176).

(4) Ob. S. P. Mielgunow, *Na putiach k dworcowemu piereworotu, Paryż, 1931 i Legiendy o seiparatnom mirie* (Kanon rewolucji), Paryż, 1957.

Wiadomość była prawdziwa. W ciągu kilku dni (8-15 marca n. st.) drobne na pozór zaburzenia na tle aprowizacyjnym w Piotrogradzie doprowadziły do faktycznego obalenia przeszło trzechsetletniej dynastii Romanowych i objęcia władzy w Rosji przez niezbyt chętnie wyłoniony przez Dumę Rząd Tymczasowy.

Stosownie do składu IV Dumy, rząd ten, pod przewodnictwem prezesa organizacji samorządów, księcia Georga Lwowa (1861 — 1925), miał charakter prawicowo-centrowy. Zresztą nieliczni w IV Dumie socjaliści — mienszewicy i eserzy (bolszewicy byli na zesłaniu na Syberii, ob. wyż.) — teoretycznie uważali że w Rosji odbywa się rewolucja „burżuazyjno-demokratyczna”, w której rola decydująca powinna przypaść liberalnej burżuazji. Dlatego też nie kwapili się z wchodzeniem w skład rządu, lecz zajęli się organizacją Rad Delegatów Robotniczych, rozumianych jako organy samorządu robotniczego. Jedynie Aleksander Kiereński (ur. 1881), prawy socjalista-rewolucjonista, wyłamał się w pewnym stopniu z ogólnego frontu socjalistycznego i przyjął ofiarowane mu przez ks. Lwowa stanowisko ministra sprawiedliwości. Był też on jedynym „ministrem-socjalistą” w pierwszym Rządzie Tymczasowym.

Tzw. w ówczesnym żargonie politycznym „rewolucyjna demokracja”, reprezentowana w pierwszym okresie rewolucji marcowej przez socjalistów i kierowane przez nich Rady Delegatów, udzielała „burżuazyjno-demokratycznemu” Rządowi Tymczasowemu poparcia ograniczonego i warunkowego. Gotowa była go popierać „o tyle, o ile” rząd ten będzie „pogłębiał” zdobycze rewolucji i przeciwstawiał się wszelkim próbom hamowania ich lub ograniczania. Ze stanowiskiem takim godzili się również przebywający w owym czasie w Piotrogradzie bolszewicy. Ich przedstawiciele: Szlapnikow, Żałucki i Mołotow weszli w skład Komitetu Wykonawczego Piotrogradzkiej Rady Delegatów, którego przewodniczącym został poseł do Dumy, mienszewik Czcheidze. Również i przybyli do Piotrogradu w kilka tygodni później, zwolnieni przez Rząd Tymczasowy z więzień i zesłania na Syberii: Kamieniew, Muranow, Swierdłow, Stalin i inni zajęli lojalnie miejsca na lewicy jednolitej „rewolucyjnej demokracji”. Takie też było i stanowisko wznowionej z końcem marca bolszewickiej „*Prawdy*”; m.in. Stalin ogłosił tam wówczas parę artykułów, wypowiadając się w nich za formułką „o tyle, o ile” oraz za organizacyjnym połączeniem się bolszewików z lewicowymi mienszewikami-internacjonalistami.

Tymczasem stanowisko Lenina we wszystkich tych sprawach było zupełnie odmienne. Od chwili otrzymania pierwszych pewnych wiadomości ustosunkował się on negatywnie do Rządu Tymczasowego, jako „przedstawiciela kapitalistów i obszarników”, ściśle związanego „z kapitalistami Anglii i Francji”. W wysłanych 19 marca 17 r. telegraficznych instrukcjach przez Stockholm (gdzie przedstawicielem Lenina był Fürstenberg-Hanecki) do Piotrogradu Lenin pisał:

„Nasza taktyka: całkowita nieufność, żadnego poparcia dla nowego rządu, Kiereńskiego szczególnie podejrzewamy; uzbrojenie proletariatu jedyną gwarancją... żadnego zbliżenia z innymi partiami” (XXIII, 324).

Obszerniej to stanowisko Lenin rozwijał i uzasadniał w kilku „Listach z daleka”, pisanych w późniejszych dniach marca w Zurychu i — również przez Sztokholm — wysyłanych do Piotrogradu. Pierwszy z tych listów został po paru tygodniach wydrukowany w „Prawdzie”, wywołując w Piotrogradzie dużą sensację. Treść jego bowiem była zupełnie sprzeczna z dotychczasową linią tej gazety. Reszta „Listów” została ogłoszona dopiero po śmierci Lenina.

Zupełnie naturalne było, że Lenin, upewniwszy się o zwycięstwie rewolucji w Rosji, zechciał możliwie natychmiast tam się znaleźć. Ze względu na toczącą się wojnę, nie było to łatwe do wykonania. Gdy Trocki, który w czasie wojny wydawał szerzącą poglądy analogiczne do leninowskich gazetkę „Nowyj Mir”, po wybuchu rewolucji marcowej pojechał ze Stanów Zjednoczonych do Rosji przez Anglię, został tam natychmiast po przyjeździe aresztowany i trzeba było dopiero interwencji ministra spraw zagranicznych Rządu Tymczasowego, Milukowa, aby władze angielskie pozwoliły mu na dalszą podróż do Rosji.

Po przyjeździe do Rosji Lenin twierdził (XXIV, 10), że na ogólno-socjalistycznym zebraniu emigrantów rosyjskich w Szwajcarii mienszewik-internacjonalista Martow pierwszy wysunął „plan uzyskania zgody na przepuszczenie emigrantów przez Niemcy w drodze wymiany na internowanych w Rosji jeńców niemieckich i austriackich”. Jeśli nawet odpowiadało to prawdzie, nie ma wątpliwości, że osobiście Lenin nie miał najmniejszych obiekcji przeciwko skorzystaniu z takiej możliwości. Konkretne rozmowy z Niemcami odbywać się miały za pośrednictwem socjalistów szwajcarskich, początkowo Roberta Grimma, a potem Fritza Plattena. Niemcy, po uzyskaniu pozytywnej opinii władz wojskowych (gen. Ludendorfa i gen. Hoffmana) chętnie wyrazili swą zgodę na przepuszczenie przez terytorium niemieckie ze Szwajcarii do Szwecji „zapłombowanego wagonu” z emigrantami rosyjskimi, pod warunkiem zobowiązania się ich „do agitowania w Rosji za wymianą przepuszczonych emigrantów na odpowiednią liczbę internowanych obywateli austriacko-niemieckich” (XXIV, 10).

9 kwietnia 1917 r. 32 emigrantów, w tym 19 bolszewików i 6 bundowców, opuściło Szwajcarię i 13 kwietnia przybyło do Szwecji. Tam Lenina spotkał jego łącznik i przedstawiciel, Fürstenberg-Hanecki. Chciał on także jechać do Rosji, lecz na wyrażeniu rozkaz Lenina pozostał w Sztokholmie, jako członek „Załącznika Biura KC RSDRP”. Oficjalny biurowy szef Haneckiego, Helphand-Parvus, który w tym samym czasie znalazł się również w Szwecji, bardzo chciał się widzieć z Leninem. Lenin mu jednak miał odmówić oficjalnego spotkania.

16 (3 st. st.) kwietnia wieczorem grupa Lenina przyjechała na dworzec Finlandzki w Piotrogradzie. Na placu przed dworcem odbył się wiec powitalny. Pierwsze swe przemówienie Lenin wygłosił z platformy samochodu pancernego, występując niezwykle ostro przeciwko Rządowi Tymczasowemu i wzywając „rosyjski proletariat i armię” do walki o rewolucję socjalistyczną. Sformułowane wówczas po raz pierwszy słynne następnie leninowskie „tezy kwietniowe” wywołały powszechne zdumienie (5). Plechanow nazajutrz w swojej gazecie „Jedinstwo” nazwał je „majaczeniem w gorączce”. Wybitny działacz eserowski i bliski współpracownik Kiereńskiego, Włodzimierz Stankiewicz, zanotował w pamiętniku: „Człowiek, który mówi takie głupstwa, nie jest niebezpieczny... Dobrze, że przyjechał; teraz jest cały na widoku..., teraz on sam siebie obala” (*Wspomnienia*, 1914 — 1919, Berlin, 1920, str. 110). Nawet najbliżsi przyjaciele Lenina byli zakłopotani; Kamieniew umieścił w „Prawdzie” artykuł pt.: „Nasze kontrowersje”, gdzie zaznaczał, że „tezy” stanowią „o s o b i s t y pogląd tow. Lenina” i podkreślał, że „co się tyczy ogólnego schematu tow. Lenina, to wydaje się on nam nie do przyjęcia”.

Pomimo nieprzychylnego przyjęcia przez słuchaczy, sam Lenin nie uważał swoich „tez” ani za „głupstwa”, ani za „majaczenia”, lecz za realny i konkretny program polityczny. Spisał je od razu na papierze i kilkakrotnie powtarzał na zebraniach

(5) Oto streszczenie i wyjątki z leninowskich „tez kwietniowych”:

1. „Nasz stosunek do wojny” nie ulega zmianie pomimo zmiany rządu w Rosji;
2. „Swoistość chwili bieżącej w Rosji polega na przechodzeniu od pierwszego etapu rewolucji... do drugiego jej etapu, który powinien oddać władzę w ręce proletariatu i biedoty chłopskiej”;
3. „Żadnego poparcia Rządowi Tymcz... wyjaśnianie zupełnej kłamliwości wszystkich jego obietnic...”;
4. „Przyznanie faktu”, że w Radach Del. Robotn. „partia nasza „stanowi” na razie słabą mniejszość”. „Dopóki jesteśmy w mniejszości, praca nasza polega na krytyce... przy jednoczesnym głoszeniu konieczności przejścia całej władzy państwowej w ręce Rad Del. Rob.”;
5. „Nie republika parlamentarna — powrót do niej od Rad D. R. byłby krokiem wstecz — lecz republika Rad Del. Rob., Parobcząskich i Chłopskich w całym kraju, od dołu do góry. Zniesienie policji, armii, biurokracji. Płacenie wszystkim urzędnikom — którzy winni być wszyscy obieralni i w każdej chwili usuwalni — wynagrodzenia nie przewyższającego przeciętnej płacy dobrego robotnika”;
6. „Konfiskata wszystkich gruntów obszarnczych. Nacjonalizacja wszystkich gruntów w kraju...”;
7. „Natychmiastowe połączenie wszystkich banków kraju w jeden bank ogólnonarodowy...”;
8. „Nie wprowadzenie socjalizmu jako nasze bezpośrednie zadanie, lecz przejście natychmiastowe jedynie do kontroli nad produkcją społeczną i podziałem produktów ze strony Rad D. R.”;
9. „Zadania partyjne: niezwłoczny zjazd partyjny, zmiana programu, zmiana nazwy”;
10. „Odnowienie Międzynarodówki”.

bolszewickich i ogólno-socjalistycznych, po czym, 20 kwietnia, wydrukował w „Prawdzie”, w skład redakcji której został włączony niezwłocznie po przyjeździe do Piotrogradu. Następnie rozwijał je i uzasadniał w licznych artykułach, przemówieniach wiecowych oraz broszurze „Zadania proletariatu w naszej rewolucji”, która jednak wyszła z druku dopiero po paru miesiącach.

Na zwołanej 27 kwietnia „ogólnomiejskiej pietrogradzkiej konferencji RSDPR (bolszewików)” w obecności 57 delegatów, Lenin bronił „tez” przeciwko m.in. Kamieniewowi i Kalininowi i w końcu uzyskał ich przyjęcie przez konferencję oraz oficjalne uznanie za podstawę dalszej polityki bolszewików. Toteż, gdy 3 maja Rząd Tymczasowy ogłosił notę dyplomatyczną do państw z Rosją sprzymierzonych, oficjalnie przejmując wszystkie zobowiązania międzynarodowe rządów carskich i deklarując „dążenie całego narodu, by doprowadzić wojnę światową do ostatecznego zwycięstwa”, w wynikłych z tego powodu demonstracjach ulicznych bolszewicy wystąpili publicznie z hasłami: „Precz z Rządem Tymczasowym” i „Cała władza w ręce Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich”. Aczkolwiek w rezultacie tych demonstracji dwaj ministrowie: spraw zagranicznych i wojny, Milukow i Guczkow, ustąpili z rządu, Lenin uznał, że na praktyczne wcielanie „tez” jest jeszcze za wcześnie.

„Rząd Tymczasowy — mówił 7 maja Lenin — obalić trzeba, ale nie natychmiast i nie zwykłym sposobem” (XXIV, 244). „Dopiero wtedy będziemy za przejściem władzy w ręce proletariatu i półproletariatu, kiedy Rady D. R. i Ż. wypowiedzą się za naszą polityką i zechcą ująć tę władzę w swoje ręce” (XXIV, 206).

Na razie zaś, zdaniem Lenina, należało dążyć przede wszystkim do zdobycia większości w radach. W tym celu bolszewicy wzywali „robotników i żołnierzy, by dokonywali ponownych wyborów członków Rad w tych wypadkach, kiedy delegaci *niezupełnie* (podkreśl. moje) odpowiadają woli większości” (XXIV 217). Ponieważ Rady nie posiadały w owym czasie żadnej ordynacji ani przepisów wyborczych, odwoływanie dawnych i wybór nowych delegatów nie były trudne i mogły następować na każdym wiecu przez zwykłą większość głosujących. Z możliwości takich bolszewicy konsekwentnie korzystali przez kilka następnych miesięcy.

7 maja zebrał się w Piotrogradzie pierwszy w dziejach Rosji jawny ogólnorosyjski zjazd zwolenników Lenina. Przybyło nań 133 delegatów, mających reprezentować 80 tysięcy rozsianych po całym kraju bolszewików. W związku z zawłaszczeniem przez Lenina w Pradze „firmy” partyjnej, zjazd oficjalnie przybrał nazwę kolejnej — siódmej — konferencji RSDPR i przyznał sobie wszystkie statutowe prawa zjazdu ogólnopartyjnego. Lenin zabierał głos we wszystkich niemal punktach porządku obrad i, pomimo poważnych sprzeciwów m.in. Kamieniewa, Zinowiewa, Rykowa, Piatakowa, Nogina i in., zdołał przeprowadzić swój

punkt widzenia we wszystkich sprawach. Odtąd poglądy Lenina, ujęte w formę uchwał partyjnych, były rozwijane w dziesiątkach broszur, setkach artykułów i tysiącach przemówień wiecowych wśród robotników, chłopów i żołnierzy. W robotników bolszewicy wpajali nieufność do „kontrewolucyjnego” Rządu Tymczasowego, wzywali do opierania się jego decyzjom i mianowanym przez niego urzędnikom (6) oraz do obejmowania za pośrednictwem swoich rad delegatów całości władzy publicznej. Chłpów wzywali do natychmiastowego obejmowania ziemi folwarcznej, a żołnierzy na froncie do „bratania się” z Niemcami (7).

Gdy w rezultacie dymisji Milukowa i Guczkowa do zreorganizowanego rządu ks. Lwowa weszło 6 ministrów-socjalistów, mienszewików i eserów, Lenin natychmiast (24 maja) rzucił hasło: „Nic się nie zmieniło” (XXIV, 401) i bolszewicy nadal prowadzili swą dotychczasową akcję. Sam Lenin brał w niej niezwykle żywy udział: w ciągu pierwszych niespełna 3 miesięcy po przyjeździe do Rosji ogłosił ponad 150 artykułów, kilka broszur i niezliczoną ilość razy przemawiał na różnych zebraniach i wiecach.

4. LENIN DEKLARUJE GOTOWOŚĆ OBJĘCIA WŁADZY

16 czerwca zebrał się w Piotrogradzie I ogólnorosyjski Zjazd Delegatów Rad Robotniczych i Żołnierskich; bolszewicy stanowili na nim wciąż jeszcze nieznacznie mniejszość: na ponad 1.000 delegatów mieli zaledwie 105 zwolenników. Reszta to byli oficjalni mienszewicy i eserzy, wypowiadający się obecnie za całkowitym poparciem Rządu Tymcz., w skład którego wchodziła już wówczas pokaźna liczba ministrów-socjalistów. Przemawiając na Zjeździe w imieniu tych ostatnich mienszewik Herakliusz Ceretelli (ur. 1882) uzasadniał konieczność utrzymania w ówczesnej sytuacji politycznej rządu koalicyjnego ze stronnictwami burżuazyjno-liberalnymi, twierdząc, że „nie ma w Rosji partii politycznej, która by wyraziła gotowość wzięcia władzy całkowicie w swoje ręce”. W tym momencie Lenin, siedząc w tylnych rzędach wśród delegatów, przerwał mówcy okrzykiem, wyrażając w imieniu swej partii taką gotowość.

To oświadczenie następnie powtórzył Lenin z trybuny zjazdu, przemawiając z ramienia jego frakcji bolszewickiej:

(6) 11 maja 1917 r. Lenin pisał w „Prawdzie”: „Idea konieczności kierowania przez mianowanych odgórnie urzędników jest z gruntu fałszywym, niedemokratycznym, cesarystycznym lub blankistowskim awanturnictwem” (XXIV, 330).

(7) „Jest rzeczą jasną, że bratanie się — to droga do pokoju... Niech żyje bratanie się! Niech żyje rozpoczynająca się światowa proletariacka rewolucja socjalistyczna”, pisał Lenin w artykule „Znaczenie bratania się” (XXIV, 324-5).

„Ja odpowiadam: jest! Żadna partia nie może się od tego uchylić i nasza partia od tego się nie uchyla: w każdej chwili gotowa jest wziąć całkowitą władzę” (XXV, 6).

Taka publiczna deklaracja Lenina wywołała na sali śmiechy, lecz również i oklaski, i niewątpliwie przyczyniła się do dalszego wzrostu jego popularności. Wielu przybyłym z prowincji delegatom musiało też trafiać do przekonania leninowskie hasło objęcia pełni władzy przez Rady Delegatów oraz jego argumenty o nielogiczności i niecelowości dalszego utrzymywania „dwuwładzy” organów Rządu Tymcz. i Rad Delegatów. Być może zaproponowany wówczas przez Lenina program przewyższający trudności gospodarczych przez „aresztowanie 50 czy 100 największych milionerów” (XXV, 7) znalazł również na sali utajonych zwolenników. Wywołał on wprawdzie oburzenie Kiereńskiego, który, odpowiadając Leninowi, zakwestionował jego wierność zasadom marksizmu:

„Obywatel Lenin nie powinien nazywać siebie socjalistą, gdyż socjalizm nigdy nie zalecał rozwiązywania zagadnień wojny ekonomicznej, wojny klas w dziedzinie stosunków ekonomicznych, zagadnień ekonomicznej reorganizacji państwa, poprzez aresztowanie ludzi. Czynią tak tylko azjatyccy despoci... Wy, bolszewicy, proponujecie wręcz dziecinne rozwiązanie: „aresztować, zabić, zniszczyć!”. Kim wy właściwie jesteście: socjalistami czy też policją starego reżymu?” —

ale nie wszyscy delegaci na Zjeździe rad robotniczych i żołnierskich byli na intelektualnym i moralnym poziomie Kiereńskiego.

Stwierdzić należy, że w okresie I Zjazdu Rad wpływy bolszewików wśród robotników i żołnierzy w Piotrogradzie były stosunkowo znacznie większe niż na prowincji. Toteż, aby wpłynąć na delegatów zjazdu i zademonstrować im swoją siłę i wpływ, Lenin zdecydował urządzić w Piotrogradzie w okresie trwania zjazdu wielką uliczną demonstrację swoich zwolenników. Rozpoczęły się prace przygotowawcze, które zaniepokoiły przywódców większości na zjeździe, i w przeddzień wyznaczonej na 23 czerwca demonstracji Zjazd powziął uchwałę, zakazującą w czasie trwania zjazdu wszelkich demonstracji ulicznych. Po pewnych wahaniach bolszewicy w ostatniej chwili zdecydowali się podporządkować uchwałę zjazdu i odwołali demonstrację. Ponieważ jednak demonstracje uliczne w owym okresie rewolucji rosyjskiej były bardzo popularne i zakaz ich przez Zjazd Rad wywołał pewne zdziwienie i rozgoryczenie mas piotrogrodzkich, przywódcy większości Zjazdu, zadowoleni z sukcesu odniesionego nad bolszewikami, zdecydowali sami urządzić wielką manifestację uliczną w tydzień po planowanej przez bolszewików. Bolszewicy natychmiast dostosowali się do nowej sytuacji i zalecili swoim zwolennikom kontynuować prace przygotowawcze i wziąć udział we *wspólnej* demonstracji jednak pod *własnymi* hasłami. Ponieważ organizacja ze strony ich przeciwników raczej zawiódła, w praktyce olbrzymia demonstracja robotnicza i żoł-

nierska w dniu 1 lipca (18. VI. st. st.) odbyła się pod bolszewickimi hasłami: „Pełnia władzy w ręce Rad”, „Precz z 10 ministrami-kapitalistami” itp.

Zachęceni powodzeniem bolszewicy zdecydowali demonstrację powtórzyć, tym bardziej że rozpoczęta właśnie 1 lipca wielka ofensywa na froncie galicyjskim przyczyniła się do dużego podniecenia opinii publicznej, szczególnie wśród przebywających w garnizonach żołnierzy. Fakt, że powtórna demonstracja uliczna została przez bolszewików wyznaczona w terminie, kiedy Lenin przebywał na krótkim wypoczynku w Finlandii, wydaje się zaprzeczać wysuwany niekiedy przypuszczeniu, że już w lipcu bolszewicy zamierzali sięgnąć po pełnię władzy w Rosji. Z drugiej jednak strony, cechą charakterystyczną tej powtórnej demonstracji ulicznej było to, że biorący w niej udział żołnierze zjawili się uzbrojeni. Powodem tego miał być dowcip, czy też żart, Stalina. W przeddzień wyznaczonej na 16 lipca demonstracji marynarze kronsztadzcy zwrócili się telefonicznie do redakcji „Prawdy” z zapytaniem, czy mają przybyć na demonstrację z bronią, czy też bez. Zastępujących Lenina Kamieniewa i Zinowiewa nie było pod ręką i do telefonu podszedł Stalin. Usłyszawszy pytanie, Stalin odpowiedział: „My, pisarze, nigdy nikogo nie pytamy, czy mamy zabierać ze sobą nasze narzędzia pracy — pióra. Nosimy je zawsze ze sobą. A co do karabinów, to wy już lepiej wiecie”. Po takiej odpowiedzi marynarze i żołnierze przyszedli na demonstrację ze swymi „narzędziami pracy”, co w konsekwencji doprowadziło do strzelaniny i rozruchów. Między innymi demonstranci, nie mogąc zrozumieć, dlaczego właściwie przywódcy Rad Delegatów, ministrowie-socjaliści, nie chcą brać w swoje ręce „pełnię władzy”, „aresztowali” jednego z nich, ministra rolnictwa, esera Wiktora Czernowa (1875 — 1952), z krzykami: „bierz, taki synu, władzę, skoro ci ją dają”, i trzeba było dopiero interwencji Trockiego, aby tłum go zwolnił.

Lenin, powiadomiony w Finlandii o wybuchu rozruchów w Piotrogradzie, przybył tam natychmiast i 17 lipca przemawiał do tłumów z balkonu pałacu Krześcińskiej, domagając się, podobnie jak w napisanym tegoż dnia artykule do „Prawdy”, złożenia „całej władzy w ręce Rad” (XXV, 154). Demonstracje i rozruchy bowiem nie zakończyły się 16 lipca, lecz przeciągnęły się na dni następne, ujawniając całkowity brak siły i autorytetu Rządu Tymcz. Rząd ten zresztą przechodził w tym okresie kryzys, gdyż w przeddzień rozpoczęcia demonstracji ustąpiło z niego 3 ministrów-„kadetów”, a ówczesny minister wojny, Kiereński, przebywał na froncie w związku z niepomysłnym rozwojem ofensywy galicyjskiej. Zdekompletowani i przerażeni rozwojem sytuacji ministrowie zdecydowali się na nadzwyczajne posunięcie i minister sprawiedliwości, Pierewierzew, spowodował ogłoszenie przez kilka piotrogrodzkich gazet wiadomości i dokumentów o tym, że Lenin i bolszewicy są niemieckimi agentami i działają na polecenie niemieckiego sztabu generalnego. Wiadomości te wywołały olbrzymie wrażenie: z jednej strony na demonstrantów,

z drugiej na zachowujące się dotąd biernie elementy patriotyczne. Te ostatnie wystąpiły z kontrademonstracjami antybolszewickimi, m.in. rozgraniając w nocy na 18 lipca redakcję i drukarnię „Prawdy”.

Nazajutrz, w obliczu powszechnego zamętu i zamieszania, rząd wydał zarządzenie zamykające „Prawdę” i inne wydawnictwa bolszewickie, obsadził wojskiem zajmowane dotąd przez bolszewików gmachy (m.in. pałac Krzesińskiej) i nakazał aresztowanie Lenina, Zinowiewa, Kollontaj i kilku innych przywódców bolszewickich pod zarzutem wywołania zbrojnych ruchów na zlecenie i z pomocą finansową władz niemieckich. W kilka dni później aresztowani zostali także Trocki i Łunaczarski, jednakże niedługo zwolnieni za nieznaczną kaucją (Trocki — 3.000 rubl.).

5. OSTATNIE „PODZIEMIE” LENINA

Już sam fakt przyjazdu Lenina i innych bolszewików do Rosji przez Niemcy wywołał w stosunku do nich pewne podejrzenia i zarzuty, z których Lenin po przyjeździe musiał publicznie się tłumaczyć (Ob. XXIV, 9, 110, 114, 122 itd.). Ze cała następna akcja bolszewików i, w szczególności, Lenina przeciwko Rządowi Tymcz. i „wojnie imperialistycznej” OBIEKTYW-NIE leżała w interesie Niemiec, to nie ulegało wątpliwości. Powstawało jednak pytanie, czy była ona tylko wynikiem ich ideowego przekonania, czy też była prowadzona w porozumieniu i przy pomocy czynników niemieckich lub z Niemcami związanych. Pewne podejrzenia wzbudzały znaczne środki materialne, przy pomocy których bolszewicy prowadzili swą niezwykle rozbudowaną propagandę ustną i drukowaną. Aparat śledczy Rządu Tymcz. od dawna zwrócił na to uwagę i starał się tę sprawę wyjaśnić. Ślady szły w kierunku Stockholmu, gdzie w charakterze „Zagranicznego Biura” bolszewików urzędowali trzej „Polacy”: Radek, Worowski i Fürstenberg-Hanecki, którego stosunki „handlowe” z Halphandem-Parwusem były notorycznie znane. Ożywiona korespondencja listowna i telegraficzna pomiędzy Stockholmem a Leninem i innymi bolszewikami w Piotrogradzie była przedmiotem dużego zainteresowania czynników prowadzących śledztwo. Interesowały się one również pewnym rachunkiem w jednym z pietrogradzkich banków, gdzie przelewały się setki tysięcy rubli, częściowo przynajmniej nadchodzące od Haneckiego ze Stockholmu. Właścicielką tego rachunku była niejaka pani Sumensohn, pozostająca w zażyłych stosunkach z notorycznymi bolszewikami: Aleksandrą Kollontaj oraz niejakim W. Kozłowskim, adwokatem i członkiem KW pietrogradzkiej Rady Delegatów z ramienia frakcji bolszewickiej. W połowie lipca czyniki śledcze dysponowały już pewną ilością materiałów, stanowiących co najmniej poszlaki otrzymywania przez bolszewików

niemieckich pieniędzy. Ostateczne tego dowody spodziewano się uzyskać bezpośrednio od Haneckiego, który około 20 lipca miał przyjechać ze Stockholmu do Piotrogradu i którego aresztowanie przy przekraczaniu granicy było zawczasu zarządzone. Przedwczesne ujawnienie sprawy przez ministra Pierewierziewa ostrzegło Haneckiego, który zrezygnował z przyjazdu do Rosji i nie dostarczył w ten sposób rządowi ostatecznych dowodów.

Po ogłoszeniu „rewelacji Pierewierziewa” Lenin początkowo bronił się artykułami prasowymi, twierdząc m.in., „że ani Hanecki, ani Kozłowski nie są bolszewikami, lecz członkami polskiej partii S-D (8) i że „żadnych pieniędzy ani od Haneckiego ani od Kozłowskiego bolszewicy nie otrzymywali”. „Wszystko to jest najzupełniejszym, najordynarniejszym kłamstwem” (XXV, 159). W liście do redakcji „Nowaja Żyźń” Lenin tak się tłumaczył: „wplątuje się nazwisko Parwusa, ale pomija się fakt”, że redagowane przez Lenina pismo już w 1915 r. „napiętnowało Parwusa jako 'renegata' 'liżącego but Hindenburga'”; „wplątuje się nazwisko jakiegś Sumensohn... której nigdy nawet nie widzieliśmy na oczy”; „wplątuje się handlowe sprawy Haneckiego i Kozłowskiego...” (XXV, 186). Wreszcie w „Odpowiedzi” na urzędowy komunikat „prokuratora pietrogradzkiej izby sądowej” Lenin pisał m.in.:

„Nieprawdą jest, że w sprawie zwolnienia mnie z więzienia (austriackiego — ob. wyż.) odegrał rolę Hanecki... Jest nikczemnym kłamstwem, że pozostawałem w stosunkach z Parwusem... Prokurator gra na to, że Parwus związany jest z Haneckim, a Hanecki z Leninem! Jest to jednak chwyt wprost lotrowski, wszyscy bowiem wiedzą, że Hanecki miał z Parwusem interesy pieniężne, my zaś z Haneckim nie mieliśmy żadnych” (XXV, 229-30).

Pomimo wszystkich tych argumentów, Lenin przed sąd się nie stawiał i ukrył przed aresztowaniem, uzasadniając to „teoretycznie” tym, że „rządu nie ma... Działa dyktatura wojskowa. Jest rzeczka śmieszna nawet mówić tu o 'sądzie'. Chodzi nie o 'sąd', lecz o epizod w wojnie domowej” (XXV, 181, por. 189). Ukrycie się Lenina i dalszy rozwój rewolucji rosyjskiej spowodowały, że sprawa z oskarżenia Lenina o współpracę z Niemcami nigdy przez sąd rozpatrzona nie została. Zebrane przez śledztwo materiały po przewrocie listopadowym dostały się w ręce bolszewickie. Przez długie jednak lata toczyły się następnie w literaturze światowej polemiki, czy bolszewicy istotnie brali pieniądze niemieckie, czy też oskarżenie Pierewierziewa było tylko użytym w trudnej sytuacji nielojalnym środkiem walki politycznej. Ogłoszona w kwietniu 1956 r., przez londyński kwartalnik „International Affairs” (Vol. 32, Nr. 2) depesza niemieckiego

(8) O Kozłowskim wspomina moskiewski „Kommunist” w lutym 1957 r. (Nr 3, str. 108) jako o „delegacie-bolszewiku” i członku Kom. Wyk. Piotrogradzkiej Rady Del.

ministra spraw zagranicznych v. Kühlmanna do cesarza Wilhelma II wydaje się ostatecznie rozstrzygać tę kontrowersję.

Według późniejszej oceny Lenina, „wypadki 16-18 lipca były punktem przełomowym całej rewolucji” (XXV, 335). Z jednej strony ujawniły, że w owym czasie władza w Piotrogradzie leżała w dosłownym niemal znaczeniu słowa „na ulicy” i że wzięcie jej w ręce przez zdecydowanych na to ludzi nie nastroczało większych trudności. Z drugiej naocznie ujawniły również, że formalni przedstawiciele rad delegatów, za objęciem przez które „pełni władzy” bolszewicy od kilku miesięcy prowadzili zacięłą agitację, władzy tej za żadną cenę brać nie chcą (Incident z Czernowym).

Wreszcie w rezultacie „wypadków lipcowych” nastąpiła pewna aktywizacja i mobilizacja sił wrogich bolszewikom. Rząd, po parodniowej prostracji, zdecydował się na bardziej energiczną akcję: ściągnął do stolicy kozackie pułki gen. Kaledina i zarządził wobec bolszewików formalnie surowe represje. Wszystko to natychmiast uświadomił sobie Lenin i wyciągnął wnioski na przyszłość. Bezpośrednio po wypadkach lipcowych napisał artykuł „W sprawie hasła” (XXV, 191 i n.), stwierdzając, że „hasło przejścia władzy w ręce Rad brzmiałoby teraz jak donkiszoteria lub kpiny”. Hasło to było hasłem „pokojowego rozwoju rewolucji”, który, zdaniem Lenina, był możliwy przed „wypadkami”. Przełom lipcowy, wyjaśniał dalej Lenin,

„na tym właśnie polega, że po nim obiektywna sytuacja zmieniła się gwałtownie. Skończyła się chwiejność w sytuacji władzy; władza na decydującym odcinku przeszła w ręce kontrewolucji... Tę władzę trzeba obalić... proletariat rewolucyjny powinien samodzielnie wziąć w swe ręce władzę państwową”.

Jak to uczynić? Lenin nie miał pod tym względem najmniejszej wątpliwości: w drodze powstania zbrojnego, w drodze „wojny domowej”. Polemizując ze swoim starym antagonistą, Martowym, Lenin w gazecie „Proletarij” 1 września 1917 r. pisał: „Po 4 (st. st.) lipca przejście władzy w ręce Rad stało się bez wojny domowej niemożliwe...” (XXV, 270).

I znowu jednak, jak w kwietniu, zdecydowane i radykalne stanowisko Lenina spotkało się z oporami ze strony jego najbliższych współpracowników. Tym razem sytuacja była o tyle trudniejsza, że zagrożony aresztowaniem Lenin musiał wyjechać z Piotrogradu, najprzód na wieś a potem do Finlandii, i nie mógł osobiście przełamywać oporów. Pozostawieni sami sobie, jego współpracownicy z KC nie mogli, zdaniem Lenina, dać sobie rady w skomplikowanej sytuacji politycznej i raz po raz popełniali głupstwa, za które ich Lenin surowo besztiał listownie (Ob. XXV, 257, 304; XVI, 1-225 — *passim*).

8 sierpnia, w 3 tygodnie po wypadkach lipcowych, zebrał się w Piotrogradzie VI zjazd partyjny. Przybyło nań 175 delegatów, mających reprezentować 177 tysięcy członków partii. Obrady

zjazdu odbywały się na wpół legalnie: czołowi przywódcy — Lenin, Kamieniew, Zinowiew, będąc poszukiwani przez policję, nie mogli w nich wziąć udziału, wobec czego główna rola na zjeździe przypadła Bucharinowi i Stalinowi. Ten ostatni zresztą nie występował samodzielnie, lecz jako *porte parole* Lenina: w czasie obrad zjazdu dwukrotnie jeździł do przebywającego na stacji Razliw pod Piotrogradem Lenina i przywoził od niego szczegółowe ustne i pisemne instrukcje.

Zjazd wybrał Lenina na honorowego przewodniczącego i całkowicie zaakceptował jego stanowisko w sprawie ukrycia się przed sądem oraz zmiany haseł i taktyki partii. Ze względów cenzuralnych uchwalona przez zjazd rezolucja wyrażała to dość mgliście, mówiąc o „obowiązku klas rewolucyjnych uczynienia wszystkich wysiłków w celu wzięcia władzy w swoje ręce”. W skład wybranego przez zjazd KC weszli w kolejności ilości otrzymanych głosów: Lenin, Zinowiew, Kamieniew, Trocki (9), Nogin, Kołontaj, Stalin, Świerdłow, Rykow, Bucharin, Artiem, Joffe, Krycki, Milutin, Łomow, Dzierżyński, Urycki, Bubnow, Sokolnikow, Tomski i Frunze — ogółem 21 osób.

Wypadki lipcowe spowodowały również daleko idące zmiany w ogólnej sytuacji politycznej w Rosji. Rząd ks. Lwowa ustąpił i nowy Rząd Tymcz., tym razem już z wyraźną przewagą socjalistów, utworzył Aleksander Kiereński. Nowy premier formalnie zatrzymał swoje ostatnie stanowisko ministra wojny, powołując na wiceministra Borysa Sawinkowa (1879 — 1925), znanego przed rewolucją przywódcę eserowskich terrorystów. Sawinkow, jako komisarz Rządu Tymcz. na froncie galicyjskim, zaprzyjaźnił się tam z gen. Ławrem Korniłowem (1870 — 1918) i zaproponował Kiereńskiemu mianowanie go Naczelnym Wodzem. Korniłow, którego jego kolega Brusilow scharakteryzował przy jakiejś okazji, jako „człowieka o lwim sercu i baraním mózgu”, zapragnął odegrać rolę polityczną i „ratować Rosję”. Otrzymawszy od rządu rozległe pełnomocnictwa, przystąpił do reorganizacji armii i zaczął przesuwac dywizje kozackie z frontu w kierunku Piotrogradu i Moskwy. Na zwołanej przez rząd pod koniec sierpnia do Moskwy tzw. Naradzie Politycznej gen. Korniłow, jako Naczelný Wódz, przeciwstawiał się w pewnym stopniu szefowi rządu. Gdy 3 września Niemcy zdobyli Rygę i bezpośrednio zagrozili Piotrogradowi, Korniłow zażądał udzielenia mu specjalnych pełnomocnictw w stolicy. Na tle tych i innych żądań Korniłowa, w okolicznościach i sytuacji dość niejasnych, doszło pomiędzy nim a Kiereńskim do otwartego konfliktu: Kiereński udzielił dymisji Korniłowowi, a Korniłow zażądał dymisji Kiereńskiego i skierował swe wojska na Piotrogród. Przez parę dni wydawało się, że w Rosji rozpocznie się wojna domowa. Gdy jednak kolejarzy i telegrafistów przestali wykonywać

(9) Stanowisko Trockiego w czasie wojny i po rewolucji marcowej bardzo się zbliżyło do stanowiska Lenina, co spowodowało, że na VI Zjeździe Trocki formalnie przystąpił do partii bolszewickiej.

rozkazy pochodzące od Korniłowa, wojska jego zostały zatrzymane i wkrótce „pobratały się” z oddziałami rządowymi. 12 września Kiereński osobiście objął stanowisko naczelnego wodza i Korniłow został aresztowany i umieszczony w twierdzy w Bychowie.

O ile wypadki lipcowe wywołały w opinii publicznej dużą niechęć do bolszewików, to „zamach Korniłowa” spowodował jej przesunięcie się na lewo. Ówczesne organy rad delegatów, wypowiadając się całkowicie po stronie Kiereńskiego, wezwały masy robotnicze do tworzenia uzbrojonych oddziałów czerwonej „gwardii robotniczej”; w niektórych miejscowościach doszło do wybryków i samosądów w stosunku do oficerów, posadzanych o sympatie korniłowowskie. Wszystko to było wodą na młyn planów Lenina i polityki bolszewickiej.

Jakież jednak było stanowisko bolszewików w okresie „zamachu Korniłowa”? Początkowo, gdy rozeszły się wiadomości o kontrrewolucyjnym wystąpieniu naczelnego wodza i Kiereński oraz organy rad robotniczych wezwały masy do przyścia im z pomocą dla zdławienia kontrrewolucyjnego buntu, naturalnym odruchem u wielu zdecydowanych bolszewików było wystąpienie przeciwko Korniłowowi po stronie Kiereńskiego. Przeraziło to Lenina, który w specjalnym liście do KC surowo potępiał tych bolszewików, którzy „sprzeniewierzają się zasadom” i „staczają się... do bloku z eserowcami, do popierania Rządu Tymczasowego”. „Jest to arcybłędne, pisał kategorycznie Lenin, jest to brak zasad”. „Zasadom” zaś, zdaniem Lenina, miała odpowiadać polityka następująca:

„Popierać rządu Kiereńskiego nie powinniśmy *nawet teraz*... Będziemy walczyli z Korniłowem, tak jak wojska Kiereńskiego, ale nie popieramy Kiereńskiego, lecz demaskujemy jego słabość... zmieniamy *formę* naszej walki z Kiereńskim... nie rezygnując z zadania obalenia Kiereńskiego... Błędem byłoby myśleć, że *oddaliśmy* się od zadania zdobycia władzy przez proletariat. Nie. Nadzwyczaj przybliżyliśmy się do tego zadania, ale *nie wprost*, lecz z boku. I agitować należy *w tej chwili* nie tyle wprost przeciw Kiereńskiemu, ile *pośrednio*...” (XXV, 304 i n. podkr. Lenina)

Zanim jednak sytuacja ostatecznie się wyjaśniła, musiała ona wydawać się tak skomplikowana, że sam Lenin zaczął jak gdyby się wahać. Nazajutrz po wysłaniu omówionego wyżej listu do KC napisał artykuł „*O kompromisach*”, w którym proponował kompromis właśnie w praktyce Kiereńskiemu. W artykule tym Lenin pisał m.in.:

„Partia nasza, jak zresztą każda inna partia polityczna, dąży do zdobycia panowania politycznego *dla siebie*. Celem naszym jest dyktatura rewolucyjnego proletariatu... Obecnie nastąpił tak gwałtowny i tak oryginalny zwrot w rewolucji rosyjskiej, że możemy, jako partia, zaproponować do browolny kompromis... nie burżuazji, naszemu bezpośredniemu i głównemu wrogowi klasowemu, lecz naszym najbliższym przeciwnikom... eserowcom i mienszewikom... Kompromisem jest z naszej strony powrót do żądań przedlipcowych: cała władza w ręce Rad, odpowiedzialny wobec Rad rząd skła-

dający się z eserów i mienszewików... Kompromis polegałby na tym, że bolszewicy, nie pretendując do brania udziału w rządzie... zrezygnowaliby z wysunięcia natychmiast żądania przejścia władzy w ręce proletariatu i biędy chłopskiej, zrezygnowaliby z rewolucyjnych metod walki o to żądanie... Mienszewicy i eserowcy... zgodziliby się..., że cała władza zostałaby przekazana w ręce Rad również w terenie... (Wówczas) naprawdę całkowita wolność agitacji oraz niezwłoczne urzeczywistnienie nowego demokratyzmu w składzie Rad (ich ponowne wybory) i w ich funkcjonowaniu same przez się zapewniłyby pokojowy ruch rewolucji naprzód, *pokojowe ułożenie się walki partyjnej w łonie Rad*” (XXV, 329/30).

Zanim jednak napisany artykuł został wysłany, sytuacja z Korniłowem się wyjaśniła i po przeczytaniu nowonadeszłych gazet Lenin zdecydował, że „na zaproponowanie kompromisu jest już bodaj za późno... Wszystko wskazuje na to, że dni, w których przypadkowo stała się możliwa droga pokojowego rozwoju, *już minęły*” (334). Pomimo to Lenin napisany artykuł ogłosił (wraz z posłowiem), usuwając przez to wszystkie wątpliwości co do swoich planów i zamiarów na przyszłość.

6. LENIN PRZYGOTOWUJE SIĘ DO OBJĘCIA WŁADZY

Plany i zamiary Lenina przedstawiały się właściwie bardzo prosto. Sprowadzały się one do 4 punktów:

1. zdobycia sympatii mas żołnierskich poprzez prowadzenie agitacji za natychmiastowym przerwaniem wojny i zaproponowaniem powszechnego pokoju;
2. zdobycia sympatii mas chłopskich przez prowadzenie agitacji za natychmiastowym rozdzieleniem pomiędzy nimi wszystkich gruntów;
3. zdobycia, chociażby względnej, większości w Radach Delegatów Robotniczych;
4. i następnie, drogą zbrojnego powstania czy wojny domowej, zdobycia całej władzy w państwie dla „rewolucyjnego proletariatu” (czyli dla partii bolszewickiej, czyli osobiście dla Lenina), tj. ustalenia ich dyktatury.

Do praktycznej realizacji tych planów Lenin zmierzał z całą konsekwencją i głęboką wiarą w ich powodzenie. W urzędowym życiorysie Lenina jest przytoczone opowiadanie Ordżonikidze o tym, jak ukrywający się przed aresztowaniem Lenin „zupełnie poważnie” zgodził się ze zdaniem pewnego towarzysza, że za parę miesięcy „władza przejdzie w ręce bolszewików i przewodniczącym rządu będzie Lenin. Iljicz zupełnie poważnie odpowiedział: 'Tak, właśnie tak będzie' ” (Str. 235).

Podstawy do optymizmu i pewności siebie dostarczały Leninowi fakty następujące:

1. zachowanie się wojska w czasie „zamachu Korniłowa”. „Powstanie Korniłowa w pełni ujawniło fakt, że armia, cała armia, nienawidzi kwatery głównej” (XXV, 338);

2. odkrycie w „Izwestijach” Wszechrosyjskiej Rady Delegatów Włościańskich „Wzorcowego Nakazu”, zawierającego zestawienie wszystkich postulatów wysuwanych przez masy chłopskie (XXV, 293);

3. uzyskanie względnej większości w pietrogradzkiej Radzie Delegatów: 13 września, nazajutrz po aresztowaniu Kornilowa, Rada ta po raz pierwszy uchwaliła rezolucję wysuniętą przez frakcję bolszewicką i domagającą się objęcia rządów w państwie przez Rady Delegatów; niedługo większość bolszewicka w pietrogradzkiej Radzie się utrwaliła, dawne prezydium (Czcheidze) ustąpiło i przewodniczącym pietrogradzkiej Rady został Trocki;

4. doświadczenie „wypadków lipcowych”.

W tych warunkach, zupełnie niemal pewien ostatecznego zwycięstwa, Lenin przystąpił do teoretycznego opracowywania programu działalności swego przyszłego rządu. Uczynił to w trzech broszurach, napisanych podczas przymusowego pobytu w Finlandii w sierpniu-październiku 1917 r.

Pierwsza z nich: „Grożąca katastrofa i jak z nią walczyć” zawierała program gospodarczy Lenina. Oto kilka cytat z tej pracy:

„Rosji grozi nieuchronna katastrofa... Katastrofa niewidzianych dotąd rozmiarów i głód grożą nieuchronnie... A przecież... sposoby walki z katastrofą i głodem istnieją, środki walki są zupełnie jasne i proste... Oto owe najważniejsze środki: 1)... nacjonalizacja banków, 2)... nacjonalizacja syndykatów, tzn. największych monopolistycznych związków kapitalistów... 3) zniesienie tajemnicy handlowej, 4) przymusowe zjednoczenie w związki przemysłowców, kupców i przedsiębiorców w ogóle, 5)... regulowanie spożycia ludności...”.

Taki program rozwijał Lenin na 50 stronach broszury napisanej w końcu września, a wydrukowanej w końcu października 1917 r. (XXV, 347-393).

W napisanym na początku października 50-stronicowym artykule do czasopisma „Proświeszczenie” Lenin zastanawiał się nad zagadnieniem: „Czy bolszewicy utrzymają władzę państwową?” (XXVI, 72 i n.). Nie, czy zdobędą, to zdaniem jego nie ulegało wątpliwości, ale czy utrzymają? I pod tym względem Lenin był pełen optymizmu. Podstawowy jego argument sprowadzał się do twierdzenia, że skoro „po rewolucji 1905 roku Rosją rządziło 130.000 obszarników... za pomocą nieustannych gwałtów, popełnianych na 150 milionach ludzi, za pomocą bezgranicznego znęcania się nad nimi, zmuszania ogromnej większości ludności do katorżniczej pracy i na wpół głodowego bytowania”, to czyż nie potrafi nią „rządzić 240.000 członków partii bolszewików... w interesie biednych przeciwko bogactwu” (95).

Wątpliwości, czy proletariatus, względnie członkowie partii bolszewików zdołają opanować aparat państwowy pod względem technicznym i uruchomić go, Lenin usuwał przy pomocy następujących argumentów:

„„Opanować” „aparatu państwowego” i „uruchomić go” proletariatus nie może. Ale może rozbić wszystko, co służy uciskowi, rutynie... stawiając na jego miejsce własny, nowy aparat. Aparatem tym są właśnie Rady Delegatów Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich” (85).

Ten nowy aparat państwowy miał mieć, zdaniem Lenina, liczne zalety w porównaniu ze starym, tzn. stałą armią, policją i aparatem urzędniczym: 1. daje siłę zbrojną robotników i chłopów; 2. ścisłą i nierozzerwalną więź z masami; 3. skład jego może być zmieniany wedle woli ludu, bez biurokratycznych formalności; 4. daje ścisłą więź z najrozmaitszymi zawodami, ułatwiając przez to najgłębiej sięgające reformy; 5. daje formę organizacji awangardy, mobilizującej, wychowującej i prowadzącej za sobą olbrzymie masy; 6. umożliwia łączenie zalet parlamentaryzmu z zaletami bezpośredniej demokracji, funkcji prawodawczej z wykonywaniem praw. (86-7).

„Główną trudnością — przyznawał Lenin — jest urzeczywistnienie w skali ogólnonarodowej jak najdokładniejszej i najsumienniejszej ewidencji i kontroli... produkcji i podziału produktów. Faktyczną pracę, polegającą na księgowaniu, kontroli, rejestracji, ewidencji i rachubie wykonują tu pracownicy, którzy w większości sami znajdują się w sytuacji proletariatus lub półproletariatus. Jednym dekretem rządu proletariackiego można i należy pracowników tych uczynić pracownikami państwowymi... Takich pracowników państwowych potrzeba nam będzie o wiele więcej i można ich dostać więcej... Monopol zbożowy, kartki na chleb, powszechny obowiązek pracy stanowią w ręku państwa proletariackiego... najpotężniejszy środek ewidencji i kontroli... Trzeba nam zmusić do pracy w nowych ramach organizacyjno-państwowych... skierować do nowej służby państwowej...” (88-93, podkr. Lenina).

W dalszym ciągu artykułu Lenin pisał:

„Państwo, moi mili, jest pojęciem klasowym. Państwo jest narzędziem czy też machiną przemocy jednej klasy nad drugą.. Kiedy państwo będzie proletariackie, będzie machiną przemocy proletariatus nad burżuazją, wówczas całkowicie i bezwarunkowo opowiemy się za silną władzą i za centralizmem... Proletariatus, kiedy zwycięży, uczyni tak: posadzi ekonomistów, inżynierów, agronomów i in. pod kontrolą organizacji robotniczych do opracowania „planu” do wyszukania środków zaoszczędzenia pracy w drodze centralizacji... Zapłacimy za to ekonomistom, statystykom, technikom ładne pieniądze, ale.. ale nie damy im jeść, jeśli nie będą wykonywać tej pracy sumiennie i całkowicie w interesie ludu pracującego” (102).

Stosując takie i podobne środki bolszewicy, zdaniem Lenina, po zdobyciu władzy mieli wszelkie szanse na jej trwałe utrzymanie.

Trzecią wreszcie i największą — zarówno co do objętości, jak i staranności opracowania — pracą Lenina, wykonaną podczas ukrywania się w Finlandii, było zrealizowanie jego jeszcze szwajcarskich planów (ob. wyż.) i napisanie „Nauki marksizmu o państwie i zadaniach proletariatus w czasie rewolucji” — „Państwa a rewolucji”.

„Naukę marksizmu o państwie” stanowiło pracowite zestawienie zebranych w bibliotekach szwajcarskich cytatów z Marksa i Engelsa, uzupełnionych własnymi uwagami Lenina. Według tej nauki państwo było zjawiskiem historycznym, „wytworem nieprzejednanego charakteru przeciwieństw klasowych w społeczeństwie”. Istotą jego jest „władza publiczna”, tzn. specjalne, wyodrębnione z reszty społeczeństwa, „oddziały uzbrojonych ludzi” (wojsko, policja), sądy, więzienia, podatki i urzędnicza biurokracja, — używana jako „narzędzie wyzyskiwania klasy uciskanej”.

W państwie burżuazyjnym „władza publiczna” wyzyskuje zarówno proletariat jak chłopstwo. Toteż, zdaniem Lenina,

„obie te klasy jednocy to, że 'biurokratyczno-militarna machina państwowa' uciska je, dławi, wyzyskuje. Rozbić tę machinę, zdruzgotać ją — to leży rzeczywiście w interesie 'ludu', jego większości, robotników i większości chłopów, to jest 'wstępny warunek' swobodnego sojuszu biedoty chłopskiej z proletariuszami, a bez takiego sojuszu demokracja jest nietrwała i niemożliwe jest przeobrażenie socjalistyczne” (XXVI, 448).

Wypowiedzenie się za „rozbięciem” i „zdruzgotaniem” wykształconej w ciągu wieków machiny państwa burżuazyjnego bynajmniej jednak nie oznaczało, zdaniem Marksa i Lenina, wyrzucenia się „czasowego wykorzystania narzędzi, środków, metod władzy państwowej przeciw wyzyskiwaczom, podobnie jak dla zniesienia klas konieczna jest przejściowa dyktatura klasy uciskanej” (469). W sformułowaniu Lenina państwo, jako „specjalna organizacja siły, organizacja przemocy”, potrzebne było proletariatu po to, aby: 1. „zdławić nieuniknione, zaciekle opór burżuazji” i „znieść wszelki wyzysk” (434); 2. „krok za krokiem wyrwać z rąk burżuazji cały kapitał, scentralizować wszystkie narzędzia produkcji... i możliwie szybko zwiększyć sumę sił wytwórczych” (432); 3. „kierować olbrzymimi masami ludności, chłopstwem, drobną burżuazją, półproletariuszami, przy 'montowaniu' gospodarki socjalistycznej” (434); 4. wychować całe społeczeństwo tak, by je przyzwyczaić „stopniowo do przestrzegania elementarnych, od wieków znanych, w ciągu tysiącleci we wszystkich abecadłach moralności powtarzanych reguł współżycia, przestrzegania ich bez przemocy, bez przymusu, bez podlegania, bez specjalnego aparatu do przymuszania, który nazywa się państwem” (498).

Dopiero po zrealizowaniu tych celów machina państwowa przestanie być proletariatu potrzebna, do tego zaś czasu proletariat będzie posługiwał się państwem „nie w interesie wolności, lecz w celu zdławienia swych przeciwników” (473) „i państwo tego okresu musi być nieuniknione państwem na nowy sposób demokratycznym (dla proletariuszy i w ogóle dla mas nieposiadających) i na nowy sposób dyktatorskim (przeciwko burżuazji)” (443). Formy jego mogą być bardzo różnorodne, „lecz istota rzeczy będzie przy tym nieuchronnie ta sama: dyktatura proletariatu” (444).

Jedną z takich „form”, jak to już zauważył Marks, był ustrój Komuny Paryskiej w 1871 r., gdzie została zniesiona armia stała i wprowadzona „bezwzględna obieralność i usuwalność wszystkich urzędników” przy sprowadzeniu „pensji wszystkich osób urzędowych w państwie do poziomu płacy robotniczej robotnika” (450/1). Otóż, zdaniem Lenina, wytworzone przez rewolucje rosyjskie lat 1905 i 1917 Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich posiadały wszystkie te cechy, które Marks zauważył w ustroju Komuny Paryskiej.

„Wyzyskiwacze, rzecz naturalna, nie są w stanie zdławić ludu bez niezmierzenie skomplikowanej machiny, służącej do wykonania tego zadania, lud jednak może zdławić wyzyskiwaczy nawet za pomocą bardzo prostej 'machiny', niemal bez 'machiny', bez specjalnego aparatu, za pomocą prostej organizacji uzbrojonych mas (w rodzaju Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich)” (499).

W „pierwszej fazie społeczeństwa komunistycznego” wszyscy obywatele stają się.. najemnymi pracownikami państwa, które stanowią uzbrojeni robotnicy. Wszyscy obywatele stają się urzędnikami i robotnikami jednego ogólnonarodowego 'syndykatu' państwowego. Rzecz cała polega na tym, by pracowali jednakowo, ściśle przestrzegając norm pracy, i by płace były równe... Całe społeczeństwo będzie jednym biurem i jedną fabryką z równą pracą i płacą” (510).

Tak pisał Lenin w Finlandii we wrześniu i październiku 1917 r., kategorycznie twierdząc, że w ówczesnej Rosji „właszczenie kapitalistów, przekształcenie wszystkich obywateli w robotników i pracowników jednego wielkiego 'syndykatu’... oraz zupełne podporządkowanie całej pracy całego tego syndykatu państwu rzeczywiście demokratycznemu, państwu Rad Delegatów Robotniczych i Żołnierskich”, to nie jest sprawa jakichś „dysput i rozpraw o dalekiej przyszłości”, lecz „aktualna i paląca kwestia dnia dzisiejszego” (XXVI, 506 — wszystkie podkreślenia Lenina).

7. ROZDZWIĘKI W KC W SPRAWIE OBEJMOWANIA WŁADZY

Pracując w Finlandii nad swymi książkami, Lenin jednocześnie bacznie obserwował rozwój sytuacji politycznej w Rosji. Utworzony po wypadkach lipcowych lewicowo-centrowy rząd Kiereńskiego poczuł się po „zamachu Kornilowa” w politycznej pustce. Z jednej strony opuścili go ministrowie-„kadeci”, reprezentujący prawe centrum, z drugiej lokalne Rady Delegatów, od piotrogrodzkiej poczynając, zaczęły się wypowiadać za „rządem radzieckim”, pozbawiając przez to politycznego oparcia ministrów-socjalistów. Tymczasem sprawa zwołania zapowiedzianego jeszcze w marcu Zgromadzenia Konstytucyjnego, któremu Rząd Tymczasowy miał przekazać swe uprawnienia i które miało

zadecydować o przyszłym ustroju Rosji, wciąż się przeciągała: nie łatwo było przygotować i zorganizować po raz pierwszy w historii powszechne wybory demokratyczne na rosyjskich obszarach i termin tych wyborów był wciąż odkładany. Aby sprawę jakąś przeciągnąć i uzyskać mocniejszy grunt polityczny pod nogami, rząd Kiereńskiego zdecydował zwołać pod koniec września tzw. „Naradę Demokratyczną” z przedstawicieli: Rad Delegatów, organów samorządu, związków zawodowych, kooperatyw i innych organizacji „demokratycznych” (z wyłączeniem „cenzusowej” Dumy). Formalnie partie polityczne w Naradzie i późniejszym „Przedparlamencie” udziału nie brały, faktycznie większość przedstawicieli organizacji „demokratycznych” należała do tej lub innej lewicowej partii.

Gdy bolszewicki KC zdecydował, że bolszewicy mają wziąć udział w Naradzie Demokratycznej, i doszło to do Lenina, natychmiast wysłał on do Piotrogradu niezwykle ostry list, nakazujący nie brać udziału w Naradzie, lecz pójść do fabryk i koszar i wykorzystać okres obrad Narady dla dokonania przewrotu. List miał być zredagowany w tak ostrej formie (m. in. miał mówić, że członkowie KC będą „zdrajcami i tajdakami”, jeśli nie zastosują się do wskazówek listu), że zdumiony KC nie tylko po raz pierwszy w historii partii bolszewickiej miał jednogłośnie uchwalić odrzucenie wskazań Lenina, lecz nadto zdecydował list zniszczyć i „uważać za niebyły”. (Ob. Shub, *op. cit.*, str. 229).

Analogiczne w treści, choć może nie w formie, były dwa inne listy z tego okresu, figurujące w *Dzielałach* Lenina (XXVI, 1-10). W pierwszym, adresowanym do KC oraz piotrogrodzkiego i moskiewskiego komitetów partyjnych, Lenin m. in. pisał:

„Uzyskawszy większość w obu stołecznych Radach Del. Rob. i Żołn. bolszewicy mogą i powinni wziąć władzę państwową w swoje ręce. Większość ludu jest za nami. Nie wolno.. 'czekać' na Zgromadzenie Konstytucyjne.. Nie chodzi o 'dzień' powstania, o jego 'moment' w ciasnym pojęciu.. Chodzi o to, że obecnie na Naradzie Demokratycznej partia nasza faktycznie ma swój zjazd i zjazd ten musi (chce czy nie chce, ale musi) zdecydować o losie rewolucji. Chodzi o to, ażeby uczynić zadanie jasnym dla partii: na porządku dnia postawić powstanie zbrojne w Pitrze i w Moskwie... zdobycie władzy, obalenie rządu. Obmyśleć, jak za tym agitować, nie nazywając w prasie rzeczy po imieniu.. Dla bolszewików czekanie na „formalną” większość byłoby naiwnością: żadna rewolucja na to nie czeka.. Historia nam nie wybaczy, jeżeli nie weźmiemy władzy teraz.. Biorąc władzę jednocześnie i w Moskwie i w Pitrze.. zwyciężymy bezwarunkowo i niewątpliwie”.

W drugim liście, adresowanym już tylko do KC, Lenin nieco obszerniej rozważał zagadnienia teoretyczne i taktyczne: odpięrał ewentualny zarzut „blanquizmu”, uzasadniał konieczność traktowania „powstania, jako sztuki” i podawał swój plan działania na najbliższą przyszłość. Plan ten polegał na tym, aby na Naradę Demokratyczną przygotować krótką i w najostrejszych słowach deklarację z żądaniem

„niezwłocznego przejścia całej władzy w ręce rewolucyjnej demokracji z rewolucyjnym proletariatem na czele.. z projektami programowymi: pokój narodom, ziemia chłopom, konfiskata skandalicznych zysków i okiełznanie skandalicznego niszczenia produkcji przez kapitalistów”. „Po odczytaniu tej deklaracji.. całą naszą frakcję rzucić do fabryk i koszar.. w gorących płomiennych przemówieniach.. wyjaśniać nasz program i stawiać sprawę tak: albo całkowicie przyjęcie go przez Naradę, albo powstanie. Drogi pośredniej nie ma. Czekać nie wolno”.

Wreszcie w zakończeniu listu Lenin przechodził do techniczno-taktycznych szczegółów przeprowadzenia powstania i opanowania Piotrogradu.

Gdy przywódcy bolszewików w Piotrogradzie nie zastosowali się do tych wskazówek i wzięli udział w pracach Narady Demokratycznej, Lenin nie zawahał się przed wytknięciem i potępieniem ich błędów w artykułach prasowych z podaniem w nich również w ogólnym zarysie swoich powstańczych planów (XXVI, 30-51).

W pierwszych dniach października Lenin, zirytowany brakiem zdecydowania i aktywności swych subalternów, przeniósł się do Wyborga, by być możliwie blisko Piotrogradu, gdzie wciąż spodziewał się lada dzień powstania. Stamtąd 12 października, dowiedziawszy się, że KC uchwalił czekać z powstaniem i próbą zdobycia władzy na wyznaczony w pierwszych dniach listopada II Zjazd Rad, Lenin napisał rodzaj otwartego listu do członków KC oraz członków komitetów partyjnych piotrogrodzkiego i moskiewskiego oraz stołecznych Rad Delegatów, powtarzając w nim swoje argumenty oraz grożąc wystąpieniem z KC i agitacją „w dołach partii” za swoim programem.

Oto wyjątki z tego dokumentu:

„Trzeba *aussprechen*, was ist, 'powiedzieć tak, jak jest', stwierdzić prawdę, że u nas w KC i w górach partyjnych istnieje prąd czy opinia opowiadająca się za *oczekiwaniem* na Zjazd Rad, *przeciw* niezwłocznemu wzięciu władzy, *przeciw* niezwłocznemu powstaniu. Trzeba zważyć ten prąd czy opinię. W przeciwnym razie bolszewicy *shańbią* się na wieki i *staną* się *niczym* jako partia. Przepuszczać taki moment i 'czekać' na Zjazd Rad — to zupełny idiotyzm lub zupełna zdrada... Gdybyśmy uderzyli od razu, znienacka... to 99 szans na 100, że zwyciężymy, ponosząc mniejsze ofiary niż 3-5 lipca (st.st.), albowiem *wojsko* nie pójdzie przeciw rządowi pokoju... Kiereński zmuszony będzie *poddać* się... Nie wiać władzy teraz, 'czekać', gadać... — to znaczy *zaprzepaścić* rewolucję. Widząc, że KC pozostawił *nawet bez odpowiedzi* moje nalegania w tym duchu... muszę stwierdzić, że KC daje mi w ten sposób 'delikatnie' do zrozumienia, że nie chce nawet rozpatrzyć tej kwestii, daje mi delikatnie do zrozumienia, bym zamknął usta i usunął się. Zmuszony jestem *złożyć podanie o wystąpienie z KC*, co też czynię, i pozostawić sobie swobodę agitacji *w dołach* partii oraz na zjeździe partii. Jestem bowiem najgłębiej przekonany, że jeśli będziemy 'czekać' na Zjazd Rad i przepuścimy moment teraz, to *zaprzepaścimy* rewolucję” (XXVI, 65-7).

14 października w nowym liście do tych samych adresatów Lenin pisał:

„Drodzy towarzysze, wydarzenia tak wyraźnie dyktują nam nasze zadanie, że zwleknię staję się wprost zbrodnią... Bolszewicy nie mają prawa czekać na Zjazd Rad, muszą wziąć władzę natychmiast... Zwleknię — to zbrodnia. Czekanie na Zjazd Rad — to dziecięca zabawa w formalność, haniebną zabawę w formalność, zdrada rewolucji. Jeżeli nie można wziąć władzy bez powstania, trzeba zdecydować się na powstanie natychmiast... Hasło: władza Radom, ziemia chłopom, pokój narodom, chleb głodnym. Zwycięstwo jest pewne i istnieje 9/10 prawdopodobieństwa, że bez przelewu krwi. Czekać — to zbrodnia wobec rewolucji” (XXVI, 125/6).

Alarmujące listy Lenina nie zdołały w pełni przekonać większości KC, odniosły jednak ten skutek, że 16 października KC powziął oficjalną uchwałę o wezwaniu Lenina do przybycia do Piotrogradu. Najwyraźniej powtarzała się sytuacja z pierwszego okresu rewolucji, kiedy to większość przywódców bolszewickich uważała, że Lenin, oderwany od rzeczywistości rosyjskiej, ma o niej zupełnie fantastyczne wyobrażenia, nie widać poglądu *osobisty*, niemożliwy do przyjęcia przez innych.

20 października Lenin wrócił nielegalnie do Piotrogradu i niezwłocznie przystąpił do realizacji groźby swego listu z 12.X. o bezpośredniej agitacji w dołach partii. Tego samego dnia (20.X.) wystąpił z listem „do Peterskiej konferencji miejskiej — do odczytania na posiedzeniu zamkniętym”, nazajutrz zaś „do towarzyszy bolszewików, biorących udział w obwodowym Zjeździe Rad obwodu północnego”. W obu tych listach Lenin w sposób najbardziej gwałtowny nawoływał do natychmiastowego powstania zbrojnego („Zwłoka równa się śmierci. Hasło: ‘cała władza w ręce Rad’ — to hasło do powstania” — 175) i sugerował wywarcie w tym kierunku nacisku na KC:

„Trzeba zwrócić się do KC naszej partii z prośbą i wnioskiem... Trzeba stwierdzić, że rewolucja będzie zgubiona, jeżeli rząd Kiereńskiego nie zostanie w najbliższej przyszłości obalony przez proletariuszy i żołnierzy. Sprawa powstania staje na porządku dziennym” (XXVI, 130/1).

W tych warunkach 23 października odbyło się zebranie KC. W obradach wzięło udział 12 spośród 21 jego członków. Po referacie Lenina i 10-godzinnej niezwykle ożywionej dyskusji, większością 10 głosów (Lenin, Bubnow, Dzierżyński, Kołłontaj, Łomow, Sokolnikow, Stalin, Swierdłow, Trocki i Uricki) przeciwko 2 (Kamieniew i Zinowiew), zebranie uchwaliło zaproponowany przez Lenina tekst rezolucji:

„stwierdzając więc, że powstanie zbrojne jest nieuniknione i że całkowicie dojrzało, KC poleca wszystkim organizacjom partyjnym, aby tym się kierowały i z tego punktu widzenia rozwały i rozstrzygały wszystkie zagadnienia praktyczne...” (179).

Te „zagadnienia praktyczne” to były już techniczno-taktyczne przygotowania do powstania. Zająć się nimi miał w pierwszym rzędzie wyłoniony przez pietrogradzką Radę Delegatów Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. Na czele Komitetu, (w skład którego m. in. weszli: Antonow-Owsiejenko, Dzierżyński, Łasze-wicz i Podwojski), stanął nowy przewodniczący pietrogradzkiej Rady, bardzo świeżej daty bolszewik — Trocki, którego linia polityczna w ciągu ostatnich miesięcy pokrywała się całkowicie z linią Lenina.

Natomiast dwaj najbliżsi przyjaciele i współpracownicy Lenina z lat ostatnich, Kamieniew i Zinowiew, nie dali się przekonać jego argumentom i nie ulegli jego autorytetowi. Nie tylko na zebraniu KC przemawiali oni i głosowali *przeciwko* wnioskowi Lenina (10), lecz później zakwestionowali uchwałę z 23 października ze względów merytoryczno-formalnych: Lenin „*przed* powzięciem jakichkolwiek decyzji” rozsyłał swe listy z agitacją za powstaniem; przed decyzją „nie zasięgnięto opinii partii” i pobrano ją na bardzo niekompletnym plenum KC. Tak ważnych decyzji nie można pobierać „w gronie 10 osób” (Ob. XXVI, 212/3).

W celu zneutralizowania tych zarzutów Lenin 29 października zwołał „rozszerzone” zebranie KC, na którym m. in. zapewniał, że „sytuacja międzynarodowa daje nam szereg obiektywnych danych, że, występując obecnie, będziemy mieli po swojej stronie całą proletariacką Europę” (XXVI, 181) i po polemice z oponentami zgłosił następującą rezolucję, uchwaloną przez zebranych 19 głosami przeciwko 2 przy 4 wstrzymujących się:

„Zebranie wita z całkowitym uznaniem i w pełni popiera rezolucję KC; wyzywa wszystkie organizacje oraz wszystkich robotników i żołnierzy do wszechstronnego i najusilniejszego przygotowania powstania zbrojnego, do poparcia tworzonego w tym celu przez KC ośrodka kierowniczego i wyraża całkowitą pewność, że KC i (pietrogradzka) Rada (delegatów) wskażą w odpowiednim czasie dogodny moment i celowe sposoby natarcia” (XXVI, 182).

Pomimo to, wciąż nie przekonani, Kamieniew i Zinowiew prowadzili w dalszym ciągu akcję przeciwko powstaniu, zarówno ustnie, jak i przy pomocy ulotek (ob. XXVI, 203), aż wreszcie, gdy — jak to stwierdzał Lenin (XXVI, 183) — 28.X. „niedzielne gazety wszystkich kierunków” omawiały „zagadnienie powstania” przygotowywanego przez bolszewików, wystąpili w tej sprawie publicznie 31 października na łamach formalnie niepartyjnej (nie-bolszewickiej) redagowanej przez Gorkiego gazety

(10) „Nie mamy większości w narodzie, a bez tego warunku powstanie jest sprawą beznadziejną”. „Nie jesteśmy dość silni, żeby wziąć władzę... ..przeciwko nam są wszyscy! Jesteśmy izolowani... ..partia marksistowska nie może sprowadzać powstania do kwestii spisku wojskowego” — tak wyglądały niektóre z merytorycznych obiekcji Kamieniewa i Zinowiewa w sformułowaniu Lenina (XXVI, 183-204).

„*Nowaja Żyźń*”. Wywołało to prawdziwą wściekłość Lenina, który 31.X. i 1.XI. wystąpił przeciwko nim z „listem do członków partii bolszewików” oraz z listem do KC. W pierwszym nazywał ich postępowanie „podłym” i zapewniał, że uważałby

„za hańbę dla siebie, gdyby ze względu na bliskie stosunki, jakie łączyły mnie dotychczas z tymi byłymi towarzyszami, zaczął się wahać czy ich potępić. Oświadczam wręcz, że nie uważam już ich obu za towarzyszy i ze wszystkich sił zarówno w KC jak i na zjeździe walczyć będę o usunięcie ich obu z partii... Trudny okres. Ciężkie zadanie. Bolesna zdrada...” (XXVI, 206-8).

W liście do KC Lenin używał jeszcze mocniejszego języka. Pisał o „nikczemności”, „szachrajstwie”, „granicach bezwstydu”, „intryganckim kłamstwie”, „bezgranicznej podłości, prawdziwej zdradzie tych obu osób” i wypowiadał im „wojnę aż do skutku”, tzn. do wydalenia ich z partii. Oba te listy Lenina rozważane były przez KC na zebraniu 2 listopada: Kamieniew i Zinowiew musieli jednak cieszyć się zbyt wielkim autorytetem i sympatią w partii, bo KC nie powziął wobec nich żadnych sankcji, a tylko formalnie zakazał występowania przeciwko decyzjom KC. Wówczas Kamieniew demonstracyjnie złożył mandat do KC, co mu nie przeszkodziło, że w kilka dni później został wybrany na przewodniczącego II Zjazdu Rad Delegatów oraz opanowanego przez bolszewików Komitetu Wykonawczego tego Zjazdu.

8. „WIELKA PAŹDZIERNIKOWA...”

Wówczas gdy w najwyższym organie partyjnym toczyły się namiętne spory polityczno-personalne, Komitet Wojskowo-Rewolucyjny działał. Wysłał swoich komisarzy do wszystkich stacjonujących w stolicy jednostek wojskowych, po czym wydał „rozkaz”, uznający za „kontrewolucyjne” wszystkie niezaakceptowane przez tych komisarzy rozkazy. W praktyce było to przejęcie władzy wojskowej w Piotrogradzie przez organ rewolucyjnego powstania. Jednocześnie pod ogólnym kierownictwem Antonowa-Owsiejenki, Czudnowskiego i Podwojskiego były opracowywane techniczno-taktyczne szczegóły powstania, wyznaczonego na noc 7 listopada. Przy pomocy marynarzy bałtyckiej floty (krążownik „Aurora”) powstańcy mieli wówczas uderzyć na siedzibę Rządu Tymczasowego, Pałac Zimowy, po uprzednim obsadzeniu innych strategicznych punktów w mieście. Poinformowany o tych planach oraz o postępie prac Komitetu W-R., Lenin wieczorem 6 listopada napisał nowy list do członków KC z kategorycznym żądaniem niezwłocznej realizacji powstania.

„Towarzysze! Piszę te słowa wieczorem 24 (st.st.), sytuacja jest w najwyższym stopniu krytyczna. Jasne jak słońce, że teraz już na prawdę zwlekanie z powstaniem równa się śmierci. Z całą mocą zapewniam towarzyszy, że teraz wszystko wisi na włosku... Czekać nie wolno!! Można stracić wszystko!!... Kto ma wziąć władzę? To w tej chwili nie jest istotne: niech weźmie ją Komitet Woj.-Rew., 'lub inna instytucja', która oświadczy, że przekaże władzę tylko prawdziwym przedstawicielom interesów ludu... Historia nie wybaczy zwłoki rewolucjonistom, którzy mogli zwyciężyć dzisiaj (i na pewno zwyciężą dzisiaj), a ryzykują, że jutro stracą wiele, ryzykują wszystko. Biorąc władzę dzisiaj, bierzemy ją nie przeciw Radom, lecz dla nich. Wzięcie władzy — to sprawa powstania; jego cel polityczny stanie się jasny po jej zdobyciu. Zgubą albo formalistyką byłoby czekanie na chwiejne głosowanie (Zjazdu Rad)... Rząd chwieje się. Trzeba go *dobici* za wszelką cenę! Zwlekanie z wystąpieniem równa się 'śmierci'” (XXVI, 224/5).

Czy i jakie były *formalne* skutki tego listu Lenina? Historia partii bolszewickiej nic nie wspomina o jakimś zebraniu KC 6 lub 7 listopada, o rozważeniu przezeń listu Lenina i powzięciu jakiegś uchwały. Powstanie rozpoczęło się bez „zgubnej formalistyki”, bez czekania „na chwiejne głosowanie”, obojętne było także bez formalnego „wskazania przez KC dogodnego momentu i celowych sposobów natarcia”.

O przygotowywanym przez bolszewików „powstaniu” przed 10 dniami pisały „niedzielne gazety wszystkich kierunków”, a potem, oczywiście, mówiło o nim całe miasto. Nie mógł więc o tym nie wiedzieć i szef Rządu Tymczasowego — Kiereński. 6 listopada z rana przybył on do utworzonego po Naradzie Demokratycznej tzw. „Przedparlamentu” i wygłosił przemówienie, oświadczając, iż posiada niezbite dowody, że Lenin i jego towarzysze organizują zbrojne wystąpienie. Zapowiadając, że rząd „bez wahania” użyje siły zbrojnej przeciwko „zdrajcom Ojczyzny i Rewolucji”, Kiereński prosił „Przedparlament” o wyrażenie rządowi „pełnego zaufania i poparcia”. W „Przedparlamencie” jednak większość stanowili mienszewicy i eserzy, którzy byli nieco odmiennego zdania, niż Kiereński. Wiedząc o rozłamie w bolszewickim KC, przypuszczali, że wbrew stanowisku Kamieniewa i Zinowiewa bolszewicy nie zdecydują się na poważne wystąpienie, lecz doczekają zwoływanego na 7 listopada II Zjazdu Rad i podporządkują się jego uchwałom. Dlatego też uchwalona po długiej dyskusji większością głosów rezolucja „Przedparlamentu” wypowiadała się przeciwko wszelkiemu przelewowi krwi, czyniąc ewentualnie zań odpowiedzialnym Rząd Tymczasowy narówni z bolszewikami.

W rezultacie, gdy nad ranem 7 listopada bolszewicy naprawdę wystąpili poważnie, nie spotkali się w stolicy z żadnym poważniejszym oporem. Kiereński wyjechał szukać zdolnych do walki z bolszewikami oddziałów na froncie, a reszta ministrów zamknęła się w Pałacu Zimowym, gdzie po pozorowanej raczej

obronie przez oddziały podchorążych i ochotniczek dała się bez oporu aresztować o 2-giej po północy 8 listopada.

Fakt ten o kilkanaście godzin uprzedziła odezwa „*Do obywateli Rosji*”, napisana przez Lenina w imieniu Komitetu W-R. przy Piotrogrodzkiej Radzie Delegatów i datowana godziną 10 rano 7 listopada.

„Rząd Tymczasowy został obalony. Władza przeszła w ręce organu Piotrogrodzkiej Rady Del. Rob. i Żołn. — Komitetu Wojsk.-Rew., który stoi na czele Piotrogrodzkiego proletariatu i garnizonu. Sprawa, o którą walczył lud: niezwłoczne zaproponowanie demokratycznego pokoju, zniesienie obszarniczej własności ziemi, kontrola robotnicza nad produkcją, utworzenie Rządu Radzieckiego — ta sprawa jest załatwiona” (XXVI, 226).

Nawet wieczorem tegoż dnia, gdy około godziny 11 został otwarty II Zjazd Rad, fakt opisany w porannej odezwie nie był jeszcze ostatecznie dokonany. Wielu z przybyłych na zjazd delegatów: mienszewików, eserów, bundowców, nie solidaryzując się z dokonywującym się przewrotem, nie chciało wziąć udziału w rozpoczęciu obrad zjazdu. Dało to na nim zdecydowaną większość bolszewicką i pozwoliło na wydanie w jego imieniu odezwy „*Do Robotników, Żołnierzy i Chłopów!*” Odezwa ta głosiła:

„Drugi Ogólnorosyjski Zjazd Rad Del. Rob. i Żołn. został otwarty. Reprezentowana jest na nim ogromna większość Rad. W Zjeździe uczestniczy również wielu delegatów Rad Chłopskich. Opierając się na woli ogromnej większości robotników, żołnierzy i chłopów, opierając się na dokonanym w Piotrogradzie zwycięskim powstaniu robotników i garnizonu. Zjazd ujmuje władzę w swoje ręce. Rząd Tymczasowy został obalony. Większość członków Rządu Tymcz. została już aresztowana... Zjazd postanawia: całą władzę w terenie przechodzi w ręce Rad Del. Rob. Żołn. i Chłopskich, które też powinny zapewnić prawdziwy porządek rewolucyjny...”

Lenin, który 7.XI. — jeszcze w przebraniu — przybył do Instytutu Smolnego, gdzie obradowały Rady Delegatów, nie zjawił się na otwarciu Zjazdu, natomiast — po zrzuceniu peruki — przemawiał wieczorem przed Piotrogrodzką Radą Delegatów, witany frenetycznymi oklaskami. Zapowiedział zajęcie się „zbudowaniem w Rosji proletariackiego państwa socjalistycznego” i zakończył okrzykiem: „Niech żyje światowa rewolucja socjalistyczna!” Następnie Rada Piotrogrodzka większością głosów uchwaliła zgłoszoną przez Lenina rezolucję, w której witała „zwycięską rewolucję proletariatu i garnizonu Piotrogradu” oraz podkreślała „zwartość, sprawność organizacyjną, dyscyplinę, całkowitą jedynomyślność, którą przejawiały masy w tym wyjątkowo bezkrwawym i wyjątkowo udanym powstaniu” (XXVI, 231).

Pomimo takich sukcesów, Lenin wrócił jeszcze na noc do konspiracyjnego mieszkania. Aczkolwiek bardzo fizycznie i psychicznie zmęczony, pracował tam długo nad projektami na jutro

dekretów o pokoju i o ziemi. Dopiero bowiem z chwilą formalnego uchwalenia i opublikowania tych dekretów dokonany przewrót mógł nabrać, zdaniem Lenina, cech trwałości.

Nazajutrz, 8 listopada, Lenin miał referować oba dekrety na wieczornym plenarnym posiedzeniu II Zjazdu, na przewodniczącego którego został powołany Kamieniew. Na znak protestu przeciwko dokonanemu przez bolszewików zamachowi stanu znaczna część przybyłych na Zjazd delegatów uchylała się od brania w nim udziału. Wśród eserów zresztą nastąpił na tym tle formalny rozłam: część z nich, po zapoznaniu się z szeroko rozpowszechnianym przez bolszewików projektem dekretu „o ziemi”, uznała za konieczne głosowanie za nim, czyli formalne uczestniczenie w Zjeździe i zaakceptowanie w ten sposób dokonanego przewrotu. Ogółem na sali obrad było około 650 delegatów, w tym prawie 400 bolszewików; co najmniej drugie tyle delegatów naradzało się w kularach.

Bolszewicka „opozycja” — Kamieniew, Zinowiew i ich zwolennicy — nie ukrywali swego zakłopotania z powodu poczynania Lenina, ani swego pragnienia zakończenia sprawy utworzeniem rządu „ogólnosocjalistycznego” — ze wszystkich partii reprezentowanych w Radach. Lenin pozornie nawet był gotów na to się zgodzić, szczególnie, że przywódcy mienszewików oraz tzw. „prawych eserów” stanowczo odmawiali zarówno udziału w obradach Zjazdu jak i jakichkolwiek pertraktacji z tymi, kogo uważali za „zdrajców rewolucji” — zamachowców. Bardziej skomplikowanie przedstawiała się sprawa „lewych eserów”, którzy w Zjeździe brali udział. Gotowi oni byli wziąć udział w mającym być wyłonionym przez Zjazd nowym „radzieckim” rządzie, ale nie chcieli być tam sam na sam z bolszewikami i dlatego nalegali na pertraktacje z innymi partiami w celu utworzenia rządu „ogólnosocjalistycznego”. Przez cały dzień, 8 listopada, toczyły się na ten temat jałowe rozmowy, aż wreszcie Lenin wykorzystał wahania „lewych” oraz nieprzejednane stanowisko „prawych” eserów i mienszewików dla utworzenia rządu jednopartyjnego, złożonego z samych bolszewików, pod proponowaną przez Trockiego nazwą — Rady Komisarzy Ludowych.

Odczytany przez Lenina, już jako premiera nowego rządu, projekt dekretu „o pokoju” oświadczał, że stworzony przez rewolucję 6/7 listopada rząd robotniczy i chłopski, opierający się na Radach Delegatów, „proponuje wszystkim wojującym narodom i ich rządów niezwłocznie rozpocząć rokowania o sprawiedliwy pokój demokratyczny”. Za taki pokój, wyjaśniał w dalszym ciągu „dekret”, rząd rosyjski uważa „niezwłoczny pokój bez aneksji i kontrybucji”. Wyjaśniając dalej, co — „zgodnie ze świadomością prawną właściwą demokracji w ogóle, a klasom pracującym w szczególności” — rozumieć należy przez „aneksję” (poglądy Lenina na ten temat, ob. wyż.), „dekret” podkreślał, że propozycji swej nie traktuje „ultymatywnie” i zgłaszał gotowość natychmiastowego rozpoczęcia „jawnych rokowań

o zawarcie pokoju... zarówno na piśmie, telegraficznie... jak i w drodze rozmów dwustronnych lub wielostronnych". Niezależnie od tego „dekret” proponował niezwłoczne zawieszenie broni „co najmniej na 3 miesiące”, uważając, że taki okres wystarczy nie tylko dla „doprowadzenia do końca rokowań pokojowych z udziałem przedstawicieli wszystkich bez wyjątku narodów i narodowości, wciągniętych do wojny, lub zmuszonych do udziału w niej”, lecz również dla zwołania „pełnomocnych zgromadzeń przedstawicieli ludu we wszystkich krajach” w celu ratyfikacji „warunków pokoju”.

Dość podobny w formie i tonie był również „dekret o ziemi”. Znosił „niezwłocznie bez żadnego wykupu” obszarniczą własność ziemi” i oddawał ją „do czasu zwołania Zgromadzenia Ustawodawczego (tzn. Konstytuanty) do dyspozycji gminnych komitetów rolnych i powiatowych Rad Delegatów Chłopskich”. Ponadto polecał „przy urzeczywistnianiu wielkich przeobrażeń rolnych... kierować się wszędzie... nakazem chłopskim...”, odkrytym w swoim czasie przez Lenina w „Izwestiach” Wszechrosyjskiej Rady Delegatów Włościańskich. Gdy w czasie referatu Lenina rozległy się na sali głosy, że „sam dekret i nakaz zostały opracowane przez eserów” i pozostają w sprzeczności z programem bolszewickim, Lenin temu nie zaprzeczał:

„Czyż nie wszystko jedno, kto go opracował; my jednak, jako rząd demokratyczny, nie możemy ominąć postanowienia powziętego od dołu przez lud, choć byśmy się z nim nie zgadzali... Musimy iść z życiem, musimy dać masom ludowym całkowitą swobodę twórczego działania...” (XXVI, 253).

Po referatach Lenina oba „dekrety” zostały natychmiast przez obecnych na sali przegłosowane, uznane za uchwalone i zaraz ogłoszone, jako prawo powszechnie obowiązujące. Z tą chwilą dopiero Lenin mógł uważać, że od dawna przez niego zapowiedziana bolszewicka rewolucja w Rosji została już nie tylko dokonana, ale i utrwalona.

Wiktor SUKIENNICKI

Oblicze Szwecji

BRZOZY PACHNĄ

W czasie wojny, w osaczonym bombami niemieckimi Londynie, gdy wspominaliśmy o przeszłych i zamierzonych podróżach — ulubiona zabawa ludzi uwięzionych — jedna znajoma powiedziała mi: „Jeżeli pojedzie pan kiedyś do Szwecji, niech pan zwróci uwagę na jedną rzecz, jeden zapach, który przeważnie pozostaje niepostrzeżony. Dla mnie jest on esencją Szwecji może dlatego, że jestem kobietą czułą na zapach. Jest to zapach brzoź... tak, brzozy szwedzkie pachną jak żadne inne na świecie. Niech pan nie zapomni o tym. Może i dla pana Szwecja będzie się odtąd na stałe kojarzyła z zapachem brzoź”.

Zapamiętałem to powiedzenie miłej pani, która wojażowała sporo po Skandynawii. I kiedy, w r. 1949 wybrałem się na miesiąc do Szwecji, ażeby przemierzyć ją od skrajnego południa do skrajnej północy, starałem się złowić zapach brzoź szwedzkich. Nie zawiodłem się. Brzozy Szwecji pachną istotnie, jak żadne chyba na świecie.

Zapach ten uderzył we mnie zaraz pierwszej nocy na ziemi szwedzkiej. Pociąg nasz przez Niemcy, spóźnił się do Kopenhagi i nie złapaliśmy expressu idącego promem na drugi brzeg, i dalej, do Sztokholmu. Zorganizowano pociąg dodatkowy: na przeciwległym brzegu podstawiono inny skład, który miał nas zabrać do punktu węzłowego, skąd mieliśmy połączenie do Sztokholmu. Dobiliśmy w głuchej nocy do owej stacji węzłowej;

x) Wyjątek z rozdziału o Szwecji z tomu pt. „Ojczyzna Europa”, stanowiącego cykl obrazów psychologiczno-opisowych licznych krajów Europy odwiedzanych przez autora w latach 1929 — 1956. Kilka szkiców z tego tomu pojawiło się pod pseudonimem, w języku angielskim, w rozmaitych czasopismach brytyjskich.

jakiś francuski dziennikarz, rosyjskiego pochodzenia zbratany z bladą Niemką, jadącą na odkarmienie się do krewnych w Szwecji, nastawiał uporczywie na swoje radio *portable* rozgłoszenie moskiewską, natomiast inni pasażerowie zmożeni snem spali na ławkach, stojących na czystych przedsiionkach dworca. Poszedłem przez tory w stronę niewielkiego gaju brzoź, które lśniły blado w omglonym księżycu. Słowiki zanosili się samo-uwielbieniem śpiewu, niepamiętne na wszystko wokoło; i oto nagle poczułem delikatny, przenikliwy zapach — słodki i nieśmiały zarazem. Wiedziałem, że to pachną brzozy na powitanie Szwecji.

Pociąg gnał nocą przez krajobraz znajomy jakby, a jednak osobliwie dziwaczny, niesamowity: przypominała się jazda do jakiejś Hajnówki w stronę Puszczy Białowieskiej, to znowu okolice Wilna — a jednak odmienne, obce w księżycu, jakoby wyrwane z kontekstu snu. Jeziora i lasy: mrok borów i nagle przeświecenie wody jezior, ten rytm powtarzany dziesiątki razy, to *chiaroscuro* wbijane w pamięć natrętnie, ukołysało moją głowę na oparciu doskonałej trzeciej klasy kolei szwedzkich, chyba najlepszych w Europie. To pierwsze wrażenie czystości, komfortu i schludności miały potwierdzić wszystkie moje następne podróże kolejną po Szwecji.

W Sztokholmie zastał mnie letni upał, zapach naprawianego asfaltu, przejrzysty kontur ulic — wszystko lokładnie tak jak w tym wymyślnym filmie szwedzkim „Frenzy” (Szwedzi robią niewiele filmów, ale w ostatnich latach zrobili kilka wprost znakomitych), gdzie bodaj debiutowała Mai Zetterling. Już krótki spacer w okolicach dworca kolejowego i ku gmachowi ratusza — jeden z najlepiej pomyślanych nowoczesnych budynków w całej Europie — przekonuje, że Sztokholm jest miastem nieprzeciętnej urody; *une beauté frigide*, powiada refleksja po kilku dniach pobytu, ale jednak piękność. Jest ono piękne nie tylko przez obecność morza, wdzierającego się wszędzie i zespolonego z kamieniem, domami, nadbrzeżami, ale i przez chłodną czystość swojego planu, wyrazistość rysunku. Jest to miasto, które powiada nam z każdego niemal załomu, że było stolicą potężnego ongiś kraju, państwa o wielkim rozmachu i ambicjach: te wspomnienia pozostały niejako w kościach Sztokholmu, tak jak tkwią dalej w szpiku takiego Wiednia. Ci, co znają carski Petersburg powiadają, że Sztokholm najbardziej zbliża się architekturą i nastrojem do dawnej stolicy Rosji; sądzić należy, że jest to trafna ocena — przemawia za tym i położenie geograficzne i to samo morze i podobne niebo jak i budulec, z którego wzniesiono najlepsze gmachy miasta: szary granit.

Sztokholm nie tai swoich ambicji monumentalizmu; ale jest obok tego, jeżeli chodzi o magazyny, hotele, budownictwo, jednym z najbardziej nowoczesnych miast Europy. Jest też jednym z najbardziej uroczych miast jeżeli chodzi o przedmieścia, które nie są w typie przygnębiających swoją banalną, mechaniczną powtórką przedmieść Londynu, zwanych *dormitories of London*, ale prawdziwą wsią. Domki, jasne, wygodne, zgrabne,

graniczą z jeziorami i lasami; jelenie i daniela zapędzają się podobno wcale często aż na ulice i place miasta i wtedy powstaje nielada kłopot, albowiem w bardzo formalistycznym układzie tego kraju tylko bodaj łowca królewski ma prawo ustrzelenia takiego wagabundy (przypomina to ceregiele z łabędziami w Anglii, które należą do monarchy). Ta bliskość już nie tylko wsi, ale dzikiej, nieturbowanej przez człowieka przyrody, stanowi — jak sądzę — jeden z uroków Szwecji. Przejście z wysokiej cywilizacji miejskiej do puszczy jest szybkie, a to co pozostawia trwałe wrażenie na kliszy pamięci to właśnie pierwotność tej ziemi, ogromne pustacie, cisza zastała wiekami, samotność jakiej nie sposób już dzisiaj zaznać prawie w Europie. Ta ziemia jest wiekowa, a pamiątki pozostawione przez kulturę są o ileż mniej liczne aniżeli w krajach zasiedlonych od tysiącleci przez człowieka, poddanych jego uprawie. Zabytków historii ma Szwecja stosunkowo niewiele; nigdy nie zapomnę jako w czasie pobytu w Upsali natknąłem się na kamień runiczny stojący dumnie w parku przed uniwersytetem: tkwił on tam jako monument historyczny; pomyślałem sobie, że tego rodzaju historycznego zabytku nie znalazłbym we Włoszech czy Hiszpanii: kamienie układa się tam w gmachy. Miasta Szwecji nie robią wrażenia odwieczności, dawności jak miasta Wioch, Hiszpanii czy nawet Francji: zawsze ma się uczucie, że stanowią one jakby glazy narzutowe, naniesione tutaj przez przyrodę, że szczerp, który te miasta budował, był w zasadzie nomadyczny, był rasą wędrowną, był przede wszystkim ludem wojowników. To nie w miastach Szwecji ale na wsi odczuwa się wrażenie spokoju, stałości bytu i zasiedlenia ludzkiego.

Ten półwysep rozwijał się na podstawie własnych praw i po krótkim już pobycie w Szwecji potwierdza się w nas stary wniosek o przemożnym wpływie położenia geograficznego i układu geofizycznego na losy kraju. Półwysep skandynawski jest przyczepiony do pnia Europy: ale nie czujemy tutaj wspólnoty doli z kontynentem. Nie chodzi tu tylko o neutralność, która jest raczej pochodną tego stanu rzeczy, a zatem pewnego oderwania się Szwecji od szerokiego nurtu Europy, a nie czymś narzuconym jako polityczna doktryna, niewątpliwie wygodna dla tego kraju. Szwajcaria jest też neutralna, a jednak w Szwajcarii czujemy cały czas, że stoimy pełną stopą na *la terre d'Europe*. W Szwecji nie mamy tego wrażenia — podobnie zresztą jak w Anglii, która mimo wszystkich swoich wysiłków i zapewnień, pozostaje lotniskowcem zakotwiczonym u brzegów Europy.

Skandynawowie byli zdobywcami największego kalibru: straszliwie surowy klimat, tęsknota za słońcem, energia i wola ekspansji, niosły tych wikingów ku Anglii, szlakami wód przyślej Rosji, której miano nawet nadali, i dalej ku brzegom Normandii i het aż po Sycylię. Jako kariera zdobywców, zapładniających rozmaite kraje swoją dynamiką, pomysłowością i niepokojem, jest to zjawisko jedyne w swoim rodzaju, zjawisko nie-

powtórzone w dziejach. Aż po boje szwedzkie w Polsce i po Połtawę — która to klęska oręża szwedzkiego stała się hasłem dla rozbioru Polski — Szwecja niesiona była falą awantury wojennej, rozmachu militarnego. Potem wyczerpała swoje siły i spacyfikowała się idealnie, stając się może najbardziej pokojowym narodem w Europie. Co nie znaczy bynajmniej, ażeby był to naród „miękki” czy zniewieściały. Jest także rzeczą ciekawą, że Szwecja nie ma w stosunku do Rosji żadnego kompleksu niższości — przeciwnie, można ją raczej posądzić o kompleks wyższości: tłumaczy się to oczywiście tym, że Szwecja zachowała historyczną pamięć swoich przewag wojennych nad Rosją, a w jej, pre-historycznej chyba, podświadomości tkwi przekonanie, że jednak Rosja stworzona została rękami jej wikingów. Podobne to jest nieco do stanowiska Polaków wobec Rosji i naszej pamięci okupacji Moskwy i Kremla; ponieważ sztuka ta nie powiodła się w tej mierze nawet Napoleonowi — stąd zaboronna po dziś dzień obawa Francuzów przed Rosją, tą wielką pułapką — polskie stanowisko wobec Rosji do niedawna jeszcze nacechowane było lekceważeniem i butą, czerpiącą swoje soki z historii.

Szwecja — podobnie jak Anglia — była przez wieki ośrodkiem energii promieniującej w podbojach: broniła swojej bazy wypadowej, skąd podejmowała wyprawy. Pozostał po dziś dzień w tym kraju duch obozu warownego, pewnej nieprzystępności ludzi, niechęci wobec cudzoziemców, do których mówi się skąpo i rzadko; atmosfera ta jest o wiele bardziej stonowana w Anglii, ale elementy tej niechęci oraz odcięcia obozu warownego, skąd podejmuje się wyprawy na kontynent i dalej, nie są bynajmniej z życia Anglii wyrugowane.

Dzisiaj, po wiekach podboju i wojen, Szwecja wycofała się do swojego obozu i smakuje życie spokojne, wygodne, zdobycze opieki społecznej. Jest ona pod wielu względami krajem pokazowym, wzorowym; w tym względzie przypomina Szwajcarię, chociaż — co Szwedzi lubią podkreślać przy każdej okazji — nie jest ona ani w części tak bogata jak ten drugi neutral, mieszkający w sercu Europy. I tak jak w Szwajcarii podnosi się od czasu do czasu głos, że dobrobyt i spokój życia jest nadmierny, że Szwajcaria nie przeżywa z Europą jej doświadczeń, tragedii i rozpacz, że — jak to wywodził jeszcze przed wojną pisarz szwajcarski Ramuz — taki stan zadowolenia prowadzi do jałowości, tak i w Szwecji nie brak protestów przeciwko nadmiernej ostrożności bytowania. Są tam ludzie, którzy chcieliby jednak żyć bardziej według recepty *vivere periculosamente*; są ludzie, którzy krytykują zachowanie się Szwecji w czasie wojny i okupacji Norwegii. Są ludzie, którzy uważają, że duma narodu Szwecji ucierpiała nadmiernie przez targi z Niemcami; jakby dla pocieszenia dodają, że w razie ataku Rosji sowieckiej Szwecja będzie się biła i że stanowić będzie niełatwy orzech do zgryzienia (co jest na pewno prawdą, zważywszy, że armia

szwedzka jest nowoczesna, lotnictwo myśliwskie bodaj najlepsze i najsilniejsze w Europie, a marynarka wojenna sprawna).

Ale to nie zmienia faktu, że Szwecja jest wojownikiem w stanie spoczynku, a *retired Empire builder*, jak to o swoim kraju, Hiszpanii, powiedział Salvador de Madariaga. Należy do rzędu tych krajów Europy, które się już wyżyły w karierze podboju i upustu krwi. Chwilami odnosi się wrażenie, że ten proces jest tak powszechny w Europie, iż nawet Niemcy od r. 1946 robią wrażenie kraju, który ma dosyć awantur wojennych i samobójczych zamachów.

POGOŃ ZA SŁONCEM

Nie trudno się domyślić, że pościg za słońcem, za światłem, którego przyroda poskapiła okrutnie Szwecji, stanowił potężny motyw jej historii, podobnie jak dziejów całej Skandynawii: ten ciąg ptaków północy na południe trwał od czasów zamierzchłych, wyładowując się w wyprawach łupieskich i zdobywczych aż po erę nowoczesną, przejawiając się w wędrówkach „Kon-tiki” i tylu innych wyprawach żeglarskich Skandynawów na morza południa. Kiedy w Sztokholmie nadchodzi seria upalnych dni letnich, wiele fabryk i zakładów zamyka swoje podwoje, ażeby umożliwić pracownikom korzystanie ze słońca. Słońce wywabia od razu tysiące plażowiczów, zachęca liczne rzesze zwolenników nudyzmu. Nudyzm nie jest w Szwecji niczym sensacyjnym: istnieją plaże otwarcie lub półotwarcie oddane na użytek nudyistów. To pragnienie nagości wywołane jest, jak sądzę, przede wszystkim wolą, ażeby światło dotarło do całej powierzchni skóry; nagość w Szwecji jest pogaństwem bez-zmysłowym, pozazmysłowym, jest wynikiem chłodnego, rzeczowego traktowania ciała. Byłaby ona nie do pomyślenia w Hiszpanii czy Włoszech: tutaj jest logiczna, naturalna. Ale pogaństwo szwedzkie jest bezradne, niemal smutne.

Powiadają, że ilość melancholików, osób cierpiących na depresję jest w Szwecji bardzo poważna. Podobnie ludzi, którzy nagle ogarnięci zostają szaleństwem, tzw. amokiem Północy — szaleństwem przynoszącym nieraz krwawe ofiary. Zawilości psychologiczne literatury szwedzkiej, *Grübele i brooding* — jeżeli, wolno mi zapożyczyć tych dwóch wygodnych terminów z języka niemieckiego i angielskiego — jest zjawiskiem częstym zarówno w piśmiennictwie Szwecji jak i w osobistych sprawach; a obsesje takiego Strindberga zdradzają pociąg do patologicznych kompleksów. Nie można się dziwić, że filozofia *Angst*, nauki Kierkegaarda, a dzisiaj Jaspersa i Sartre'a, są wielce w Szwecji popularne; Sartre należy do najczęściej granych autorów dramatycznych w tym kraju.

Okazuje się, że pomyślność i dobrobyt nie stanowią jeszcze o szczęściu mieszkańców danego kraju: w zamożnej Szwecji jest na pewno o wiele, wiele mniej ludzi szczęśliwych i beztrudnych

aniżeli w biednej Hiszpanii. Zadowolenie i szczęście nie są zatem funkcją zamożności, ubezpieczeń społecznych, wzorowego ładu socjalnego: kraje biedniejsze, ale mające i słońce i piękno dostępne dla wszystkich i odmienną filozofię życia w żyłach, dają sobie pod tym względem lepiej radę aniżeli państwa obrosłe w dostatek. Nie zapominajmy, że bogata i wzorowa Szwajcaria skarży się nieraz na brak umiejętności życia, na nadmiar ludzi nieszczęśliwych, neurotyków. Publicysta angielski Soloveytschik w swojej informującej książce o Szwajcarii powiada otwarcie, że istnieje tam zawieli ludzi nieszczęśliwych i że Szwajcarzy nie wiedzą właściwie jak korzystać z życia, że nie dostaje im sztuki życia. Jeszcze jeden przykład, że bogactwo nie daje żadnej gwarancji szczęścia. Podobnie jak bieda nie znaczy jeszcze, że dany naród musi być nieuczciwy (w biednej Hiszpanii panuje o tyle większa uczciwość aniżeli w zamożniejszych Włoszech i o ileż zamożniejszej Francji; przed wojną biedna Bułgaria była wzorem uczciwości przy bogatej w porównaniu z nią Rumunią).

Słońce, światło stanowi wielki motor szczęścia. Herling-Grudziński miał rację w swoim pięknym szkicu o emigrancie włoskim na Capri, ogłoszonym w r. ub. w „Kulturze”, kiedy podkreślał, że na Południu trudno jest być nieszczęśliwym. Brak światła w Szwecji przyczynia się do melancholii jej mieszkańców: przypominają oni góry lodowe, które tają dopiero po ostrej dozie akwawitu. Wtedy dopiero można się z nimi dogadać: znawcy twierdzą, że dlatego należy mieć przy sobie w Szwecji stale butelkę akwawitu. Użycie tego mocnego trunku — racjonalizowanego w Szwecji, gdzie picie obwarowane jest licznymi przepisami i gdzie w restauracjach trzeba zamawiać napitki z jedzeniem — jest spore; a cudzoziemiec, który otrzymuje swój przydział, bodaj 3 czy 4 litry akwawitu miesięcznie, zyskuje z miejsca popularność, jeżeli ofiaruje gospodarzom czy przyjacielom swój przydział alkoholu. Nie zapominajmy jednak, że wytrzymałość Skandynawów na picie jest niebywała. Potrafią pić wiele, jeść potężnie, a potem zażywać kąpeli w lodowatej wodzie. Ta ich właściwość zdumiała już Hermanna Keyserlinga, autora *Dziennika filozofa* i bardzo przenikliwej książki *Spectrum Europas*, godnej dzisiaj powtórzenia niejako, czy napisania na nowo — albowiem rzecz niemieckiego myśliciela, jednego z najciekawszych mózgów jakie wydały Niemcy w naszym stuleciu, napisana została po pierwszej wojnie. Należałoby dzisiaj, po drugiej wojnie, spróbować dokonać nowej „analizy spektralnej” Europy.

Szwecji nie dostaje światła. Dlatego dni słoneczne witane są w Sztokholmie jako święto narodowe. Pamiętam kilka takich dni owego bardzo pogodnego, upalnego lata 1949, w samym Sztokholmie. W południe wszystkie place były zaludnione rojem ludzi, grzejących się w słońcu; stopnie gmachów, cokoły pomników — przeważnie doskonale pomyślanych, albowiem Sztokholm ma, podobnie jak przedwojenny Budapeszt, duże szczęście do dobrych pomników — czerniały od ludzi. W ich podanych

słońcu twarzach była niemal ekstaza ludzi stęsknionych za światłem. Potem, w wędrownkach przez Szwecję środkową, w rozmaitych parkach ludowych, wspaniałych zaiste urządzeniach dla zabawy i masowego sportu, oglądałem podobną frenezję w spotkaniu ze słońcem, podobne zapamiętanie w korzystaniu ze światła. Nad jeziorem Siljan w okolicach uroczego Rättvik widziałem obozy nudystów, chłonących słońce; przesłiczone, jasne ciała dziewcząt, które wychwalał już Paul Morand w swoim dowcipnym tomie o „nocach” w rozmaitych stolicach Europy. Jego „Noc sztokholmska” jest i dzisiaj jeszcze warta przeczytania i bodaj aktualna.

Lepsi ode mnie eksperci powiadają, że ślamazarna natura szwedzka budzi się w lecie i że wtedy odbywa się w tym kraju jakiś pogański pokaz namiętności, skrywanych w czasie zbyt długiej zimy; wniosek ten potwierdzałyby filmy szwedzkie. Znawcy ci mówią, że dziewczęta szwedzkie cierpią bardzo od chłodu swoich rodaków — jeszcze bardziej aniżeli Angielki, które zrozumiały już potrosze, że po rozkosze ciała należy zwracać się albo do tego, co można by nazwać legionem cudzoziemskim osiadłym w Anglii — na tym polegała w dużej mierze popularność Polaków w W. Brytanii w dobie drugiej wojny — albo przemierzać Kanał la Manche i szukać szczęścia w Francji, Włoszech, Hiszpanii. Istnieje cała literatura tego typu — przeważnie pisana przez kobiety — pokazująca uroki miłości kontynentalnej, będącej dla Angielki tym, co język tego kraju zowie *an eye opener*. Eksperci od spraw szwedzkich mówią, iż poważna ilość małżeństw Szwedek z cudzoziemcami jest najlepszym dowodem, gdzie Szwedki szukają rewelacji miłosnych; dodajmy, że nie inaczej jest w Szwajcarii (znowu powołuję się na świadectwo Soloveytschika).

Lato szwedzkie jest krótkie i gwałtowne: W rejonach polarnych ta gwałtowność lata powoduje fantastyczny wprost urodzaj — powiadano mi, że ziemia polarna daje w krótkim okresie lata zbiory wprost niebywałe. Lato w Szwecji to istotnie okres święta: czuje się tu inny rytm, wolę wykorzystania każdej uncji światła. W Sztokholmie, tej *beauté frigide*, jest wtedy radośnie: czyste, szerokie ulice są jeszcze szersze w blasku, woda przenikająca miasto jest niemal modra, tysiące rowerów śmiga asfalcem, a białe spódnice jadących na nich urodziwych dziewcząt (procent urody jest tu chyba jeden z najwyższych w Europie) wznoszą się jak wesole żagle na wietrze. Nie mają zamiaru obciążania ich: wiewają one wysoko, ukazując nagie uda; w Tivoli, które jest również wzorem parku zabawowego, można oglądać jeszcze frywolniejsze widoki, albowiem w salach „domu zwariowanego”, gdzie urządził się sztuczny wiatr, przechodzące przed oczyma stojącej na zewnątrz publiki, panie i panienki, często latem nie noszą niczego pod spodem: ale ich śmiech z tej okazji, gdy spódniczki idą nad głowy, ukazując pełną nagość ud i bioder, nie ma nic z zażenowania: publika przed „domem wiatrów” jest miernie zaciekawiona tymi rewelacjami.

Za kołem polarnym oglądałem stada turystów — albowiem w lecie Szwecja przypomina sobie swoje nawyki nomadów i rusza na wielki szlak wędrówki ze straszliwie ciężkimi worami, plecakami, namiotami — opalających się przy temperaturze 7 st. C. Ja w tym czasie miałem na sobie dwa swetry i wiatrówkę.

Mieszkania szwedzkie są jasne: a światło ich wewnątrz jest sztucznie spotęgowana przez biały ton ścian, przez pnącza i rośliny rzucone przez ściany: tych roślin i kwiatów jest sporo w każdym mieszkaniu szwedzkim. A rozumiemy, że potrzebują one barw i obecności życia roślinnego. Dostrzegamy w nich także wiele obrazów: smak do malarstwa, i to malarstwa uczciwego jest w Szwecji duży, każdy stara się mieć u siebie jakieś płótno — nawet w robotniczych mieszkaniach znajduje się często dobre rzeczy, dalekie od oleodruków, oglądanych w innych krajach. Wieczorami wszystkie domy Szwecji palą się *al giorno*. Światła się nie żałuje: jest ono tanie w tym kraju znakomitego wyzyskania siły wodnej, ale to nie tłumaczy wszystkiego. Domy szwedzkie jarzą się światłem, a jadąc nocą koleją przez ten kraj widzi się jak są one rzeźbiście oświetlone. W ten sposób Szwecja chce sobie skompensować swoje niedobory słońca.

Ten pościg za słońcem pojąłem do gruntu dobiwszy po podróży przez całą Szwecję do Riiksgrensen, granicy między Szwecją a Norwegią, i potem zjechawszy cudownym fiordem o malachitowej wodzie do Narviku w Norwegii. Tam, w straszliwie smutnym dniu o skąpm światła, zrozumiałem dopiero w pełni końcowy wykrzyk z „Upiorów” Ibsena: „słońce... słońce!...”, jak jakiś głos serca ras Północy zlaknionych słońca, gonących to słońce daleko w swoich wyprawach, szukających w tym słońcu już nie tylko gorąca, ogrzania sennych zmysłów, wyobraźni, rozświetlenia mroków ich psycze, usunięcia depresji — ale i odpowiedzi na pytania życia, znalezienie klucza do życia, stylu życia; ten krzyk ujawnił w pełni wolę podpatrzenia sekretu szczęścia, który o tyle łatwiej sływa na mieszkańców Północy, na radosne rasy Morza Śródziemnego.

PAŁACE

Porównywanie miast jest zawsze zabiegiem kulawym: uświadomiłem to sobie raz jeszcze w czasie mojej skandynawskiej podróży. Epitet „Paryża Północy” nadawany Kopenhadze należy właśnie do kategorii takich naciąganych komplementów. W rzeczywistości Kopenhaga ma swój własny, uroczy charakter, a jeżeli już można ją zestawiać z innymi wzorami, to chyba z dwoma miastami — Wiedniem i przedwojennym Gdańskiem. Opo wiadanie o Sztokholmie, że jest „Wenecją Północy” jest równie chybione: Wenecja jest miastem na wodzie i nie ma absolutnie żadnego rywala ani konkurenta na świecie; jest wystawą pałaców i domów nad strugami kanałów — podczas gdy Sztokholm

sięga bardziej w głąb, nie dopuszcza wody tak daleko, jest zbudowany solidnie, nie jest tworem wody, nie jest tej wodzie narzucony, lecz waruje u jej szarych krawędzi. Nie przypomina Wenecji ani architekturą, ani kolorytem, ani nastrojem. Cały wjazd do Sztokholmu wodą jest inny; podobnie siatka wysp i wyspek, całe przedpole stolicy w niczym nie przypominają Lida i okolic Wenecji. Nie, Sztokholm jest sobą, miastem Północy; nigdy nie przypomina nam się Wenecja — nawet ta Wenecja jesieni, która potrafi być tak dosadnie smutna, że w tym swoim smutku bardziej może przemówiła do pisarzy, jak Tomasz Mann, Werfel, Hemingway, niż w swojej radości i gwarze.

Nie należy zatem szukać zestawień dla Sztokholmu. Jego morskie okolice są prześliczne. Jedzie się stateczkiem między płamami wysp, usianymi willami, przystaniami, gdzie u brzegów kolebią się motorówki i żagłówki. W letni dzień lipcowy, zalutujący od rana upałem, jest to widowisko kojące, jak rewia brzegów Tamizy, gdzieś koło Bray czy Maidenhead. I tak dobijamy do Drottningholmu, „szwedzkiego Wersalu”, jak podpowiada nam jakiś Niemiec wertujący zawczasu przewodnik. Odwracam się od tej encyklopedii, albowiem wolę zawsze czytać o miastach i zabytkach dopiero po ich obejrzeniu.

Na szczęście Drottningholm nie jest Wersalem, chociaż może powstał z chęci jego emulacji. Jest to miniatura ładna, powiewna, bardzo biała i schludna. Ogrody wokoło nie dorównują Wersalowi, ale ich formalność nie jest przesadzona. Cały zaś park na wyspie jest wręcz wspaniały: pod tym względem Szwecja może konkurować z Anglią. Siadam w kawiarni o wesółych stolikach i piję kawę: ptaki lądują zaraz koło mojego talerza i zaczynają dziobać beceremonialnie bułkę, rozkruszoną na obrusie. Piłki tenisowe śmigają na pobliskim korcie i słychać ostre zacięcia raket, przypominające odległy stukot toporu w lesie. Patrzę na doskonały mecz dwóch białych ubranych panów — tenis stoi wysoko w tym kraju wszelakich sportów. Szwecja wojenna wydała kilka wyśmienitych w tej dziedzinie talentów.

Wracam pod pałac i stwierdzam, że właściwie należy mu się bardzo dobra lokata: jest naprawdę uroczy — jeżeli nawet powstał pod wpływem Wersalu, to któryż kraj nie chciał konkurować z tym pałacem? (na pewno nie najbardziej uroczy, jaki Francja stworzyła; przeciwnie, jest w jego zewnętrznym kształcie biurokratyczna przeciętność niemal Francji obca, dowód, że Wersal miał być rzeczą pokazową, imponującą masą, ciężarem, prestiżem niejako swego frontu). Drottningholm bieli się i pieni swoim frontem bogatym od sztukaterii; a obok teatr, najładniejszy chyba osiemnastowieczny teatr, jaki pozostał w Europie w takim stanie (podobno uchował się jeszcze jeden zabytek tego typu w jednym z miast Włoch płn., ale scena nie jest ani w części tak głęboka jak w teatrze w Drottningholmie), jest miejscem, gdzie warto zabłądzić.

Zachował się on w swoim starym kształcie: scena jest pomysłowa, używa się jej dzisiaj do przedstawień baletowych:

Szwecja, podobnie jak Anglia, uwielbia balet. Jej własny balet jest na dobrym poziomie; ci, co widzieli baletowe spektakle w teatrze w Drottningholmie mówią mi, że jest to istna feeria. Cały teatr przypomina mi odległe uroczy „teatr na wsi”, przybudówkę wiejską do dworu Johna Christie w Glyndebourne pod Lewes w Anglii, operę, która potrafiła wysforować się na czoło oper europejskich i przez jakiś czas zastępowała nieczynny Salzburg. Jest tu w teatrze w Drottningholmie podobna „ujutność”, zaciśnięcie i elegancja.

Biały statek wraca poprzez bławatkową wodę morza ku Sztokholmowi. Z daleka płonie w słońcu syta miedź dachu ratusza: kapitalne dzieło z każdego punktu, pod każdym kątem.

FALLUN I FOLKETPARK

To miasto środkowej Szwecji, gdzie przed wiekami znajdowały się bogate kopalnie — finansowały one, jak mi powiadają szwedzkie wojny przeciwko Polsce — przypomina miasta bałtyckiego pobrzeża Niemiec, jakiś przedwojenny Stralsund. Ten sam kolor cegły; czerwony, głęboki, krwisty; podobna kancistaść architektury; chłodne wnętrza kościołów, schludność ulic, rynku. Zaglądam do kawiarni i słucham przez długie chwile rozmowy dwóch pań, typowych mieszczek: jakże monotonna jest ta rozmowa, jak nudna intonacja! To ustawicznie ponawiane „jooooo... joooo...”, jest chyba gorsze, nudniejsze od szwajcarskiego; cała ta pogawędka przy sąsiednim stoliku przypomina mi poryki krów na łące, nudne, przygnębiające. I jakże nudne jest to życie dookoła: zanadto ułożone, zanadto schludne, zanadto unormowane. Dlaczegoż nuda musi być haraczem płacnym za materialną pomyślność, za Welfare State, za wysoki poziom życia?

Rozglądam się po kawiarni: nie widzę ani jednej uśmiechniętej twarzy — i jakże tęskno mi za kawiarnią Włoch czy Hiszpanii, za gwarem, tupotem życia, za szybką skanacją języka, za wybuchami gniewu, oburzenia, śmiechu. Kraje Północy odkryły na pewno sekret spokoju i ładu społecznego, sprawiedliwości, higieny, — ale nie odkryły tajników osobistego szczęścia. Wiadomo jednak istnieje jakiś podział w naszej Europie: kraje, które socjalnie są daleko zaawansowane, które zeglują pod znakiem tzw. zadowolenia mas, nie mają już siły na znalezienie zadowolenia jednostki; kraje biedniejsze, Włochy czy Hiszpania, czy Grecja nawet, nie mają ani w części tak doskonałych ustrojów, wahają się między anarchią a dyktaturą, są niepohamowane w swoich politycznych pasjach — ale jednostka jest tam o tyle szczęśliwsza. Może dlatego, że szczęście osobiste jest jednak uczuciem anarchicznym, którego nie da się pogodzić z socjalnym „zrównaniem?” Może dlatego, że południowcy dalej żyją w kole swoich rodzin, że to jest ich najbliższa rzecz, prawda i troska: pozostawiając pole akcji społecznej dla działania rozmaitych po-

litycznych spryciarzy i ludzi ambicji? Ich sumienie społeczne jest o wiele mniej czułe aniżeli ludzi Północy; ich sumienie rodzinne cieplejsze.

Ale na pewno to nie załatwia jeszcze sprawy: trzeba by dodać do tego wszystkiego i czynnik słońca i klimatu i tradycji i religii (podział jaki biegnie przez Europę jest w dużej mierze kwestią światła, tak, światła i słońca; jak i religii: protestantyzmu i katolicyzmu, który jest o tyle mniej związany z walorami materialnymi świata niż protestantyzm podobnie jak zorientowany jest o tyle bardziej niż protestantyzm na otuchę i walor piękna).

Od tego marazmu kawiarni szwedzkiej uciekam do jednego z najlepszych zakładów, jakie zna ten kraj: do łaźni. Szwedzki masaż jest wynalazkiem kapitalnym. W każdym miasteczku — jak się potem przekonuję z wizyt po wsiach nawet na brzegu jeziora Siljan — jest łaźnia, gdzie poddają człowieka pod strugę wody gorącej i zimnej, maglują go ostro, zawijają w koce i dają do popicia przed snem szklankę zimnej wody. Zasypia się jak dziecko, aby po godzinie być zbudzonym przez pucułowatą niewiastę, która ma niebywałą moc w rękach i obraca swojego klienta na stole do masażu tak sprawnie jakby był walkiem ciasta. Kobiety — czasem młode i ładne — uprawiają ten masaż z uśmiechem na twarzy: przybysz z kontynentu (ustawicznie łapię się na tym rozróżnieniu, podobnie jak w Anglii: podświadomie czuję bowiem, że Szwecja nie stanowi części składowej rdzenia Europy), jest w pierwszej chwili speszony, ale tylko w pierwszej chwili. Cały zabieg jest robiony z taką ujmującą prostotą i humorem, że nawet najbardziej erotycznie nastawiony Europejczyk dochodzi do wniosku, że w tym kraju higiena i sport są istotnie czystymi pasjami. Dodajmy, że w wielu zakładach fryzjerskich kobiety golą mężczyzn. Robią to delikatnie i doskonale: a po takim doświadczeniu golibroda-mężczyzna wydaje się nam niezgrabiaszem.

W Fallunie przeżywam drugą białą noc — po pierwszej w Sztokholmie. Trzeba to przeżyć, aby zrozumieć jedną ze stron oblicza Szwecji: mistycznego niemal, nierealnego nastroju. Kiedy wracałem w taką jedną białą noc spod Sztokholmu do miasta, woda opalizowała, wszystko stało ciche, wyczekujące, nieruchome. To białe światło wydaje się promienować zewsząd i przenikać na wskroś. Pustka wokoło jest tak wielka, że człowiek zaczyna mówić do siebie: nawet ludzie spotkani na drodze wydają się nierealni, przecedzeni przez blask, odrzeczywistnieni. Ruchy ludzkie wydają się wyuczone, sztuczne — cały człowiek zdaje się w tej atmosferze czymś zbytecznym, narzuconym: jest to krajobraz stworzony dla siebie samego, bez asysty człowieka. Samotność, jaką odczuwa się wtedy, jest jedyną bodąj w Europie: nawet w pustkowiach Alp, w czasie samotnych wędrówek zimowych w górach Europy, nie odczuwałem nigdy takiego natężenia samotności jak w tych białych nocach Szwecji.

Biała noc w Fallunie jest jeszcze dosadniejsza: kiedy wra-

cam z potężnej, prawdziwie szwedzkiej popijawy, jest widno o 2-iej w nocy, a przenikliwość światła staje się aż żenująca. Akwawit uderza w skronie, domyślam się, że chcąc dotrzymać kroku moim szwedzkim gospodarzom przeciągnąłem strunę i że trzeba będzie się tu pochorować jak niepyszny, ale jestem osobliwie czujny, rozbudzony. Idę szosą i łapię się na tym, że zaczynam mówić do siebie. Rozumiem teraz, że białe noce Szwecji wyrabiają z ludźmi dziwne rzeczy: że wyrwywają ich z milczenia, otwierają usta; zamieniają w poetów, dają mistyczne przeczucia.

W Bollnaes, gdzie wylądowuję niebawem, nie ma już białej nocy, jest za to niedziela upalna i rojna od ludzi. Portier hotelu kolejowego — jakże czyste, miłe są te hotele, tanie, wygodne; elektryfikacja kolei sprawia, że nie zaznaje się tutaj, jak np. w straszliwych hotelach dworcowych Anglii, inwazji kurzu i sadzy — wita mnie po angielsku, rozmawia o Londynie, zapowiada swoją wizytę: ma wszystkiego 18 lat, zarabia na życie w czasie ferii wakacyjnych. Co można u was obejrzyć? — pytam. Nic ciekawego... nuda... ale jest Folketpark. Idę pod tusz, objuczony pękiem ręczników, danych mi przez młodocianego portiera. A potem ruszam na miasto.

Jest ono przemile, trochę chyba w stylu carskiej Rosji, albowiem po jego krawędzi roi się od typowych „dacz”. Rzeka połyskuje zalewami: na rzece spławia się drzewo — widok powtarzający się tyle razy w Szwecji. Potem jezioro i lasy. Droga jak u nas w Polsce, ale u drogi leśnej wspaniały stadion sportowy. I potem park ludowy: bardzo piękny wynalazek szwedzki.

Są dwie restauracje nad jeziorem: droższa i tańsza, jedna dla kanapek i mleka — pitego tutaj przy każdej okazji, szczególnie do posiłku południowego — druga dla bardziej solidnych dań. Jest krokiot, tenis, place zabawowe, huśtawki, plaże; jest dancing na otwartym powietrzu: kupuje się w kasie bilety na tańce, kłania się jednej czy drugiej panience, stojącej w rzędzie ze swoimi przyjaciółkami i tańczy się. Nie mówi się ani słowa, odstawia się tancerkę do jej miejsca postoju i tańczy się potem z inną. Chłopcy stoją po drugiej stronie, w rzędzie mniej składowym, rozmawiają żując gumę i połyskując amerykańskimi krawatkami (amerykanizacja mody męskiej oraz obyczaju jest w Szwecji poważna); ten rozdział płci przypomina mi nieco pochody przez place w Splicie czy w Dubrowniku w Jugosławii przedwojennej: tam jednak ten rozdział na spacerze wynikał z umowy, na podstawie której dziewczęta chodzą osobno, a chłopcy osobno (nawet jeżeli bawili się przed chwilą razem na plaży), albowiem nie wypada chodzić we dwójkę albo gromadą, jeżeli nie jest się zareczonym; tutaj wynika to z obojętności mężczyzn i rezerwy kobiet. Zauważam, że dziewczęta odmawiają tańczenia z obcymi: odnosi się to do dwóch amerykańskich marynarzy a potem i do mnie; nie po raz pierwszy spotykam się z tą skrajną rezerwą wobec cudzoziemców, obcych, którym na drodze nie pokaże się kierunku (pytanie o drogę dziewcząt w czasie wędrówek po Szwecji jest niewskazane: lepiej pytać mężczyzn).

Ileż ślicznych dziewcząt widzi się takiej oto niedzieli w miasteczku szwedzkim! Są dorodne, pięknie zbudowane, ich włosy nie są może tak jedwabiste i lśniąco jak u Angielek, bardziej stonowane, smutne jakby, ale cera jest wyjątkowo piękna, chociaż również nie mająca tego *éclat* co angielska. Są ubrane z o wiele większym gustem aniżeli Angielki, ale może jeszcze bardziej sztywne i *gauche* i przypominają nieporadnością swoich gestów prowincjonalne Niemki. Procent urody kobiecej jest w tym kraju bardzo wysoki; ale chłopcy nie reagują na ten pokaz — wolą własne towarzystwo. Czuje się w tym odwieczną zasadę: wikingowską zasadę męskiego zespołu, załogi łodzi; towarzystwo męskie jest czymś naturalnym, przyrodzonym, kobieta jest czymś, do czego się wraca z wyprawy, czymś, co zawadzałoby na tej wyprawie. Jest w tym stanowisku i germańska pogarda da kobiety, wyrażająca się już w języku (angielskie *woman* jest pochodną męczyzny, *man*, z dodatkiem *womb*, łona); dla umysłu niższości kobiety. To tłumaczy potrosze dlaczego w krajach germańskich, nomadycznych, kochających wyprawy, ekspansję i wojny jest tak duży odsetek homoseksualistów.

Wracam nad brzeg i oto widzę jak mała dziewczynka, nagusia i prześliczna w lśniącej jasności skóry, ćwiczy swoje baletowe *pas*. Światło jest teraz *pervenche* a sylwetka dziecka-dziewczyny odcina się jasno od tła nieba. Jest w jej wiotkim ciele zapowiedź kobiety, przeblysłk linii krągłych, uroda paku: odmierza szczupłymi nogami swoje kroki, woda bije pianą w jej stopy i jej nieświadome ramiona wyciągają się ku słońcu. Zasympiam na murawie Folketparku, a pod powiekami majaczy mi to drobne ciało w tle światła *pervenche*.

UPSALA I JEZIORO W BORACH

Jest to surowe, chłodne miasto, gdzie natykam się na odległe wspomnienia Wawelu: zamek na wzgórzu jest jakby miniaturą wzgórza wawelskiego, ale bardzo skromną i zgrzebną; sam zamek jest prosty, by nie powiedzieć prostacki w zestawieniu. Ale kilka szczegółów, kilka narożników baszt w czerwonej, mocnej cegle przypomina mi nagle mury i baszty Wawelu; jakże brakuje temu upsalskiemu zabytkowi pogody renesansu, dworskości wawelskiego dziedzińca; jest smutny w swoim ubóstwie. Tylko fragmenty mogą przywieść na pamięć Wawel, tylko konfiguracja terenu; ale sam zabytek raczej pachnie ubogimi zamkami Szkocji.

Nie, Szwecja nie jest ani Francją, ani Włochami ani Hiszpanią; nie jest nawet Niemcami czy Holandią, czy Belgią, gdzie turysta może sobie używać wśród zabytków historii. Atmosfera chłodu i sztywności nie zachęca do oglądania tych nielicznych zabytków, jakie nosi ta ziemia; nie zaprasza do ich wnętrza jak we Francji, czy Włoszech. Nic i nikt. Szwedom nie zależy

na pokazywaniu swojego kraju, chociaż mają świetne warunki dla turystyki: pierwszorzędne hotele, koleje, ciekawy krajobraz, kanały i śluzy, którymi można wędrować przez cały prawie kraj. Ale Szwedzi nie dbają o to. Przekonuję się o tej prawdzie raz jeszcze w Upsali: dowiaduję się, że do Skokloster, pięknego pałacu — prywatne pałace są bodaj lepsze i wystawniejsze w tym kraju aniżeli królewskie (podobnie zresztą jak w Anglii, gdzie nawet pałac buckinghamski król zakupił od wielmoży, gdzie Somerset House w Londynie jest o tyle paradniejszy od Buckingham) — idzie wycieczka motorówkami. Idę przez park, znowu bardzo piękny, rojny od kwiatów, nad brzeg kanału. Kapitan motorówki powiada, że odjedzie za 15 minut i żeby przyszedł na czas. Przychodzę — a kapitan właśnie odjeżdża motorówką i nawet się za mną nie oglądał. Powiadają mi, że trzeba było kupić przedtem bilet: ale nikt mi nie powiedział o tej ceremonii. Uskarżam się na to za powrotem do Sztokholmu w biurze turystycznym: owszem, niestety nie istnieje u nas poczucie, że kraj trzeba pokazać cudzoziemcom. Co robić?

Rättvik nad jeziorem Siljan jest chyba jednym z najbardziej uroczych miejsc w Szwecji. To kraj Gösty Berlinga i autorki tej powieści, Selmy Lagerlöf. Kraj podobny do Polski: ale jak cudownie zagospodarowany. Życie tu idzie jeszcze tak jak 50 lat temu w krajach kontynentu: wizyty między dworami, bryczki i konie, polowania, huczne karnawały. Chaty wiejskie przypominają nasze, ale jakże doskonałe są wyposażone. I cmentarz bardzo swojski: nawet moja kulawa znajomość pozwala mi odcyfrować na płytach grobowych słowa o „Bożej roli”, gdzie spoczywa taki oto pan czy wieśniak. Boża rola — jakże to brzmi blisko, znajomo.

Hotel turystyczny w Rättviku to urządzenie godne pochwały: barwny, malowany dom, cały z drzewa, pachnie żywicą, sala jadalna pod powalą z drewnianymi sosnami; w środku stół długi na 30 chyba metrów, zastawiony jadłem wszelakiego typu. Na boku ciepłe potrawy, podgrzewane na elektrycznej blasze — na długim stole, frykasy zimne, ryby na 50 sposobów, słodki, kwaśny i Bóg wie jeszcze jaki, wędliny, przystawki. Płaci się wstęp do tej sali i chodzi z talerzem dookoła stołu, jak długo się chce. Kelnerki w barwnych strojach Dalarny — jedno z najpiękniejszych strojów ludowych jakie zachowały się w Europie kręcą się po sali, przynosząc piwo. Są wesołe, ładne, wyjątkowo uprzejme jak na ten kraj chłodu i rezerwy. To studentki z uniwersytetów, które latem zarabiają na życie jako kelnerki.

Na brzegu roi się od plywaków: sport w tym kraju nie jest dla widzów — jak coraz częściej dzieje się w Anglii — ale jest czynnie uprawiany. Woda zimna co się zowie, ale wszyscy pływają, albowiem dla Szweda taka woda jest ciepła. W borach namioty, całe rzędy namiotów. Kuchenki, kuchnie, prymusy, gotowanie odchodzi na całego — tysiące koczują tego upalnego lata, które mało ma podobno sobie równych w kronikach Szwecji jeżeli chodzi o ilość słońca. To jest najważniejsza nowina, któ-

ra wszyscy dyskutują: słońce. I to, że stary król Gustaw V kąpał się wczoraj w miejscowości nadmorskiej, na południu Szwecji.

Wieczorem siedzę na werandzie hotelu turystycznego po powrocie z wycieczki stateczkiem przez jezioro Siljan; przychodzi do mego stolika pianista Włoch, który gra w hotelu. Ożenił się ze Szwedką, kraj jest dobry, płacą dobrze, ale panie, jakże tu zimno, jak zimno, jak obco. Marzy o tym, ażeby wyjechać do ojczyzny: ale z czego będziemy żyli? Tutaj żona zarabia masażem, on fortepianem — ale któż we Włoszech chce masażu? Pianista wzdycha, idzie do fortepianu i gra długo w noc piosenki Gigli'ego, canzonny Neapolu, Wenecji; przysuwam fotel do fortepianu, zachęcam go do coraz to nowych wspomnień. Przez chwilę zdaje się nam, że jesteśmy daleko od melancholii jeziora Siljan i że za oknami stoi noc włoska, a nie szwedzka.

POZA KRĘGIEM POLARNYM

Pociąg mija Kirunę, po długiej podróży ze Sztokholmu: podobno trasa z Goeteborgu do Riiksgrensena na granicy Norwegii jest najdłuższą turą, jaką zna Europa (ponad 1.500 km?). Nie uznają statystyk, ale wydaje mi się, że istotnie podróż do Abisko jest daleka: nie skarżę się jednak, albowiem pociąg był idealnie wygodny, spałem na kanapie w salonie, który znajduje się w środku każdego wagonu 2-ej klasy, patrzyłem na stacje, gdzie pojawiały się już Laponki i Lapończycy i zjadłem doskonałe śniadanie w przestronnym wagonie restauracyjnym. Na każdej stacji zmieniano nam wodę w karafkach stojących w metalowych obręczach w korytarzach, ręczniki w ubikacji; papierowe kubki na wodę — nie ma jak koleje Szwecji. Są one poza tym idealnie punktualne i szybkie.

Wysiadam nad jeziorem — daleko poza linią, która namalowana jest na trawie u toru kolejowego: przejeżdżacie właśnie koło polarne. Pokazują mi hotel turystyczny: a raczej aneks, albowiem hotel spalił się niedawno (pożary są w tym kraju częste, albowiem budulec to prawie zawsze drzewo, zwłaszcza na wsi). Aneks jest wspaniały: parkietowa podłoga, dywany, nasz pokój na 4 osoby czysty, łóżka systemu bunkrów pachną czystością prześcieradeł, dostajemy ile chcemy ręczników. Jest nas 4 osoby: dwóch badaczy flory i fauny, jeden fotograf. Badacz flory ofiarowuje się pożyczyc mi swoje buty gumowe sięgające powyżej kolan — inaczej nie przejdzie pan przez te mokradła, a poza tym zamordują pana komary. Drugi pożyczyc mi *jungle oil*, przez Szwedów pono wymyślony środek, trzeba się tym posmarować: twarz, ręce, a nawet kolana, albowiem komary tną przez ubranie. Mają one jednak respekt dla *jungle oil*, którego jakoby używali Anglicy w czasie walk w dżunglach malajskich. Badacz flory jest Holendrem, fotograf Duńczykiem. Dają mi wiele ostróg, powiadają, że najlepiej wyglądać *midnight sun* ze wzgórz Nuolja. Mamy iść na nie dzisiaj o 11-ej w nocy.

Jadalnia naszego aneksu jest obok: uroczą w każdym calu. Jak piękne i zgrabne są te stoliki, serwetki i koperty dla nich — stół, zastawiony smakołykami. Jest *porridge*, jest tapioka, jest ryż, potem bekon, jajka, rozmaite *cereals* — i autentyczne kisiele, w tym żurawinowy. Wzrusza mnie to niebywale, tłumaczę po niemiecku panience od tej żurawiny, że znam to z kresów wschodnich Polski. Zaciekawia się, pokazuje mi rozmaite brusznie i borówki, które stoją obok (używam tych pojęć w sensie „galicyjskim”, albowiem wiem, że te jagody nazywały się inaczej w Polsce środkowej, a inaczej na Kresach). Panienki stojące za stołem i rozdające te wszystkie cuda, są znowu szczytem uprzejmości, wszystkie ładnie ubrane w stroje ludowe. To znowu studentki, które w czasie wakacji pracują po hotelach turystycznych. Chwalą sobie to życie. Dużo robią wycieczek, dają mi mapę okolic, doradzają turę do Abiskojaure.

Ale, ale byłbym zapomniiał: atrakcją tego stołu jest układ łyżek, widelców, noży, leżą one w rozmaitych floresach: widelce jako gałęzie sosny, noże w kształcie rozgwiazdy, a może słońca polarnego? Podziwiam tę miłą inwencję i wypowiadam swoje pochwały: są one, widać, rzadkie, albowiem panienki rumienią się — rumieniec na licu Szwedki, matowym i bladym, jest jednak bardzo efektowny.

Te dziewczęta, które siedzą za stołami, to twarde turystki. Przekonuję się o tym, kiedy po śniadaniu wychodzę na przyzbę. Toernestroesk jarzy się w słońcu, a przed hotelem pakują się i sposobią do drogi całe karawany. Nie do uwierzenia, co spoczywa na grzbiecie szwedzkiego turysty, worki i plecaki po 50, a nawet więcej kg. Chcę odegrać rolę szarmana i ofiarowuję się podnieść na plecy osiemnastoletniej młódki jej plecak. I niemal wywracam się — worek waży chyba z 40 kg.! Smarkuła śmieje się i powiada, że to nic: jej przyjaciółka niesie plecak wagi 50 kg. a ich towarzysz 70 kg. My się tego uczymy od małkości: chłopcy po 5 lat dostają plecaki, do których wkłada się kamienie dla zaprawy... Niech pan spróbuje. Uciekam, albowiem — chociaż turysta od 10 roku życia — nienawidzę serdecznie plecaka.

Idę do Abiskojaure następnego dnia, obuty w wysokie Wellingtony mojego Holendra, znawcy flory i łoścy motyli. Przekraczam most na dudniącym wodospadzie, który z furją wali w malachitową misę granitu; potem idę znakami niebieskimi poprzez dolinę przypominającą chwilami Białą Wodę, moją ulubioną dolinę tatrzańską. Potok huczy po porohach, bór jest coraz dziksz, potem wchodzę na mokradła: trzeba skakać z kamienia na kamień, komary unoszą się chmurami nad kałużami barwy tęczowej, ale istotnie respektują *jungle oil*. Mijam jakieś dwa pochody turystów, staram się ich pozdrowić kilku językami, nawet po szwedzku, ale nie odpowiadają.

Samotność jest coraz większa, a kwiaty coraz bardziej nasilone w barwie: tundra polarna pełna jest kwiatów niebieskich, żółtych, chwilami różowych. Na lewo jezioro: płynie przez nie

teraz stado renów — pierwszy pruje potężnie wodę, pierzasta strzała śladu ciągnie się od jego głowy i rozchodzi daleko, w jego śladzie płynie z dwadzieścia sztuk. Jak piękny jest spokój ich ruchu, jak cicha woda jeziora.

Mijam obozowisko lapońskie: patrzą na mnie jak przez szybę; nikt się nie rusza. Łowią jedną twarz kobiecą, bardzo piękną: jeszcze piękniejsza pani, Laponka, przebywa w naszym hotelu w Abisko, ma twarz jak bizantyńska Madonna, jest straszliwie smutna i nie mówi ani słowa. Tylko jej wąskie palce przebiegają czasem serwetką i uśmiecha się do swojego płowego męża, Szweda, który też nic nie mówi. Pali fajkę i patrzy w okno.

Lapończycy wyglądają na ludzi wysoce rozczarowanych do wszelkich przybyszów, jak gdyby chcieli do nich zawołać: idźcie sobie stąd precz! Szanuję tę ich dumę i omijam ich namioty.

Dochodzę do Abiskojaure, dopadany coraz nachalniej przez komary. Pokazuję drogą jakiemuś Duńczykowi, który daje mi za to manierkę herbaty w schronisku: całe szczęście, albowiem babina, która trzyma schronisko nie ma nawet tego — trzeba tu wszystko ze sobą przynieść. Teraz rozumie się dlaczego turyści zabierają wory takiej wagi — namioty, kuchenki, prymusy, zapasy na 10 czy 14 dni. Idzie się w taką wędrowkę od schroniska do schroniska, a czasem kocując w namiocie — robi się po 50 km. dziennie. W czasie tury przemierza się 600, a nawet 1000 km. Duńczyk opisuje mi swoje wędrowki coroczne: mówi, że pustkowia jakie tu znajduje, jest niebywale; czyżby pan, taki młody, chciałby już uciekać od ludzi? — pytam. Uśmiecha się: nie wiem, wydaje mi się, że jest mi tu spokojnie, że jestem nareszcie samodzielny, zdany na siebie: widzi pan, moi rodzice uważają, że ja nie potrafię sobie dać sam rady, że jestem słaby. Udowadniam sobie, że tak nie jest. Takie wakacje dają mi szacunek dla siebie samego.

Duńczyk ma rację. Jest to pustka bez paraleli w Europie. Przekraczam stok pokryty śniegiem, pcham się przez kępy trawy zjadanej przez reny (są takie kępy i w Szkocji, gdzie zaczęto hodować reny, sprowadzone ze Szwecji). Jest pusto, straszliwie pusto; mylę drogę, wchodzą na złą ścieżkę, ale nie chcę się już cofnąć. Potok oddala się, wobec czego zaczynam iść ku niemu na przełaj. Mokradła są coraz gorsze, skakanie z kępy na kamień coraz uciążliwsze. Jestem dopiero pod wieczór w Abisko.

Chmury spadają aż nad fiord Toernetroesk i nie ma szans pójścia na Nuolje, aby oglądać *midnight sun*. Może jutro. Ale oto w nocy budzi mnie przez firanki pobrzask tego słońca. Wychodzę ku wodospadowi. Przypomina mi się opis w jednej z powieści Hamsuna — nie pamiętam tytułu, ale może właśnie zwała się ona „Wodospad?” — takiej siklawicy, która dudniła w malachitowej misie granitu. Teraz wodospad w różowo-białym świetle wygląda nierealnie, dziwne, że huczy. Cieknie jakby w zawieszeniu, w przestrzeni, pustce, woda jego jest różowo-ametystowa, granit raz i wprost zielonością, a cała ziemia promieniuje teraz światłością. Ta radiacja samej ziemi — to chyba najoso-

bliwsza strona zjawiska *the midnight sun*, słońca polarnego. Światło to bije dosłownie z ziemi, wyraźnie z ziemi, z jeziora, z tundry, z głazów; przenika mnie ono tak całkowicie, że nie czuję prawie własnego ciała. Teraz już wiem, czym jest ten świat polarny: to ziemia w dzień stworzenia, to pierwszy dzień stworzenia, to nagość ziemi jeszcze niepokrytej. To nagle odkrycie przejmuje mnie tak, że stoję jak urzeczony. Dopiero po wielu minutach wraca świadomość huku wodospadu, dopiero teraz dostrzegam słup dymu z ogniska, jakie pali się przed namiotem nomadów. Ziemia w dzień stworzenia. Żaden krajobraz Europy nie dał mi tego poczucia, tej rewelacji.

Jako dziecko marzyłem, że ujrzę kiedyś zorzę polarną, *aurora borealis*: nawiedzała mnie ona we śnie, widziałem festony światła, kule blasku, spływy kolorów i barw, drżącą kurtynę światła. Pytam się tych, co oglądali tutaj, w Laponii *aurorę borealis*: tak, najbardziej fascynujące to właśnie te kotary blasku, to przesuwanie się zasłon barw, jakby taniec siedmiu zasłon barw; to frendzle ogniste, szyby zielone, kule i rozpryski, światła, podobne *flares* lotniczym w czasie walk nad Londynem, oglądane nocami w r. 1940 i 1941. Pańskie przeczucia zorzy polarnej były zatem trafne: ale trzeba było po to przyjechać zimą. Niech pan wróci, namawia mnie Holender, łowca motyli. To niebyswałe przeżycie, prawie mistyczne. Jestem człowiekiem trzeźwym, ale czułem się wtedy bardzo, bardzo dziwnie.

Nie ujrzałem zorzy polarnej, nie złowiłem *midnight sun* — tylko jego pobrzask i kilka białych nocy: ale już to dało mi przedsmak tego, co się musi dziać z człowiekiem w nawiedzeniu tego niesamowitego światła. Kiedy odjeżdżałem z Abisko na południe, w przedziale moim znalazły się dwie Szwedki, fotografki, które chodziły przez 10 dni co wieczór na szczyt Nuolji, ażeby dojrzeć słońce polarne. Opowiadają mi teraz jak niesamowity jest to widok — jaka szkoda, że nie przyjechał pan o kilka dni wcześniej. Można patrzeć w to słońce godzinami... czy wyobraża pan sobie coś lepszego po śmierci, jak powrót na tę ziemię i patrzenie w to słońce? Czy też chciałby pan patrzeć na inny widok?

— Wolałbym chyba sięść jako duch na brzegu Majorki, nieopodal Miramar i patrzeć na zachód słońca... odpowiadam, albo gdzieś na wyspie Hvar w Jugosławii i patrzeć ze starego *castello* na bezmiar wody, albo znad Taorminy na sierp zatoki i na Etnę, albo... nie, nie chciałbym tu wrócić po śmierci, wolę, ażeby mnie dobry los przerzucił nad moje morze, Morze Śródziemne. — Bo pan nie rozumie piękna naszego kraju, odpowiada Szwedka dokładną, powolną francuszczyzną, tej wielkiej samotności i ciszy tego krajobrazu... — Ziemia w pierwszym dniu stworzenia, poddaje. — Ach, to jednak rozumiał pan coś niecoś, dodaje z powagą. — Zostawiam panu moje Morze Śródziemne... ja chcę po śmierci wrócić tutaj, na Nuolję, siedzieć naprzeciw słońca i patrzeć na nie... patrzeć na słońce, które umiera, ale umrzeć nie może.

Zbigniew GRABOWSKI

Poezja arabsko-andaluzyjska

BURZA

*Wszystkie kwiaty otwierały usta w ciemności
szukając wymion życiodajnego deszczu.*

*A wojska czarnych chmur brzemiennych wodą
defilowały majestatycznie
uzbrojone w słone szable błyskawicy.*

Ben Suhayd z Kordoby (992-1034)

CHCIAŁBYM SERCE ROZPŁATAĆ

*Chciałbym serce sztyletem rozplatać
włożyć ciebie do wnętrza
a potem znowu pierś zamknąć.*

*Abyś mieszkała tam, a nie gdzieś indziej,
aż po dzień smartwychwstania
i sędu ostatecznego.*

*Tak żyłabyś w nim póki by stało mi życie,
a z moją śmiercią umarłabyś w zakamarku serca
jak w ciemnej mogile.*

Ben Hazm z Kordoby (994-1063)

FRAGMENTY KASYDY NA LITERĘ NUN

*Z dala od ciebie, członki moje wyschły
z miłości ku tobie, a za to nie przestają płynąć łzy.*

*Kiedym cię stracił, zmieniły się moje dni
i stały się czarne,
gdy z tobą — nawet noce były białe.*

*Rzec można, że wszystkie noce spędzaliśmy razem
bez świadków,
a nasza dobra gwiazda kazala krytykom
spuszczać wzrok.*

*Tajemnicami dwiema byliśmy w sercu ciemności,
aż kiedy język jutrzeńki już — już miał nas wydać.*

Ben Zaydun z Kordoby (1003-1070)

MIŁOSNA SCENA

*Miała spojrzenia gazeli; szyja — jak białej lani —
wargi jak wino czerwone, zęby — perliste banki.*

*Zniewalało ją upojenie w szacie lamowanej złotem —
tak jasne gwiazdy splatają się wokół księżycy.*

*Nocą ręka miłości okryła nas szatą obied,
którą zdarła ręka jutrzeńki.*

Ben Jafacha z Alcira (1058-1138)

NIEOBECNOŚĆ

*Bezustannie oczyma niebo przebiegam,
aby gwiazdę zobaczyć, w którą się wpatrujesz.*

*Pytam podróżnych z rozmaitych krajów,
by spotkać kogoś, kto by zapachem twym oddychał.*

*Kiedy dmą wiatry, twarzy im nadstawiam,
czy mi od ciebie nie przyniosą wieści.*

*Bezmyślnie, bez celu wychodzę na drogi
może piosenka imię twe przypomni?*

*Chylkiem poglądam na wszystkich spotkanych,
czy nie dostrzegę śladu twojej piękności.*

Abu Bakr al-Turtusi (1059-1126)

BIAŁY KOŃ

*Pyszenie szedł w uprząży o złotym siodle
bielusienki jak gwiazda wieczorna
kiedy wschodzi słońce.*

*Ktoś, widząc że za mną idzie do bitwy
rzekł: "azdrośnie:*

*— Kto uzdę z Plejad nałożył Jutrzence
i Półksiężycem osiodłał błyskawicę?*

Abu Salt Umayya z Denia (1067-1134)

KŁOSY

*Pobatrz na łan zboża: jego kłosa,
chyląc się pod wiatrem, zdają się*

*szwadronami jazdy, co uciekając w rozbiciu
krwawi z ran maków.*

Qadi Iyad (1083-1149)

GWIAZDA SPADAJĄCA

*Gwiazda zobaczyła diabła
szpiegującego ukradkiem u bram nieba
i rzuciła się nań zapalając ognisty szlak.*

*Była jak jeździec, któremu
szybkość gonitwy rozwiązała turban
i który wlecze go za sobą
niby wiejący welon.*

Ben Sara z Santaren (zm. 1123)

ZAPROSZENIE

*Dzień jest wilgotny od rosy,
puszek roślin przysypał lico ziemi.
Prosi cię twój przyjaciel na ucztę:*

*Dwa garnki kipią wydając wyborną woni,
czekają cię perfumy, flakon wina, miejsce wyborne.*

*I więcej bym dał, gdybyś tego pragnął.
Lecz nie godzi się dla przyjaciela
robić zbytniej wystawy.*

Ben al-Qabturnuh (zm. po 1126)

MIŁOSNA SCENA

*Kiedy noc wlokła swój ogon cienia,
dałem jej do picia wina ciemnego i tęgiego
jak piżmo wchłonięte w nozdrza.*

*Jak junak szablę — tak ją przytuliłem,
a jej sploty niby wstążki zwisały z moich ramion.*

*Kiedy zmogła ją słodka ciężkość snu,
odsunąłem od siebie, bo mnie obejmowała.*

*Oddaliłem ją od łona, które kochała,
aby nie spała na tętniącej poduszce.*

Ben Baqi z Kordoby (zm. 1145)

PIEPRZYK

*O ty, co ganisz moją miłość dla Yahya,
kiedyś będę wolny od jej kochania?*

*Miedzy policzkiem a wargami ma pieprzyk:
Murzyn to, co przyszedł z rana do ogrodu*

*i waha się, czy zerwać różę lica
czyli stokrotkę ust.*

Al-Nassar z Walencji (wiek XII)

PODCZAS BITWY

*Na myśl mi przyszła Sulayma,
kiedy war bitwy przybomnił ogień mego ciała,
gdym od niej odchodził.*

*Zdało mi się, że pośród włóczni
widzę smukłość jej kibici —
więc kiedy pochylili się ku mnie,
objąłem je.*

Abu-l-Hasan ben al-Qabturnuh (wiek XII)

PIĘKNA Z PIEPRZYKAMI

*Tak była biała, że rzekłbyś perła
topniejąca albo mająca się roztopić lada chwila
na samo jej nazwanie.*

*Ale policzki jej, białe jak kamfora,
pocentkowane są piżmem.
Wszelką pięknością jest ona i czymś ponadto.*

*Raz kiedy jej pieprzyki zabadły mi w serce,
tak głęboko jak tylko można,
odezwałem się do niej:*

*Czy białość twoja oznacza brzychylność
a owe czarne punkty — niektóre nielaski?*

*Odparła: rodzic mój jest pisarzem królewskim
i kiedy zbliżyłam się doń
by mu swą miłość okazać*

*Zląkł się, że wyjawię tajemnicę pisma
i strzebnął pióro
nakrapiając mi twarz atramentem.*

Abu Ahmed ben Hayyum (wiek XII)

BITWA

*O Boże! Unosiły się chorągwie rycerzy,
jak ptaki wokół twych nieprzyjaciół.*

*Włócznie stawiały kropkę bo tym, co napisały szablą.
Kurz bitewny był piaskiem, co suszył pismo
a perfumowała je krew.*

Ben Said al-Magribi (1214-1274)

Wszystkie utwory zostały wyjęte z antologii *Poemas arabi-goandaluces*, którą wydał Emilio Garcia Gómez.

Przekład autoryzowany

Floriana SMIEJI



SPROWADZANIE RODZIN — EMIGRACJA
BILETY LOTNICZE, MORSKIE I KOLEJOWE
Z POLSKI I DO POLSKI

BILETY LOTNICZE I MORSKIE
DO U.S.A. — KANADY I AUSTRALII
WAKACJE I WYJAZDY NA KONTYNET

Polskie Biuro Podróży **FREGATA**

122 WARDOUR STREET — LONDON — W. 1, ENGLAND

DWIE KSIĄŻKI — DWA SUKCESY

Zofia Romanowiczowa

BARSKA I BARBARA

Cena fr. 500 — sh. 10 — dol. 1.50

OBÓZ WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Tadeusz Nowakowski

Cena fr. 850 — sh. 17 — dol. 2.50

LIBELLA

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île - PARIS-IV
France

WARUNKI SPRZEDAŻY:

Jeżeli ktoś mieszka we: Francji, Belgii, Holandii, Szwajcarii, Szwecji, Austrii, Niemczech, Luksemburgu lub we Włoszech, książkę możemy wysłać za zaliczeniem pocztowym, płatną przy odbiorze listonoszowi.

Jeżeli ktoś mieszka w Stanach Zjednoczonych należność może nam przesłać czekiem swego banku wystawionym w dolarach na „Libella” lub też może przekazać bez trudu za pośrednictwem poczty „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w: Kanadzie, Australii lub Nowej Zelandii należność może nam przekazać za pośrednictwem poczty — „international money order”.

Jeżeli ktoś mieszka w innych krajach jak: Brazylia, Venezuela, Congo belgijskie itp. należność może przekazać nam, za pośrednictwem banku.

Jeżeli ktoś mieszka w Polsce, może poprosić swego krewnego lub znajomego mieszkającego zagranicą, aby książkę u nas zakupił i mu wysłał.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach.

Sprawy i Troski

Jeszcze o Polonii kanadyjskiej

Interesujący i cenny artykuł dr. A. Jaworskiego o wynaradawianiu się Polaków w Kanadzie (zob. KULTURA, nr. 6/116, czerwiec 1957 r.) oparty jest w dużym stopniu na cyfrach zaczerpniętych z kanadyjskich spisów ludności. Jakkolwiek podzielamy uznanie autora dla imponującego wysiłku Dominion Bureau of Statistics w Ottawie w gromadzeniu materiału, naświetlającego demograficzny rozwój kraju, musimy stwierdzić, że nie zawsze praca kanadyjskich organów statystycznych była tak sprawna, jak to ma miejsce w latach ostatnich, i że jeszcze dzisiaj nie wszystkie działy ich obsługi informacyjnej zasługują na jednakową wiarygodność. Dotyczy to zwłaszcza danych obrazujących siłę poszczególnych grup narodowościowych składających się na ludność Kanady, a w szczególności grup wywodzących się z centralnej i wschodniej Europy.

W dążeniu do ustalenia składu ludnościowego budującego się kraju i do wypracowania wytycznych dla najważniejszej polityki imigracyjnej i asymilacyjnej, władze kanadyjskie od dawna gromadziły cyfry, obrazujące napływ różnych elementów narodowościowych osiedlających się w Dominium i ich rozmieszczenie na obszarze poszczególnych prowincji rozległego kraju. Cyfry te, aż do ostatniego pełnego spisu ludności, który się odbył w r. 1951, oparte były na pojęciu narodowościowego pochodzenia mieszkańców (1), które to pojęcie związane było z przyna-

(1) Termin „racial origin” o którym wspomina dr Jaworski, został zastąpiony w urzędowej terminologii Dominialnego Biura Statystycznego w roku 1951, i zastąpiony w tablicach 9-go spisu ludności terminem „origin”. Kanadyjskie władze imigracyjne, literatura naukowa, a także samo Biuro Statystyczne w komentarzach objaśniających cyfry objęte tablicami, używają dzisiaj pojęcia „ethnic origin” jako lepiej odpowiadającego myśli o odróżnianiu raczej właściwości kulturalnych niż cech rasowych charakteryzujących poszczególne grupy narodowościowe.

leżnością ojca odnośnie osoby do jednej z różnych grup narodowościowych. W 1951 r. władze statystyczne wprowadziły doniosłą zmianę w sposobie ustalania pochodzenia narodowościowego mieszkańców Kanady. Utrzymując nadal zasadę, że o pochodzeniu decyduje przynależność ojca do tej czy innej grupy odrębnych właściwościach kulturalnych, władze te zarządziły, aby pochodzenie to ustalać na podstawie języka jakim mówi osoba badana przez enumeratorów spisowych, jeżeli ona sama osiedliła się w Kanadzie, względnie języka jakim mówił ojciec tej osoby, lub jeszcze dalszy jej przodek w linii męskiej, w momencie imigracji do tego kraju. Oprócz tej zmiany, o następstwach której będziemy jeszcze mówić niżej, instrukcje spisowe z r. 1951 wprowadziły dalsze modyfikacje, związane z kryterium pochodzenia etnicznego, a mianowicie umożliwiły po raz pierwszy w historii kanadyjskich spisów ludności powoływanie się na nieznaną własnego pochodzenia (*unknown origin*), oraz zezwoliły na przyznawanie się do narodowości kanadyjskiej i amerykańskiej. Do tego czasu, kierując się słuszną obserwacją, że ani Kanada ani Stany Zjednoczone nie wytworzyły jeszcze własnego typu narodowo-kulturalnego, władze odmawiały rejestrowania odpowiedzi, wskazującej na „kanadyjskie”, względnie „amerykańskie” pochodzenie mieszkańca Kanady, domagając się bardziej sprecyzowanej informacji na temat tego, do jakiej grupy, posiadającej dostatecznie rozwinięte cechy odróżniające, mieszkaniec ten, względnie jego ojciec, się zaliczał (2).

Dawniejsze spisy ludności w Kanadzie charakteryzowały się daleko idącą niedokładnością jeśli idzie o cyfry określające liczebność grup etnicznych, zwłaszcza złożonych z tzw. nowej imigracji (tzn. nie-brytyjskiej i nie-francuskiej). Przyczyny braków tkwiły w niedoskonałości aparatu statystycznego, nieobznajomionego z demograficzną sytuacją tej mozaiki narodów i państw, kultur i religii, języków i narodowości, jaką stanowiła Europa.

(2) Ta ostatnia zmiana stanowi ustępstwo Dom. Biura Statystycznego wobec krytyk kierowanych pod adresem sztywnych instrukcji sprzed roku 1951. Krytyki pochodziły z jednej strony od „starych” Kanadyjczyków, przeważnie brytyjskiego pochodzenia, którzy uważali że są już wystarczająco zasiedzali w tym kraju, aby móc powoływać się na pochodzenie kanadyjskie, i którzy w zakazie używania tego określenia widzieli próbę uwiecznienia partykularyzmów narodowościowych znamionujących początkowy okres budowy państwa powstającego z elementów napływowych. Z drugiej strony instrukcje te uniemożliwiały ukrywanie za fasadą pochodzenia kanadyjskiego, czy amerykańskiego, rzeczywistego pochodzenia osób dotkniętych kompleksem niższości, które wstydyli się przyznawać do własnej grupy etnicznej. Kiedy przed pięcioma laty autor niniejszych uwag badał skład narodowościowy jednego z uniwersytetów prowincjonalnych które w swych statystykach dopuszczały powoływanie się na pochodzenie „kanadyjskie”, mógł stwierdzić, że większość studentów przyznających się do narodowości kanadyjskiej stanowili urodzeni w Kanadzie synowie polskich, ukraińskich i żydowskich imigrantów, a nie potomkowie rodzin mających długoletnie powiązania z Kanadą.

zwłaszcza centralna, południowa i wschodnia, i mieszkającego obywatelstwo osób z ich narodowością, miejsce urodzenia z pochodzeniem, i dopuszczającego do takich dziwostek jak próby doliczenia się osób narodowości „bukowińskiej”, „słowińskiej”, „galijskiej”, czy „teutońskiej”. Następstwa dezorientacji władz i braku doświadczenia enumeratorów spisowych powiększała okoliczność, że sami imigranci nie byli przygotowani do dawania wystarczająco jasnych odpowiedzi co do ich „*racial origin*”. Masy wieśniaków z Europy, wśród których znajomość języka angielskiego była znikoma, i między którymi duży procent stanowili analfabeci (jeszcze w 1921 r. odsetek analfabetów wynosił wśród Polaków kanadyjskich blisko 20%, a wśród Ukraińców ponad 30%), nie w pełni narodowościowo uświadomione — nie umiały dostarczyć władzom wystarczających danych co do własnego pochodzenia. Rezultaty spisów ludności były w związku z tym tak bardzo bałamutne, że kanadyjskie Biuro Statystyczne uznało za wskazane, przy okazji 7-go powszechnego spisu ludności w 1931 r., przestrzec przed opieraniem się na cyfrach obrazujących rzekomo siłę poszczególnych grup etnicznych pochodzących z Europy centralnej i wschodniej, stwierdzając, że zwłaszcza porównywanie wyników spisowych z lat 1871, 1881, 1901, 1911, 1921 i 1931 może prowadzić do błędnych konkluzji, i przyznając, że wnioski porównawcze można z pewnym prawdopodobieństwem wysnuwać tylko pod tym warunkiem, iż Niemców, Żydów, Rosjan, Polaków, Austriaków, Ukraińców, Rumunów, Czechów, Słowaków, Węgrów i Jugosłowian traktować się będzie jako jedną grupę i zestawiać jako taką z pozostałymi grupami składającymi się na ludność Kanady. W tych warunkach nie sposób traktować poważnie cyfr statystycznych jakimi źródła kanadyjskie za okres 1871-1931 określają liczebność elementu polskiego w tym kraju. Usterką wywodów dr. Jaworskiego jest nie tyle to, że cyfry te wymienia; na dobrą sprawę nie mamy żadnych innych danych obrazujących, choćby w przybliżeniu, ilość Polaków osiadłych w Kanadzie, ale raczej jego próba określenia procesu dynamicznego rozwoju grupy polskojęzycznej przez zestawianie tych cyfr i wyciąganie z nich wniosków, które operując niewiarygodnymi danymi, nie mogą brzmieć przekonująco.

Błędy statystyki kanadyjskiej odnośnie pochodzenia etnicznego dotyczyły Polaków szczególnie silnie dlatego, że nie mając do końca pierwszej wojny światowej własnej państwowości, byli zaliczani przez władze, mieszkające narodowość z obywatelstwem i z miejscem urodzenia, do grup reprezentujących mocarstwa zaborcze. Rejestrowano ich wtedy nie tylko, jak pisze A. Jaworski wspólnie z Rosjanami, ale spora ich ilość kryła się także w rubrykach zarezerwowanych dla Niemców, a zwłaszcza Austriaków. Wystarczy w tym względzie porównać wyniki spisów dotyczące grupy pochodzenia austriackiego, wykazujące jak liczba rzekomych Austriaków zmniejszała się w każdym z następnych spisów, nie na skutek emigracji z Kanady, tylko przez od-

padanie od niej osób niesłusznie przed rokiem 1931 zaliczonych do grupy austriackiej.

Kryterium pochodzenia etnicznego, w odróżnieniu od obywatelstwa, wprowadzono w Kanadzie dopiero w 1901 r., dlatego na cyfry wcześniejsze nie można w ogóle się powoływać. Spis ludności z r. 1901 nie wymieniał jednak Polaków w wykazie narodowości będących przedmiotem statystyki, stwierdzając wyraźnie, że osoby polskiego pochodzenia obliczone zostały łącznie z Austro-Węgrami, Niemcami i Rosjanami (3). Cyfra 6.285 Polaków, na jaką powołuje się dr Jaworski w oparciu o spis ludności z 1901 r., została wydedukowana dopiero w czasie opracowywania następnego spisu ludności (1911 r.), a powstała głównie przez zmniejszenie ilości osób zaliczonych w 1901 r. do grupy rosyjskiej. Również i następny powszechny spis ludności, z r. 1911, podający liczbę Polaków na 33.365, nie zasługuje na wiarę, choćby ze względu na znaną mu specjalną rubrykę „Galician”, do których, obok głównie Ukraińców, zaliczani byli Polacy, i to nie tylko pochodzący z Małopolski (4). Fakt, że i następny spis ludności, przeprowadzony już po odzyskaniu przez Polskę niepodległości ale przed ostatecznym uregulowaniem sprawy granic, nie dawał prawdziwego obrazu liczebności elementu polskiego w Kanadzie wpływa m. i. z zestawienia cyfr dotyczących rzekomej ilości mieszkańców kraju pochodzenia polskiego z cyframi przedstawiającymi liczbę osób mówiących po polsku. W tym roku, jak zresztą i poprzednio (5), ilość mieszkańców Kanady, wykazujących język polski jako ojczysty, przekraczała ilość tych, których zaliczono do polskiej grupy etnicznej (38.056 w stosunku do 35.394, przy spisie osób liczących 10 lat i wyżej). Ten zastanawiający na pozór rezultat został osiągnięty nie w konsekwencji jakiejś polonizacji elementów nie-polskich, ale przez kontynuowanie błędnego zaliczania Polaków do grup reprezentujących narodowości państw zaborczych. Pierwsze wiarygodne cyfry, malujące siłę polskiej grupy etnicznej w Kanadzie, przyniósł dopiero 7-my spis ludności z 1931 r., wykazujący statystyczny wzrost z 53.403 do 145.503 osób, co się tylko częściowo da wytłumaczyć naturalnym przyrostem ludności i silną imigracją lat dwudziestych. Głównym powodem tak znacznego wzrostu odnośnej cyfry było ulepszenie aparatu statystycznego i usprawnienie metod ustalania pochodzenia narodowościowego ludności, w odróżnieniu od kryteriów przynależności państwowej, miejsca urodzenia, i języka macierzystego. Oczywiście

(3) Por. *Fourth census of Canada*, vol. 1, Ottawa, 1902.

(4) Zob. H.A. Kennedy — *The book of the West*, Toronto, 1925, str. 142, W.J. Sisler — *Peaceful invasion*, Winnipeg, 1944, str. 17, i J.T.M. Anderson — *The education of the New Canadian*, London, 1918, str. 50.

(5) Por. przeprowadzony w 1916 roku spis ludności prowincji preryjskich, który wskazuje, że w Manitobie osób polskiego pochodzenia było 10.747, a językiem polskim jako ojczystym posługiwało się 12.994 osoby.

jeszcze pewniejsze rezultaty osiągnięto w dziesięć lat później i 8-my spis ludności z 1941 r. daje jeszcze lepszy pogląd na liczebność ludności kanadyjskiej pochodzenia polskiego.

Przedstawiona wyżej poprawa w stanie statystyk kanadyjskich nie uprawnia wszakże do wniosku, że rzeczywista ilość Polaków była w 1931 i 1941 r. taka, jaką wskazują 7-my i 8-my spis ludności. Nie było to jednak tym razem winą statystyk, tylko wynikiem szczególnej sytuacji polskiej grupy etnicznej w Kanadzie, która w poważnym procencie uległa ukrainizacji, zwłaszcza w zachodnich prowincjach kraju.

Kiedy, w końcowych latach ub. wieku, imigracja polska do Kanady przybrała formy masowe, większość imigrantów, których wówczas (aż do wojny 1914-1918) kierowano głównie na świeżo zaludnione preryjne prowincje kraju (Manitoba, Saskatchewan i Alberta), przybywała z terenu Małopolski wschodniej w towarzystwie liczniejszych jeszcze Ukraińców, czy też Rusinów, jak ich wówczas nazywano, i osiedlała się wspólnie z nimi, kontynuując jak najściślejsze współzycie wyniesione z starego kraju. Przewaga liczbowa Ukraińców, ich lepsza organizacja, a przede wszystkim mieszane małżeństwa spowodowały, że język ukraiński stał się rychło językiem którym mówiono powszechnie w ukraińsko-polskich osiedlach, co zresztą przypominało stosunki w niektórych okręgach dawnej Galicji. Bardzo bliskie współzycie towarzyskie, rodzinne, gospodarcze i kulturalne obu grup narodowościowych było najważniejszym faktem ich imigracyjnej egzystencji na preriach Kanady, którego nie może pominąć nikt, kto chce wiernie opisać rozwój jednej lub drugiej grupy tak zwanych kanadyjskich „Galician”. Zignorowanie elementu polskiego w próbie zarysu dziejów grupy ukraińskiej w Manitobie stanowi też najpoważniejszy mankament wspomnianej przez A. Jaworskiego monografii prof. Juzyka, wobec której autor polski wysuwa poza tym także inne słuszne zastrzeżenia.

Rezultatem współzycia dwu grup słowiańskich była dla Polaków m. i. silna asymilacja ukraińska, na którą prasa polska w Kanadzie niejednokrotnie zwracała uwagę (6). Poważny procent osadników polskich wynarodowił się językowo, podając w spisach ludności nie polski lecz ukraiński język, jako język ojczysty (w 1931 r. ponad 14%, w 1941 r. ponad 10%, a w 1951 r., mimo napływu nowej imigracji, jeszcze ponad 8% Polaków podało język ukraiński jako ojczysty; dla Manitoby odnośne cyfry wy-

(6) Zob. *Gazeta Katolicka* (Gazeta Polska) w numerach z 6. 12. 1911, 6. 6. 1912, 3. 4. 1920, 9. 8. 1922, 25. 1. 1928, 21. 3. 1928, 27. 3. 1929, 23. 3. 1932, 22. 6. 1932, 21. 12. 1938 i 5. 7. 1939, oraz *Czas* z 4. i 11. 10. 1922, 16. 2. 1927, 6. 8. 1930, 23. 3. 1932 i 25. 10. 1932. W latach późniejszych, zwłaszcza po 1940 roku, oba te tygodniki polskie wydawane w Winnipegu zanikały piętowania denacjonalizacji językowej rodaków, nie tyle dlatego by proces ten osłabił, ale aby nie zadrżnąć stosunków między obu grupami ludności słowiańskiej.

niosły w 1931 r. ponad 20 %, a w r. 1941 blisko 14% (7). Ta duża ilość Polaków używających w Kanadzie języka ukraińskiego skłoniła pewnych badaczy do kwestionowania cyfr statystycznych, dotyczących ludności kanadyjskiej polskiego pochodzenia, jako zbyt wygórowanych (8). Wniosek najzupełniej błędny (9). Tak bezpośrednia obserwacja stosunków ludnościowych w prowincjach prerynych, jak i analiza danych statystycznych skłania nas do konkluzji, że spisy ludności, nawet te najnowsze i najwiarygodniejsze, nie tylko nie zawierają przesady w ocenie ilości osób polskiego pochodzenia etnicznego, ale że ich cyfry umniejszają rzeczywistą ilość Polaków, o dobrych kilka, jeżeli nawet nie kilkanaście tysięcy. Prężność elementu ukraińskiego na terenie kanadyjskiego Zachodu była tak duża, że pewien odsetek żyjących wśród nich Polaków uległ ukrainizacji nie tylko językowo, ale i narodowościowo, podając władzom statystycznym swoje pochodzenie jako ukraińskie. Dla uzasadnienia tego wniosku wystarczy się powołać na dane dotyczące przynależności religijnej. Spis ludności z r. 1951, zawierający w tym przedmiocie cyfry stosunkowo najszczegółowsze, ujawnił, że na 395.043 osób pochodzenia ukraińskiego było w Kanadzie 56.650 osób należących do obrządku rzymsko-katolickiego. Z tej ostatniej cyfry — 10.033 przypadało na samą Manitobę (na ogólną liczbę 98.753 Ukraińców). Jeżeli wymieniamy tę ostatnią prowincję, to nie tylko dlatego, że jak już wspominaliśmy, proces asymilowania się Polaków do otoczenia ukraińskiego był w niej bardzo silny, ale dlatego, że mamy dla niej szczególnie cenną korekturę w opinii prof. Juzyka, który opracowując swoją książkę o Ukraińcach manitobskich w tym samym mniej wię-

(7) O fakcie, że asymilacja językowa Polaków do grupy ukraińskiej w Kanadzie najsilniej występowała tam gdzie panowało największe przemieszanie obu grup, i gdzie przewaga liczbowa Ukraińców była największa, to znaczy w prowincjach prerynych, świadczy okoliczność, że na 17.657 Polaków, którzy przyznali się w 1941 roku do używania języka ukraińskiego jako macierzystego — ponad 13.000 pochodziło z tych trzech prowincji.

(8) Prof. W. Burton Hurd w swej *Census monograph no. 4*, opracowanej dla Dominion Bureau of Statistics na podstawie wyników spisu ludności z 1931 roku (Ottawa, 1937) usiłował przeprowadzić korekturę urzędowej cyfry określającej ilość polskiego elementu etnicznego w Kanadzie, przez potrącenie pewnego procentu przypadającego na osoby, które zgłosiły nie-polski język jako ich język ojczysty. Podobne zastrzeżenia co do ilości Polaków kanadyjskich wykazanej w spisie ludności z roku 1941 zgłosił dr. V.J. Kaye (*Kysielewskij*) w swojej rozprawce pt. „Slavic groups in Canada”, Winnipeg, 1951, str. 23 i 24.

(9) Siłnym potwierdzeniem wpływu ukraińskiego na język mówiony przez inne grupy ludnościowe współżyjące na prawach mniejszości z grupą ukraińską są cyfry wykazujące, że w 1941 roku ilość osób mówiących językiem ukraińskim w Kanadzie była większa od ilości osób, które zgłosiły przynależność do ukraińskiej grupy etnicznej (313.272 w stosunku do 305.929), chociaż około 8% osób narodowości ukraińskiej nie władało już językiem ojczystym.

cej czasie w jakim odbywał się 9-ty spis ludności, ocenił liczbę swoich rodaków należących do obrządku łacińskiego tylko na 200 do 500 osób (10). Miał niewątpliwie rację, ale jak wytłumaczyć różnicę między cyfrą 500 a 10 tysiącami, o których mówi spis ludności? Jak wyjaśnić istnienie ponad 50 tysięcy łacińskich katolików między Ukraińcami w Kanadzie, skoro się nie słyszy o rzymsko-katolickich parafiach dla tych katolików, o żadnych towarzystwach religijnych, ani też o klerze ukraińskim tego obrządku? Wytłumaczenie leży w fakcie, że cyfra 56 tys. rzekomych Ukraińców, katolików obrządku zachodniego, pokrywa sobą tych członków innych narodowości, którzy dochowując tradycyjnej religii większej wierności niż tradycyjnemu językowi i narodowości — ulegli w otoczeniu ukraińskim wynarodowieniu. Nie twierdzimy, że wszyscy z nich to Polacy, względnie potomkowie Polaków, — ale przekonani jesteśmy, że większość tych rzymskich katolików obrządku łacińskiego figurujących w spisach kanadyjskich jako osoby pochodzenia ukraińskiego, wywodzi się faktycznie z polskich imigrantów.

Jeżeli już jesteśmy przy ostatnim kanadyjskim spisie ludności z 1951 r., który liczbę osób polskiego pochodzenia ustalił na 219.845, to trzeba zanotować inne zjawisko podrywające wiarygodność cyfr w tym spisie zawartych, jakkolwiek z przyczyn całkiem odmiennych. Spis ten wykazuje olbrzymi wzrost cyfrowy osób narodowości polskiej wyznających religię żydowską. Z zupełnie prawdopodobnej cyfry kilkudziesięciu (29) Polaków religii mojżeszowej, zanotowanej w 1941 r. liczba osób polskiego pochodzenia etnicznego wyznających tę religię wzrosła w 1951 r. do niewiarygodnej cyfry 7.608. Zagadkę tego nieoczekiwanego wzrostu statystycznego wyjaśnimy, jeżeli uwzględnimy zmianę wstępną zmianę w kryteriach ustalania pochodzenia etnicznego wprowadzoną przy ostatnim spisie ludności. Praktyka wykazała, że język mówiony przez imigranta, który w myśl intencji Dominialnego Biura Statystycznego miał służyć tylko jako element pomocniczy przy ustalaniu pochodzenia tego imigranta i jego potomków, wyrugował po prostu kryterium pochodzenia w znaczeniu dotychczasowym i zajął jego miejsce (11). I chociaż w zastosowaniu do grupy żydowskiej nie miał on, w

(10) Kiedy w 1952 roku autor niniejszych uwag, zbierając materiały do historii Polaków w Manitobie, zwrócił się o informacje do nieżyjącego już dzisiaj arcybiskupa A.A. Sinnotta, pierwszego arcybiskupa obł. diecezji winnipeskiej, krewki starzec zachnął się wykrzykując: „Poza Winnipegim i Polonią, nie ma Polaków w Manitobie; są tylko Ukraińcy rzymsko-katolickiego obrządku”. W tym powiedzeniu pralata doskonale zaznajomionego z Polską i sprawami polskimi mieściła się, mimo silnego przejawienia, spora doza prawdy.

(11) Fakt, że zmiana kryterium ustalania pochodzenia etnicznego wprowadzona w 1951 roku dotknęła statystyki Żydów stwierdziło samo Biuro Statystyczne w komentarzu do wyników 9-go spisu ludności. Por. *Ninth census of Canada*, 1951, vol. 10, str. 137.

myśl instrukcyj spisowych, być w ogóle użyty, spowodował, że kilka tysięcy Żydów polskich, względnie ich dzieci, zaliczonych zostało do grupy polskiej, powiększając statystycznie jej liczebność. Wszystko wskazuje na to, że ten nowy sposób ustalania pochodzenia etnicznego w Kanadzie odbił się również na ilości osób nie zaliczonych mimo swej przynależności etnicznej, do grupy polskiej, dlatego że ich rodzice, czy też oni sami, posługiwali się językiem nie-polskim w chwili osiedlenia się w Kanadzie. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że wynarodowienie językowe, będące dotychczas w stosunkach polsko-ukraińskich w Kanadzie tylko anomalią nie przesądzającą ostatecznie zaliczenia do tej czy innej grupy narodowościowej, znalazło dziś niejako legalizację jako wskaźnik, czy dowód, wynarodowienia „statystycznego”, polegającego na zaliczeniu do innej grupy etnicznej niż ta do której odnośna osoba powinna być zaliczona na podstawie jej faktycznego pochodzenia.

Dalszym ważnym następstwem wprowadzenia nowego sposobu identyfikowania pochodzenia etnicznego ludności kanadyjskiej jest zerwanie ciągłości porównawczej umożliwiającej zestawianie wyników periodycznych spisów ludności. Jeżeli nawet przyjąć, że dwa przedostatnie spisy przeprowadzone w 1931 i 1941 r. dawały wiarygodne podstawy do ustalenia, choćby w przybliżeniu, ilości ludności kanadyjskiej pochodzenia polskiego, to dzisiaj, po wprowadzeniu w 1951 r. nowych przepisów, uniemożliwione zostało obrazowanie dynamiki rozwoju tej ludności i wyciąganie konkluzji co do tendencji długo-falowych tego rozwoju ponieważ zatracona, a przynajmniej w wysokim stopniu utrudniona, została porównawczość wyników rejestrowanych przy każdorazowej enumeracji ludności. Umożliwienie powoływania się na pochodzenie „kanadyjskie”, wprowadzone w 1951 r. pozwoli, w stosunku do wszystkich grup etnicznych, na ukrywanie za tym określeniem prawdziwej przynależności narodowościowej i utrudni jeszcze bardziej sprawdzenie rzeczywistej liczebności elementów etnicznych składających się na ludność Kanady.

Nie mając miejsca na bliższe uzasadnienie naszej opinii, ograniczamy się do powołania się na to co wyżej powiedzieliśmy o konieczności korektur w oficjalnych statystykach kanadyjskich dla wyrażenia przypuszczenia, że liczba osób polskiego pochodzenia w Kanadzie zbliżała się w 1951 r. raczej do 250 tysięcy niż do cyfry 219 tysięcy wskazanej w spisie ludności. Nie negując dlatego trafności oceny dr. Jaworskiego, który w oparciu o cyfry oficjalne 9-go spisu ludności doszedł do wniosku, że w 1957 r. ilość Polaków w Kanadzie wzrosła do około 270 tysięcy, skłonni byłibyśmy skorygowaną cyfrę ustalić w przybliżeniu na około 300 tysięcy.

Jeżeli oficjalne cyfry kanadyjskie gromadzone przy spisach ludności nie dają, jak widzieliśmy, pewnej podstawy do obliczenia ilości Kanadyjczyków polskiego pochodzenia, i praktycznie rzecz biorąc uniemożliwiają zobrazowanie demograficznego ich rozwoju, to istnieją dalsze przyczyny dla których konkluzje do-

tyczące takich problemów jak przestępczość elementu polskiego w Kanadzie stają się jeszcze bardziej utrudnione. Dr Jaworski usiłuje określić nasilenie tej przestępczości na podstawie zestawienia surowych cyfr pochodzących ze statystyk osób skazanych sądownie. W badaniach nad przestępczością nie można jednak zadowalać się surowymi cyframi. Jak wszędzie indziej, trzeba je najpierw ocenić z punktu widzenia ich wiarygodności, i w tym zakresie, jeśli idzie o kanadyjskie dane dotyczące przestępczości trzeba zanotować dwa ważne momenty; jeden o charakterze ogólnym, a drugi związany głównie z osobami narodowości polskiej. Przede wszystkim dane w omawianym przedmiocie nie pochodzą od Dominialnego Biura Statystycznego, tylko są mu dostarczane przez władze wymiaru sprawiedliwości, które, przy ustalaniu narodowości skazanego, nie zawsze stosują kryteria wypracowane przez Biuro Statystyczne (12). Druga przyczyna, dotycząca głównie osób pochodzących z Polski, polega na tym, że w postępowaniu przed władzami policyjnymi i sądowymi mało uchwytne kryterium pochodzenia etnicznego zwykło być, jak uczy praktyka, zastępowane konkretniejszą informacją o przynależności państwowej lub miejscu urodzenia. Stąd duży procent przestępczości „polskiej” można było w statystykach kanadyjskich przypisać przestępczości osób wprowadzających do Polski urodzonych, lub mających obywatelstwo polskie, ale nie będących polskiej narodowości. Trzeba również pamiętać przy korzystaniu z dawniejszych statystyk, że w okresie niepodległości Państwa Polskiego, gdzieś aż do r. 1945, z usług polskich konsulatów w Kanadzie korzystali przy obronie karnej obywatele polscy bez względu na przynależność etniczną, a nawet takie osoby, które nabyły już obywatelstwo kanadyjskie. Dla zapewnienia sobie pomocy konsulatów, osoby które znalazły się w konflikcie z prawem, zwykły powoływać się przed władzami kanadyjskimi na swoje polskie powiązania, zwiększając w ten sposób odsetek uczestnictwa polskiej grupy etnicznej w statystykach kryminalnych Kanady.

Przyjąwszy nawet, że cyfry zawarte w statystykach kanadyjskich wskazują rzeczywistą ilość osób polskiego pochodzenia narodowościowego, które popełniły taki czy inny czyn kolidujący z prawem, z cyfr tych nie można wyciągać wniosków na temat nasilenia przestępczości, bez poddania ich stosownej analizie. Kryminologia uczy, że w grupach ludzkich większa przestępczość cechuje mężczyzn niż kobiety, że grupy wieku młodego, względnie siły wieku, odznaczają się większymi skłonnościami naruszania prawa niż inne, i że osoby samotne częściej popadają w konflikt z kodeksem karnym niż osoby posiadające rodziny. Wiadomo również, że otoczenie, stopień segregacji w łonie szerzej społeczności, stan wykształcenia, stosunki ekonomiczne, poczucie bezpieczeństwa społecznego i zaszczepienie — wytwarzają warunki bardziej lub mniej sprzyjające przestępczości. Do

cyfr bezwzględnych wskazujących na ilość wypadków konfliktów z prawem należy zatem zastosować współczynniki wywiedzione z wyżej wymienionych okoliczności, i dopiero na podstawie takiej analizy można dochodzić do wniosków wskazujących na nasilenie przestępczości, czy też na jej spadek. Rodzaj przestępstw odgrywa również rolę przy ocenie skłonności przestępczych. Dr Jaworski takiej analizy nie przeprowadza, ograniczając się do cyfr bezwzględnych, i nie biorąc pod uwagę całości materiału w przedmiocie statystyki kryminalnej (13), dlatego jego wywody nie mogą doprowadzić do prawidłowych konkluzji. Autor niniejszych uwag miał przed paru laty okazję zanalizowania pełnego materiału statystycznego w zastosowaniu do polskiej grupy etnicznej w Manitobie. Stosując wspomniane wyżej współczynniki korygujące do surowych cyfr, które na pierwszy rzut oka istotnie wyglądały niepokojąco, doszedł do wniosku, że uwzględniając całość warunków socjalnych w jakich Polacy znaleźli się w Kanadzie, ich stopień maladaptacji do otoczenia miejscowego nie wykazuje nadmiernych zaburzeń, a procent wypadków kolizji z prawem nie jest większy od przeciętnej dotyczącej całej ludności kanadyjskiej, jakkolwiek nieznacznie przewyższa średnią spotykaną przy niektórych innych grupach etnicznych.

Esencją wywodów dr. Jaworskiego były wnioski odnośnie niepokojącego tempa wynaradawiania się Polaków w Kanadzie. W świetle naszych obserwacji, jeżeli pominiemy zjawisko masowej ukrainizacji elementu polskiego głównie w zachodnich prowincjach kraju, mające swoje historyczne i socjologiczne usprawiedliwienie i w całości położenia polskiej grupy etnicznej nie będące wyrazem denacjonalizacji jako przedwstępnego warunku asymilowania się do ogólnej społeczności kanadyjskiej — ani cyfry statystyczne ani znajomość terenu nie uzasadniają wniosku o nadmierność lub zbyt szybkim postępie zatracania przez Polaków ich cech narodowych. Integracja ich w łonie tworzącego się narodu kanadyjskiego jest raczej powolna. Nie znaczy to, by proces asymilacyjny odbywał się jak najkorzystniej dla obu zainteresowanych stron. W tym przedmiocie szereg uwag dr. Jaworskiego jest trafnych. Zupełnie słuszną jest jego obserwacja co do jałowości polskiej asymilacji w Kanadzie, jeżeli nie ma jej towarzyszyć odpowiedni transfer polskich wartości kulturalnych w ogólne życie kraju. Ten wszakże temat wymagałby szerszej dyskusji, na jaką nie pozwalają ramy niniejszego artykułu.

Wiktor TUREK

(13) Nie uwzględnia w szczególności danych dotyczących liczby więźniów, sklasyfikowanych według ich przynależności etnicznej w Kanadzie. Dane te zawarte są w sprawozdaniach *Commissioner (Superintendent) of Penitentiaries*, przedkładanych corocznie parlamentowi przez ministra sprawiedliwości w Ottawie.

Najnowsza historia Polski

Więzienie sowieckie (3)

WIĘZIENIE W LEFORTACH

Spotkani ludzie, długi pobyt w środowisku obywateli sowieckich i czytana sowiecka literatura, orientować mi się pozwalały coraz lepiej w stosunkach sowieckich i ludziach, tak bardzo innych, od ludzi jakich dotychczas spotykałem w życiu. Czas płynął jednostajnie, zbliżała się wiosna. Na wiosnę oczekiwałem, że przyjdą wydarzenia, które zmienią radykalnie moje dotychczasowe położenie. Oczekiwałem wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Do celi nie przychodziły jednak żadne wiadomości, które potwierdzałyby moje nadzieje. Przeciwnie, mówiono ciągle o dobrych stosunkach Związku sowieckiego z Niemcami i o układach z Japonią, która gwarantuje pokój na wschodzie. Jedno było tylko zastanawiające, do naszej celi nie przybywali zupełnie ludzie z wolności, a jedynie z innych cel lub więzień i tak wyglądało, jakby aresztowania zupełnie ustały. Z drugiej strony, liczba więźniów w naszej celi zmniejszyła się z 10-ciu do 6 osób, a podobny stan był i po innych celach. Wszystkie sprawy były na ukończeniu, co robiło wrażenie ogólnej likwidacji więzienia. Wskazywało też na pewną linię generalną, którą interpretowałem jako przygotowania do wojny na odcinku więziennictwa. Równocześnie powtarzały się alarmy gazowe w więzieniu. Nadzór po kilka dni z rzędu nosił maski gazowe, zapalono nawet niebieskie żarówki i robiono próby zaciemnienia. W początkach maja przyszło do naszej celi parę osób lepiej poinformowanych o sytuacji politycznej. W tym jeden Żyd rosyjski, człowiek kulturalny, z którym mogłem mówić po francusku a więc zupełnie swo-

Materiały drukowane w tym dziele zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie wyrazem poglądów Redakcji.

badnie. Od niego dostałem wiele ciekawych informacji, o położeniu międzynarodowym. Dowiedziałem się także o zwycięstwach niemieckich na półwyspie Bałkańskim. Teraz jasną była przyczyna dlaczego nie ma dotychczas wojny na wschodzie, niemniej wbrew opinii mego informatora, oczekiwałem jej w niedalekiej przyszłości, gdy operacje będące w toku zostaną zakończone i upłynie czas potrzebny na nowe przegrupowanie sił. Dla oceny sytuacji, jako ważny element, uważałem protest Związku sowieckiego złożony w związku z atakiem na Serbię. Tłumaczyłem to sobie tym że Sowiety zaczynają się liczyć realnie z ewentualnością wojny, której nie da się odwiec. Widziałem, że całe nastawienie Związku sowieckiego na wypadek wojny jest ofensywne. W myśl tego planu zajęto wschodnią część Polski w 1939 r., zlikwidowano państwa bałtyckie, zajęto Besarabię i wypowiedziano wojnę Finlandii. Wojna ta ujawniła poważne braki armii sowieckiej, które zaczęto szybko usuwać i gromadzono olbrzymi materiał wojenny dla przyszłej wojny ze światem kapitalistycznym, którą chciano rozpocząć możliwie najpóźniej, gdy świat kapitalistyczny będzie już zmęczony i wyczerpany walką wzajemną. Przedpole do działań ofensywnych było już przygotowane. Czekano na moment gry, a „niezwykła armia czerwona” pójdzie naprzód, przez Polskę na Niemcy i na Bałkany. Protest w sprawie Serbii, otwierał możliwości nie tylko militarnej ale i politycznej ofensywy na Bałkany.

Widziałem też, że NKWD przygotowuje się do objęcia nowych terenów, a nawet oczwyszcza sobie więzienia dla nowych aresztowanych z krajów gdzie pod ochroną czerwonej armii będzie można wprowadzać ustrój sowiecki i likwidować „wrogów ludu”. Linia umocnień na Dnieprze, jest tylko przejawem ostrożności. Na granicy okupacji polskiej umocnień trwałych, o ile mi było wiadome, nie zbudowano, były tam tylko umocnienia polowe, liczono na wojnę ruchomą i na zwycięski pochód czerwonej armii na Zachód. Ataku ze strony Niemiec nie oczekiwano. Liczono, że Niemcy, są zajęte wojną na Zachodzie z Anglią i że wojny ze Związkiem sowieckim nie będą ryzykowały, że „genialna” polityka Mołotowa, gwarantuje na razie pokój, potrzebny do dalszych zbrojeń i pozwoli Sowietom wystąpić we właściwym momencie, który nie jest jeszcze wcale tak bardzo bliski. Tak oceniali przyszłą wojnę bolszewicy.

Moja ocena była inna. Zdawałem sobie sprawę, że ze względu na swoje położenie aprowizacyjne, oraz wojnę z Anglią, która się przedłuża Niemcy muszą zaatakować Związek sowiecki i zdobyć w ten sposób bazę aprowizacyjną.

Było mi wiadome, że w Niemczech jeszcze przed wybuchem wojny istniało przekonanie, że Rosja sowiecka posiada znaczne rezerwy żywnościowe, a podniesienie produkcji na obszarach południowo rosyjskich czarnoziemów, może być szybko przeprowadzone. Na tej podstawie wnosiłem, że nie później jak w roku 1941 ten atak musi nastąpić. Poglądu panującego w Niemczech na Rosję nie podzielałem. Zdawałem sobie sprawę, z ni-

skiego stanu produkcji rolnictwa rosyjskiego i z ogromnych trudności i nakładów, potrzebnych dla podniesienia tej produkcji. Dlatego też nie przewidywałem aby podbój przez Niemcy nawet bardzo wielkich obszarów rosyjskich, mógł istotnie wpłynąć na położenie aprowizacyjne Niemiec.

Siły wzajemne oceniałem w następujący sposób. Związek sowiecki może przeciwstawić dobrego i bitnego żołnierza, ale mało kulturalnego i nie umiającego w dostatecznym stopniu obchodzić się z maszynami. Podoficerski materiał dobry i ideowy, tak samo i młodszy oficerowie, z tym zastrzeżeniem, że ich ogólny poziom wykształcenia jest bardzo niski. Materiał wojenny na ogół dobry i bardzo obfity. Lotnictwo dobre i liczna broń pancerna. Rezerwy ludzkie i surowce prawie nieograniczone. Olbrzymie przestrzenie broniące bezdrożami i długą i ciężką ziemią. Słabą stroną armii sowieckiej widziałem w braku dostatecznej liczby kwalifikowanych kierowców, przywykłych do pracy maszyną i motorem, bardzo słabe wyższe dowództwo, brak zdolności organizacyjnych, oraz wielkie trudności transportu wobec złego funkcjonowania kolei i złych dróg. Niemcy mogą przeciwstawić licznie mniej liczną, ale za to świetną i już zwycięską armię, lepsze uzbrojenie i żołnierza zżytego z motorem i umiającego obchodzić się z bronią automatyczną, zmechanizowaną, świetne dowództwo na wszystkich stopniach i niezawodną organizację. Rezultat był dla mnie jasny. Klęska Związku sowieckiego oczywista. Przebieg wojny z Finlandią pouczył mnie, że klęski sowieckiej należy oczekiwać w dość szybkim czasie i sytuację oceniałem w ten sposób, że Niemcy powinni dojść do Moskwy w ciągu trzech miesięcy. Z drugiej strony, nawet tej ewentualności nie uważałem za ostateczną klęskę Sowietów i przewidywałem długą i ciężką wojnę, która będzie Niemcy kosztowała wiele krwi i nie da im oczekiwanych wyników. Jak się później okazało opinia moja dość ostrożna pokrywała się z oceną sytuacji w Niemczech a także w Anglii. Wojna potwierdziła ją tylko w części, ujawniła ona bowiem lepszy stan uzbrojenia armii sowieckiej niż sądzono nawet w kołach do tego sądu powołanych, oraz wyższą zdolność produkcji przemysłu wojennego. Nieoczekiwane wielkie okazały się przygotowania Sowietów w okręgu przemysłowym podurskim oraz siła oporu jaką zdolna jest postawić armia sowiecka.

Wszystkie sprawy moich towarzyszy więziennych znajdowały się w stanie likwidacji. W mojej sprawie też nastąpił zwrot. Został on mi zasygnalizowany odebraniem w połowie kwietnia dodatkowej racji żywnościowej i papierosów. Było to ogromne pogorszenie mego położenia. Wszelkie starania z mej strony nie odniosły skutku, lepsze pożywienie, które otrzymałem przez 6 miesięcy, zostało mi odjęte. Byłem znów skazany na niedostateczne normalne racje więziennicze. Równocześnie zaczęło się nowe śledztwo, które prowadził teraz młody kapitan. Dotychczas w Moskwie miałem do czynienia wyłącznie z wyższymi szarżami. Cały ton śledztwa znowu się zmienił i wró-

čiliśmy do rozmów jakie miałem we Lwowie. Zażądano ode mnie abym przyznał się do sposobów walki jakie stosowałem przeciw ruchowi rewolucyjnemu w Polsce i do knoń jakie prowadziłem przeciw Związkowi sowieckiemu jako premier. Zaczęły się znowu protokoły a osnową śledztwa był mój życiorys, przeze mnie napisany, z którego kuto bronił oskarżenia. Żądano, bym się przyznał do wrogich działań przeciw Związkowi sowieckiemu i dał materiał potwierdzający stawiane mi zarzuty. Gdy, rzecz jasna, odmówiłem, zagrożono mi przeniesieniem do innego, znacznie gorszego, więzienia. Istotnie groźbę tę wykonano i pod koniec maja zabrano mnie z celi, wsadzono do karretki więziennej i wywieziono do więzienia w Lefortach.

Leforty to ciężkie więzienie wojskowe o szczególnie surowym regulaminie i bardzo ścisłej izolacji. Zamknięto mnie do celi razem z dwoma innymi więźniami. Jeden był uczniem Akademii Malarskiej, oskarżony o antysowiecką agitację i wmieszany w jakąś skomplikowaną sprawę politycznego zabójstwa, specyficznie sowieckiego typu. Cała sprawa oparta była na materiałach poszlakowych. Drugi więzień to inżynier-leśnik, wyższy urzędnik ludowego komisariatu łądów. Oskarżony był o szkodnictwo.

Warunki w Lefortach były dużo gorsze jak na Łubiance, ale robactwa w celi nie było, jedzenie to samo co na Łubiance. Izolacja o wiele silniejsza, a nadzór bardziej dokuczliwy. Główna różnica polegała na tym, że w dzień nie pozwalano spać. Różnica zdawałoby się nieistotna, a przecież bardzo uciążliwa. W Lefortach śledztwo było prowadzone wyłącznie w nocy. Badania trwały od 10-tej wieczór, do 2-giej, 3-ciej, a czasem do 4-tej nad ranem. O 6-tej rano jest pobudka i trzeba wstawać, a potem w ciągu dnia absolutnie nie podobna się zdrzemnąć, bo natychmiast budzą. Śledztwa powtarzają się co noc. W ten sposób spać można na dobę dwie-trzy godziny. Ten sposób śledztwa jest bardzo uciążliwy i wyczerpujący. Moi towarzysze mieli już śledztwo zakończone od szeregu miesięcy i mieli spokój, mnie wzywano prawie co noc. W Lefortach jako normalny środek śledczy jest stosowane bicie aresztowanych. Bito również na Łubiance, tam jednak środek ten stosowano wyjątkowo. W Lefortach bicie w czasie śledztwa jest niemal regułą. Można uważać za wyjątek tych, których nie bito. Do takich wyjątków należałem. Wprawdzie grożono mi wielokrotnie i robiono przygotowania do egzekucji, ale na tym się kończyło. Widocznie uznano moją sprawę za dostatecznie jasną, a moją winę ze stanowiska sprawiedliwości sowieckiej za dostatecznie udowodnioną. Spisywano tylko protokoły dochodzeń, dotyczące mojej działalności w przeszłości, inkryminując mi walkę z ruchem rewolucyjnym i Związkiem sowieckim. Argument, że jako szef rządu polskiego wprowadzałem w życie zawarty ze Związkiem sowieckim pakt o nieagresji, że lojalnie go wykonywałem i że był to okres poprawnych stosunków sąsiedzkich między Polską a Związkiem sowieckim, nie miał żadnego zna-

czenia. Również bez znaczenia był fakt, że aresztowania komunistów w Polsce, dotyczyły polskich obywateli i były nakazane obowiązującymi w Polsce ustawami. Wreszcie sformułowano w sposób definitywny oskarżenie. Zbiegło to się w czasie z wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej.

Dnia 22-go na 23-go czerwca całe więzienie zostało zamknięte. Wszędzie paliły się niebieskie żarówki. Okna były zastonięte. Straż nosiła maski gazowe w futerałach przy sobie. Wyglądało to zupełnie inaczej jak alarmy gazowe, które urządzało poprzednio. Była to wskazówka wojny. Wątpliwości usunął pierwszy atak lotniczy na Moskwę. Następnej nocy nad ranem, dała się słyszeć artyleria przeciwlotnicza i wybuchy bomb. Było więc jasne, że wojna się rozpoczęła. Moje śledztwo zakończyło się sformułowaniem aktu oskarżenia. Oskarżono mnie ostatecznie, że byłem członkiem Polskiej Organizacji Wojskowej w latach 1916 do 18, brałem udział w wojnie przeciw Związkowi sowieckiemu w roku 1920, oraz że jako minister Reform Rolnych i jako premier, zwalczałem ruch rewolucyjny gnębiąc komunistów, nadto prowadziłem działalność przeciw Związkowi sowieckiemu. Oskarżenie było ze stanowiska prawa krajów cywilizowanych niezwykle słabe i bezpodstawne.

Polska Organizacja Wojskowa została rozwiązana w jesieni 1918 r. a więc przed powstaniem Związku sowieckiego. W roku 20-tym byłem jako obywatel polski obowiązany do służby wojskowej, wojna została zakończona pokojem obustronnie podpisanym, bez zwycięzców i zwyciężonych. Jako minister Reform Rolnych, wykonywałem ustawę wydaną w myśl interesów bezrolnych i małorolnych chłopów. Jako premier, wykonywałem ustawy obowiązujące w Polsce. A co jest rzeczą najważniejszą, wszystkie czynione mi zarzuty pochodziły z czasów, gdy jako obywatel polski, podlegałem polskiemu ustawodawstwu, a żadne zarzuty nie zostały mi zrobione z okresu, gdy znajdowałem się pod okupacją wojsk sowieckich. Nigdy też nie byłem na terenie Sowietów. W tych warunkach kodeks sowiecki nie mógł mieć do mnie zastosowania, byłem bowiem obywatelem polskim, i kodeks ten nigdy mnie nie obowiązywał.

Zakończenie śledztwa przyjąłem z zadowoleniem. Wobec tego, że sowiecki kodeks karny nie mógł mieć do mnie zastosowania przypuszczałem, że w tym stanie rzeczy sądzony nie będę, a prawdopodobnie otrzymam wyrok zaoczny, administracyjny, wydany przez OSO (*Osoboje Sowjeszczanije*). Ten sąd administracyjny wyrokuje zaocznie i ma prawo zasądzać do 8-iu lat obozów pracy względnie więzienia. Przed ten sąd idą w Sowietach sprawy, które nie nadają się do rozprawy sądowej. Spodziewałem się, że tam też zostanie skierowana moja sprawa. Wobec wojny nie bardzo się przejmowałem ile lat mi zasądzą, liczyłem bowiem, że wojna z Sowietami będzie w każdym wypadku krócej trwała. Po zakończeniu śledztwa miałem po nocach spokój i czekałem cierpliwie dalszego biegu wypadków.

WYROK I KAMERA ŚMIERCI

Dnia 7-go lipca o świcie kazano mi się zebrać z rzeczami i przeprowadzono do tzw. boksu. Boksy są to w więzieniu sowieckim, małe pokoiki, bez okien, od jeden i pół do 6-ciu m. kwadratowych, w których więźniów oczekuje dalszych decyzji. Do boksu wyprowadzają więźnia, gdy ma być przeniesiony do innej celi, lub innego więzienia, tu również otrzymuje więźniów wszelkie dokumenty dotyczące jego sprawy i rozmawia z władzami więziennymi. W boksie wręczono mi akt oskarżenia na piśmie, oraz kazano mi podpisać zawiadomienie, że sprawa moja będzie sądzona przez Wojenne Kolegium Sądu Najwyższego, czyli najwyższą instytucję Związku sowieckiego. Akt oskarżenia zawierał tę samą treść co oskarżenie końcowe śledztwa. Oskarżał mnie z art. 58 kodeksu karnego sowieckiego, punkt 4 i 13. Należy dodać, że kodeksu karnego nie dano mi do ręki, bym mógł się z nim zapoznać, nigdy też nie przeczytano mi, o czym mówią poszczególne punkty i co cały artykuł 58 zawiera. Moje życzenie, że pragnę się z treścią tego artykułu zapoznać, a jako obywatel polski nie mogę znać kodeksu karnego sowieckiego, oraz że nie mam obrońcy, który by mógł mnie poinformować, załatwiono odmownie twierdząc, że jest to niepotrzebne. Oczywiście niejedno o tym artykule wiedziałem od moich towarzyszy więziennych. Jest to słynny artykuł, na podstawie którego, w Sowietach są sądzone wszystkie sprawy polityczne. Rozpada się on na 13 punktów. Punkt 4-ty mówi o współpracy z międzynarodową burżuazją i przewiduje kary od wydalenia z granic Związku sowieckiego, do kary śmierci włącznie. Punkt 13-ty mówi o historycznej kontrrewolucji, jejmu podlegają wszyscy, którzy należą do wrogiej komunizmowi warstwy społecznej, szlachta, burżuazja i kułacy, oraz ci, którzy w czasach przed rewolucją, pracowali przeciw ruchowi rewolucyjnemu, policja, urzędnicy państwowi, oficerowie itd.

Pomimo błahego oskarżenia ze stanowiska europejskich pojęć prawnych faktem było, że moja sprawa przybrała poważny charakter. Wiedziałem, że kolegium wojenne, wydaje zwykle wyroki 15-tu lat obozów pracy, co stanowi zwykłą normę dla tego sądu. Oczywiście nie miałem obrońcy, nie mogłem się też z nikim naradzić, jak należy się bronić.

Po nieodzwownej rewizji i parogodzinnym oczekiwaniu załadowano mnie do karetki więziennej i pod bardzo silną eskortą, przewieziono do więzienia w Butyrkach. Tam znowu trafiłem do boksu. Spisano ze mnie różne formularze i kazano czekać. Po kilku godzinach, przeprowadzono do innego boksu, poddano znowu rewizji szczegółowej i przyprowadzono do celi. Tam znajdowało się około 10-ciu osób. Okazało się, że wszyscy tak samo jak ja zostali przewiezieni z Lefortów i oczekują na wyrok wojennego trybunału. Tu dowiedziałem się, o rozpoczęciu wojny przez Niemcy ze Związkiem sowieckim, że Niemcy wojnę rozpoczęli 22 czerwca o 4-tej rano, i że działania wojen-

ne są w toku. Więcej nie umiano mi powiedzieć. Żadne szczegóły, ani też wiadomości o wyniku walk, jeszcze do więzienia nie przeniknęły. Wśród więźniów byli dwaj Polacy. Jeden oficer służby czynnej i jeden młody człowiek, którego znacznie później ode mnie aresztowano i ten opowiadał mi, co działo się w Polsce już po moim aresztowaniu i wywiezieniu ze Lwowa. Spotkałem też byłego ministra spraw wewnętrznych Litwy, Łotysza, Jakuta, Mongoła i paru Rosjan. Okazało się, że tego dnia po innych celach mnóstwo ludzi oczekuje na sąd i my jesteśmy tylko jedną z wielu cel i że oczekujemy na swoją kolej, że z różnych więzień są zwożeni oskarżeni i należy oczekiwać masowych wyroków. Było jasne, że ta masowość wyroków, pozostaje w związku z wojną, której przebieg był nam wszystkim wiadomy. Po paru godzinach zaczęto nas kolejno wywoływać, przyszła i moja kolej.

Przeprowadzono mnie do innego zupełnie pawilonu. Więzienie butyrskie, to wielki kompleks gmachów, tu mieści się więzienie śledcze na kilka tysięcy osób, sąd wojenny i zwykły, oraz pawilony specjalne, dla podsądnych i skazanych, oraz pawilony dla osądzonych i oczekujących wywiezenia do obozów. Jest to najśłynniejsze więzienie w Moskwie, do którego każdy więzień, który był w Moskwie musi wcześniej czy później trafić. Mnie przeprowadzono do pawilonu gdzie urzędowały kolegia sądu najwyższego. Urzędowało ich równocześnie kilka. W osobnej ubikacji kazano mi czekać. Po pewnym czasie wprowadzono do sali sądowej.

Za stołem siedziało trzech wyższych oficerów, w środku siedział łysy, tęgą generał z czterema rombami, jak się potem okazało przewodniczący wojennego kolegium, słynny Ulrych i obok dwóch assessorów. Przy oddzielnym stoliku siedział protokolant. Mnie postawiono na środku sali między dwoma podoficerami stanowiącymi straż. Przewodniczący oświadczył mi, że stoję przed Wojennym Kolegium Sądu Najwyższego, które będzie rozpatrywać moją sprawę, że oskarżenie zostało mi doręczone i zapytał co mam do powiedzenia w swej obronie. Odpowiedziałem, że do Polskiej Organizacji Wojskowej należałem w okresie wojny światowej i pracowałem w niej na terenie okupacji austriackiej, że organizacja ta została rozwiązana w jesieni 1918 r., a więc wówczas gdy Związek sowiecki jeszcze nie istniał. W roku 1920 jako obywatel polski byłem obowiązany do służby wojskowej, a wojna zakończona została pokojem, który wszelkie następstwa prawne dla obywateli obu stron likwidował. Jako minister Reform Rolnych wykonywałem ustawę o Reformie rolnej w Polsce, która redukowała wielką własność ziemską do 180 ha ziemi ornej i uprzywilejowywała bezrolnych i małorolnych chłopów. Jako premier rządu polskiego w latach 34/35 wprowadzałem w życie pakt o nieagresji ze Związkiem sowieckim i starałem się z nim utrzymywać dobre stosunki sąsiedzkie, co było w tym czasie osiągnięte. W stosunku do polskich komunistów i innych ruchów rewolucyjnych,

stosowałem ustawy obowiązujące polskich obywateli w Polsce. Aresztowani i sądzeni byli ludzie, którzy występowali czynnie przeciwko państwu i siłą chcieli obalić istniejący stan prawny. Stwierdziłem, że jestem obywatelem polskim, że oskarżenie dotyczy mej działalności na terenie Polski i w stosunku do ludności polskiej. Na terenie sowieckim nigdy nie byłem, a oskarżenie nie obwinia mnie również o żadne działanie przeciwko wojskom sowieckim, które wkroczyły na teren Polski w czasie wojny polsko-niemieckiej. W tym stanie rzeczy, kodeks karny sowiecki nie może mieć do mnie zastosowania, gdyż nigdy na terenie Polski i w stosunku do obywateli polskich nie posiadał mocy prawnej. Obowiązywał bowiem tylko na terenie Związku sowieckiego i w stosunku do obywateli sowieckich.

To moje oświadczenie trwało najwyżej 10 minut. W odpowiedzi Ulrych oświadczył „Pan zapomina, że Polska nie istnieje” i zwrócił się do assessorów czy mają jakie pytania. Ci oświadczyli że nie. Wobec tego rozprawa została zakończona i mnie wyprowadzono. Cała ceremonia nie trwała dłużej jak 15 minut.

Na korytarzu mogłem zauważyć duży ruch. Przeprowadzano oskarżonych, których sprawy, jedną po drugiej, kolegia rozpatrywały w błyskawicznym tempie. Na salę sądową, gdzie byłem sądzony, wprowadzono innego oskarżonego, a mnie przeprowadzono do osobnego pokoju i kazano czekać. Po półtorej godzinie przeprowadzono mnie znowu na salę sądową. Po chwili wszedł sąd w tym samym składzie i odczytał mi wyrok. Sąd stwierdził, że zostało udowodnione, że przez 25 lat prowadziłem wrogą działalność przeciw Związkowi sowieckiemu jako członek i jeden z kierowników P.O.W., oraz jeden z wybitnych piłsudczyków, że organizacja P.O.W. prowadziła walkę z Sowietami i pracę szpiegowską na terenie Związku sowieckiego. Jako premier rządu polskiego ze szczególną bezwzględnością gnębiłem ruch rewolucyjny w Polsce i przygotowywałem walkę ze Związkiem sowieckim na terenie międzynarodowym. Wobec czego zostaję skazany na śmierć przez rozstrzelanie, z pozbawieniem praw i konfiskatę majątku, że przysługuje mi prawo prosić o łaskę Prezydium Najwyższego Sowietu, tzn. Kalinina.

Po odczytaniu wyroku podoficerowie stanowiący straż wzięli mnie pod ręce i wyprowadzili z sali sądu, a następnie w ogóle z pawilonu, gdzie urzędował trybunał wojenny, z powrotem do tych samych boksów, do których mnie przywieziono z Lefortów. Wyrok na piśmie, ani teraz, ani potem nie został mi doręczony. Wyrokiem byłem oburzony, to było pierwsze i dominujące uczucie, które miałem po jego otrzymaniu. Z opowiadań znałem już wyroki i sądy sowieckie, ale dopiero bezpośrednie zetknięcie się z tym ulegalizowanym masowym morderstwem, dało mi należyte pojęcie, o metodach tego ustroju. Wyrok był dla mnie nieoczekiwany, zwłaszcza w zdumienie wprowadziły motywy wyroku, które mówiły o szpiegostwie i o mojej 25-cio letniej działalności jako członka i jednego z przywódców Polskiej Organi-

zacji Wojskowej, gdy w istocie organizacja ta już w roku 1918 przestała istnieć, a zarzut szpiegostwa nigdy nie był mi przez śledztwo stawiany. Ale przecież motywy wyroku nie miały żadnego znaczenia. Cały sąd i przewód sądowy urągały wszelkim zasadom wymiaru sprawiedliwości. Była to zwykła komedia, która miała na celu upozorowanie morderstwa, jakie postanowiono na mnie wykonać. Byłem jednostką dla ustroju sowieckiego szkodliwą i jako wroga postanowiono mnie zniszczyć. W czasie rewolucji takich jak ja rozstrzeliwano bez wszelkich formalności, teraz po 25-ciu latach w uporządkowanych warunkach państwa sowieckiego czyniono to samo, ale uprzednio rozgrywano przed oskarżonym komedię sądu, co upozorowywało i legalizowało akt morderstwa identycznego do poprzednich morderstw z okresu rewolucji.

O 10-tej wieczór wyprowadzono mnie z boksu i przeprowadzono do innego pawilonu tzw. speckorpusu (specjalnego korpusu), do niewielkiej celi. Równocześnie do celi wprowadzono drugiego skazanego, a wkrótce przybyli dalsi. Znaleźliśmy się w liczbie sześciu. Wszyscy skazani na śmierć, i wszyscy otrzymali wyroki w dniu dzisiejszym. Okazało się, że we wszystkich pracujących równocześnie kolegiach, wydawano wyroki śmierci i innych wyroków w ogóle w dniu dzisiejszym nie było. Sąsiednie cele zapelniały się tak samo jak nasza, skazańcami i obliczaliśmy, że tego dnia wydano kilkaset wyroków śmierci, a korpus, w którym siedzieliśmy, mogący pomieścić około 2-ch tysięcy ludzi, był wedle wszelkiego prawdopodobieństwa w całości wypełniony skazanymi na śmierć. Kolegia wojenne pracowały już od szeregu dni i ferowały wyroki śmierci. Było jasne, że te masowe wyroki śmierci pozostają w związku z toczącą się wojną. W czasie pokoju kolegia wojenne wydawały wyroki na 15 lat obozów pracy, obecnie wyrokowano śmierć chcąc sobie zapewnić całkowitą swobodę działania wobec elementów niepożądanych.

Następnego dnia napisaliśmy podania o ulaskawienie. Dano nam do celi papier i atrament i kazano napisać podania. Był to przymus. Kto nie pisał, za niego pisał zarząd więzienia. Przepisowi musiało stać się zadość. Po oddaniu podań mieliśmy czasu trzy dni, po którym to terminie powinno było przyjść ulaskawienie, względnie wykonanie wyroku. Należało czekać. Tymczasem poznawałem moich towarzyszy więziennych.

Jeden ze skazanych był robotnikiem. Potem został generałem sowieckim i nosił dwa romby (generał dywizji). Ostatnio był w Chinach. Nosił polskie nazwisko, jego dziad był jeszcze Polakiem, pochodził z Wilna. Był to człowiek kulturalny, biegle władający językiem angielskim, dżentelmen o wyrobionym poczuciu honoru, co w sowieckich stosunkach należy do rzadkości. W celi śmierci miał możliwość dać temu wyraz. Był skazany za szpiegostwo. Był ideowym komunistą i rosyjskim patriotą. Wierzył, że wojna z Niemcami skończy się zwycięstwem Związku sowieckiego, wierzył w siłę i wartość armii sowieckiej

i nie dopuszczał nawet możliwości, aby Niemcom mogło się udać wdrzeć głęboko w teren Związku sowieckiego, przeciwnie, przypuszczał raczej, że strona sowiecka przejdzie do działań ofensywnych. Do żadnej winy nie poszuwał się, miał jednak zupełną pewność, że wyrok śmierci zostanie na nim wykonany. Wyrzążał żal, że ginie zupełnie niewinnie z rąk tych, którym całe swe życie służył i poświęcił wszystkie swe siły. Śmierci oczekiwał z powagą i spokojem.

Drugi skazany, Rosjanin o niemieckim nazwisku, który jednak nie znał języka niemieckiego. Był także skazany za szpiegostwo na rzecz Niemiec. Z zawodu był rolnikiem i pracował w stacjach doświadczalnych nad selekcją zbóż, specjalnie zajmował się uprawą prosa i pracował nad rozszerzeniem tej kultury. Opowiadał wiele o kołchozach w których pracował, ich organizacji i rozwoju w ostatnich latach. Był entuzjastą swego fachu i był przekonany, że kołchozy opanują istniejące trudności, powołując się na postęp jaki już zrobiły i ilustrując swe wywody dobrze pracującymi kołchozami. Stał na stanowisku, że należy iść dalej w kierunku zainteresowania pracowników planami i dać kołchozom większą samodzielność gospodarczą. Entuzjazmował go już osiągnięte rezultaty i wierzył w ich rozpowszechnienie się na inne kołchozy. Do żadnej winy się nie poczuwał, że szpiegostwem nie miał nic wspólnego, był jednak przekonany, że wyrok zostanie na nim wykonany.

Trzecim skazanym był inżynier zakładów w Krzywym Rogu Kurd z pochodzenia, skazany za szkodnictwo. Był to ciasny fanatyk-komunista. Takim pozostał i w celi śmierci, pomimo że liczył na wykonanie wyroku.

Czwartym skazańcem był silnie zrusyfikowany Łotysz. Człowiek o umysłowości półinteligenta, który przed wojną, dzięki protekcjom, ukończył wyższy zakład naukowy rolniczy. Przed wojną światową był socjalistą, a w czasie wojny domowej jako bolszewik zajmował wysokie stanowisko przy zaopatrywaniu armii. Po wojnie był aresztowany i został skazany na śmierć przez bolszewików. Został jednak ułaskawiony i jako Łotysz wrócił na Łotwę. Tam wydał książkę przeciw Sowietom i należał do radykalnej socjalistycznej opozycji w stosunku do rządu łotewskiego. Potem zaczął organizować na Łotwie partię komunistyczną. W tym okresie znów nawiązał kontakt ze Związkiem sowieckim i był prześladowany na Łotwie jako komunista. Po przyjęciu wojsk sowieckich na Łotwę został aresztowany i teraz powtórnie skazany na śmierć. Miał nadzieję, że i tym razem uda mu się wykręcić. Był to zresztą jedyny w celi człowiek, z którym Sowiety miały podstawę do zrobienia rozrachunku.

Piątym skazańcem był Estończyk. Szofer estońskiego poselstwa w Moskwie. Zupełnie apolityczny, patriota estoński, porządny i kulturalny człowiek, bez większego wykształcenia, mówiący słabo po rosyjsku. Sam nie wiedział za co został skazany.

Do celi dostaliśmy łóżka, ale bez bielizny pościelowej i otrzymywaliśmy zmniejszone racje żywnościowe, które zmniejszono

wszędzie w więzieniach w związku z wojną. Moi towarzysze podobnie jak i ja przeszli przez Łubiankę i Leforty, niektórzy byli także w Butyrkach, a dwóch przeszło przez tzw. Suchanówkę. Suchanówka to specjalne więzienie tortur. O ile w Butyrkach i na Łubiance więźniowie bici są wyjątkowo, o tyle w Lefortach stosowanie fizycznego terroru jest regułą. W Suchance są stosowane tortury. Przeszedłszy do Suchanówki więzień ma dać zeznania, to znaczy przyznać się do czynionych mu zarzutów dać dowody swej winy i wskazać współników swego przestępstwa. Z reguły wymaga to dużej pomysłowości ze strony oskarżonego. Jeżeli oskarżony daje żądane zeznanie, to tortury oczywiście nie są stosowane, o ile oskarżeniom zaprzecza, zaczynają się tortury, które zawsze dają wynik w postaci najbardziej fantastycznych zeznań. Można je porównać tylko z zeznaniami, jakie były składane w Świętej Inkwizycji. Ludzie przyznają się do szpiegostwa, do działania na szkodę Związku sowieckiego i do najbardziej niewiarogodnych czynów, oraz wskazują na swoich współpracowników, na ludzi zupełnie niewinnych. Z reguły nie wiedzą, jak uprawdopodobnić swe zbrodnie i wskazać na czym polegała ich działalność szpiegowska czy też szkodnictwo. Śledztwo przychodzi im wówczas z pomocą i wreszcie powstaje utwór fantastyczny z pewnymi elementami prawdopodobieństwa. Z Suchanówki nikt nie wychodzi nie złożony zeznań. Mówiono mi o wypadkach, że przed sądem ludzie odwoływali swe zeznania, motywując ich złożenie torturami i dając dowody tych tortur w postaci uszkodzeń cielesnych. Sąd z reguły sprawę odraczał i oddawał do ponownego śledztwa. Delikwent znowu dawał zeznania i znowu odwoływał przed sądem. Za trzecim razem przyznawał się do wszystkiego, prawdziwość swych zeznań przed sądem potwierdzał i prosił o wyrok. Są to metody śledcze, przejęte żywcem od Inkwizycji i udoskonalone metodami, stosowanymi na wschodzie; tych środków człowiek nie jest w stanie wytrzymać i prosi o wyrok, tj. o śmierć.

Pierwsze dwa dni wszyscy zachowywali się spokojnie. Czekało na rozstrzygnięcie naszych podań o ułaskawienie i nadśluchiwało, czy nie wyprowadzają skazańców w nocy, z innych cel, co wskazywałoby na przeprowadzanie egzekucji, było jednak cicho i nic pewnego stwierdzić nie byliśmy w stanie. Robiło jednak wrażenie, że egzekucje nie są przeprowadzane. Trzecia noc była nieprzyjemna, czekało na egzekucję, upływał bowiem termin w Sowietach przyjęty, po którym przychodzi albo ułaskawienie, albo rozstrzelanie, to ostatnie jest wykonywane uproszczonym sposobem. Skazaniec zostaje rozebrany do naga i idzie naprzód, z tyłu strażnik strzela z rewolweru w tył głowy.

Ta trzecia noc przeszła spokojnie. Na korytarzach także nie słyszeliśmy ruchu, który by wskazywał, że z innych cel wyprowadzają skazańców na egzekucję. Następne dwadzieścia cztery godziny także przeszły spokojnie, żadne rozstrzygnięcie nie przychodziło.

Osobiście doszedłem do przekonania, że ani egzekucji ani ułaskawienia na razie nie będzie i że dłuższy czas, będziemy tak trzymani pod grozą śmierci. Podobnie jak masowe wyroki należało tłumaczyć jako następstwo wojny, tak samo nasz dalszy los zależał od przebiegu działań wojennych. W razie zagrożenia Moskwy i konieczności ewakuowania władz zostaniemy wszyscy rozstrzelani, w przeciwnym razie, jeżeli sytuacja będzie uznana za opanowaną zostaniemy ułaskawieni i odesłani na długoletnie ciężkie roboty, co dla mnie przy moich siłach fizycznych, było także wyrokiem śmierci, tylko śmierci powolnej. O przebiegu wojny nie mieliśmy żadnych wiadomości, a moi towarzysze reprezentowali zgodnie, z wyjątkiem Estończyka pogląd, że wojna sowiecka, prowadzą z powodzeniem ofensywę. Ja i Estończyk byliśmy odmiennego zdania. Liczyłem się bardzo, z ewentualnością szybkiego zagrożenia Moskwy przez Niemców, a wówczas z generalną egzekucją wszystkich skazańców.

W miarę jak płynęły dni, nawet pesymiści zaczęli się oswajać z sytuacją. W Moskwie panowały upały, okna były zamknięte szyby zamalowane granatową farbą, otwierać można było tylko lufki. W celi było duszno i gorąco, tak że siedzieliśmy prawie nadzy i oblewaliśmy się potem. Wobec zmniejszonych porcji był głód, a nadto w celi pluskwy, które zwłaszcza w nocy bardzo dokuczały. Ze sklepu więziennego nie sprzedawano nic do jedzenia, tylko papierosy, których mieliśmy poddostatkiem, mający bowiem pieniądze kupowali dla pozostałych. W celi panowała ożywiona wymiana myśli, wszyscy mówili szczerze, nie mieli się czego obawiać ani też na co liczyć. W celi śmierci zebrałem też wiele wiadomości o Rosji sowieckiej i warunkach życia w tym kraju, poznałem bliżej ludzi, którzy należeli do innego zupełnie niż ja świata. Po 20-tym lipca zaczęły się intensywne naloty niemieckie na Moskwę. W naszej celi słyszeliśmy działa przeciwnie, a nawet odczuwaliśmy wstrząsy od wybuchów. Naloty były wskazówką, że ofensywa niemiecka, musiała zrobić poważne postępy, skoro przez pierwszy miesiąc wojny nalotów nie było, poza jednym, którego odgłosy słyszałem w Lefortach, zaraz pierwszego dnia wojny. Obecnie co noc, Moskwa była intensywnie bombardowana. Życząc bolszewikom jak najgorzej i pragnąc gorąco aby ich zniszczono doszczętnie, zdawałem sobie sprawę, że w razie ewakuacji Moskwy, zostanę na pewno rozstrzelany.

Po 20-tu dniach pobytu w kamerze śmierci, dnia 27 lipca, o 10-tej rano, wywołano z naszej celi Łotysza i kazano mu zabrać swoje rzeczy. Godzina dla egzekucji była nieodpowiednia. Jego sprawa była w naszej celi najcięższa. Co się z nim stało nie wiem i potem także niczego się nie dowiedziałem. Po godzinie kazano się zabrać z rzeczami mnie i byłemu generałowi sowieckiemu. Ten ostatni był przekonany, że idzie o egzekucję. Poprowadzono nas o piętro niżej do dużej sali i kazano czekać. Do sali zaczęli napływać inni skazańcy, wszyscy z wyrokami śmierci. Weszło także 8-iu Polaków. W tej liczbie były premier Prystor

Aleksander. Ogółem zebrało się 16 osób. Zaledwie zdołałem się zapoznać z przybyłymi i pokrótce dowiedzieć się o ich losach i przywitać z Prystorem, który po aresztowaniu w Wilnie przeszedł identyczne ze mną koleje, weszło dwóch podoficerów i kazali się nam ustawić w szeregu. Wywołano każdego z nas po nazwisku i oświadczone nam, że wyrok śmierci został nam zamieniony na 10 lat przymusowej pracy w obozach. Skazańcy przyjęli wyrok spokojnie, jeden tylko, były generał sowiecki, wyraził swą radość. Był przekonany, że zostanie rozstrzelany, a teraz cieszył się, że będzie żył.

WSPÓLNA CELA ETAPOWA. ZWOLNIENIE

Po odczytaniu nam ułaskawienia, odprowadzono nas do pałacu przetrzebionego z dawnej cerkwi więziennej, gdzie mieściły się cele etapowe. Wprowadzono nas wszystkich do obszernej celi, w której było już około 50-ciu osób. Wśród skazanych było wielu, którzy podobnie jak i my, byli skazani na śmierć, a obecnie po ułaskawieniu czekali na swą kolej, aby jechać do obozów pracy. Co kilka dni odchodziły stąd transporty, do których zbierano z różnych cel po kilkuset więźniów, zależnie do jakiego obozu szedł transport. Przy segregowaniu więźniów brano pod uwagę wiek i siły fizyczne. Obozom zależało, aby nie nabierać inwalidów. Tych ostatnich wysyłano do specjalnych obozów o lżejszej pracy położonych w możliwych warunkach klimatycznych. Zdrowi szli przeważnie na daleką północ. Tam obozów jest najwięcej, względnie rozporządzano skazańcami zgodnie z zapotrzebowaniem GUŁAGU (*Głównie Uprawnienie Łagieriej*) do innych bliższych obozów np. nad Wołgę.

Cela była zupełnie nieurządzona. Stały w niej jedynie gołe pryzce, na których osadzeni spali jeden przy drugim. Każdy używał jako pościeli swego ubrania i rzeczy. Karmiono bardzo źle. Otrzymywałem te same zmniejszone racje wojenne, które już znałem z Lefortów i z celi śmierci: 400 gramów chleba na dobę, na obiad rzadka zupa, na wieczór zmniejszona porcja kaszy. Cukru do herbaty nie dawano, sklep więzienny wobec wojny także nie sprzedawał produktów żywnościowych.

Cela stanowiła ogromną mieszaninę ludzką. Zwartą grupę stanowiło dziesięciu Polaków. Była wcale liczna grupa Żydów, którzy mieli przeważnie sprawy o nadużycia finansowe i wyroki po parę lub kilka lat. Było dużo śmiertelników, to jest ułaskawionych od śmierci tak jak my. Byli to różnego rodzaju inteligenci rosyjscy, których ułaskawiono z wyrokami po 10 lub 15 lat. Byli i tacy, którzy dostali po prostu wyroki sądowe na roboty przymusowe 10 lub 15 lat. Sporo było takich, których cofnięto z obozów, celem przeprowadzenia pewnych dochodzeń. Byli i inni, którzy mieli nadzieję, sądzą że złudną, iż zostaną zwolnieni. Takie wypadki należą do bardzo rzadkich wyjątków.

Tu mogłem zebrać wiadomości wojenne i to od naocznych świadków, żołnierzy i oficerów, których za dezercję osadzono na 10 i więcej lat ciężkich robót. Okazało się, że walki toczą się pod Smoleńskiem, że linia Dniepru jest osiągnięta a częściowo przekroczone przez wojska niemieckie, że wojska niemieckie stoją na 100 km. od Kijowa i pod Odessą. Wiadomości te w całej rozciągłości potwierdzały moje przypuszczenia, dowiedziałem się dalej, że cały obszar Polski okupowanej przez bolszewików, został z kolei w kilka dni zajęty przez Niemców i że dopiero pierwszy poważny opór postawiła tzw. linia Stalina, a więc umocnienia wzdłuż Dniepru, że jednak i ta linia pod Smoleńskiem została przerwana. Do celi przychodzili żołnierze, którzy brali udział w tych walkach i mówili nawet o walkach pod Wiaźmą i Briahńskiem. Jasne było, że wszystkie plany ofensywne Sowietów zalały się i że położenie Sowietów jest poważne i należy się liczyć z zagrożeniem Moskwy. W celi nie wiedziałem, że rozmach ofensywy niemieckiej został zatrzymany, a sądząc z informacji wojskowych sowieckich, którzy brali udział w walkach pod Smoleńskiem, uważałem, że należy oczekiwać pod koniec sierpnia bezpośredniego ataku na Moskwę. Ciągłe zresztą nocne naloty na Moskwę wskazywały, że atak taki jest planowany. Miałem w związku z tym nadzieję, że może nie uda się bolszewikom wyśłać mnie do obozu i że dzięki temu znajdę się na wolności.

Spotkani Polacy, pierwsi których w ogóle widziałem od więzienia ze Lwowa, byli aresztowani w różnych okresach czasu, niektórzy o cały rok później ode mnie. Był tam ksiądz-jezuita, Walczak, ze Lwowa. Jeden oficer, późniejszy kierownik Związku Walki Zbrojnej we Lwowie. Pozostali byli aresztowani na Wileńszczyźnie lub w Kownie. Prystor, którego aresztowano w Kownie po zajęciu miasta przez bolszewików, trzymał się dobrze, był tylko straszliwie wychudzony i wskutek tego zmieniony i jego choroba serca nie dokuczała mu. Stary katorżanin, opowiadał nam swoje przeżycia z katorgi carskiej, w której siedział 4 lata. Obecnie mimo swego wieku, znosił dobrze ciężkie warunki. Od moich towarzyszy wiele dowiedziałem się o tym co się działo w Polsce, zarówno pod okupacją niemiecką jak i sowiecką. Wiadomości z kraju były ponure. Mówiły jednak o zdecydowanym oporze ludności przeciw okupantom i mocnej wierze w przyszłość Polski i ostateczne zwycięstwo prawa i sprawiedliwości.

Rosjanie, stanowiący przytłaczającą większość w celi, opowiadali wiele o Rosji i jej porządkach. To co mówili było dziwną mieszaniną imperializmu rosyjskiego z doktryną komununistyczną. Ta mieszanina stanowi zresztą istotę politycznego myślenia w Związku Sowieckim. Nastawienie antyniemieckie, pomimo ciężkich warunków sowieckich i wyroków po 10 i 15 lat, które moi rozmówcy otrzymali, było powszechne i najzupełniej szczerze. Wierzone w ostateczne powodzenie oręża sowieckiego i klęskę hitleryzmu. Spodziewano się, że zwycięstwo położy kres polityce gwałtów, stosowanych w polityce wewnętrznej Związku sowiec-

kiego przez obecnych jego władców, że zostaną rozwiązane obozy pracy i wypróżnione więzienia i nadejdzie czas, na politykę wewnętrznego liberalizmu. Na zewnątrz zaś, rozpocznie się triumfalny pochód komunizmu na zachód Europy. W polityce wewnętrznej podkreślano przede wszystkim konieczność likwidacji obozów, domagano się większego poszanowania wartości indywidualnej i pracy jednostkowej, a nie partyjnej przynależności, oraz żądano większej swobody życia. Ci, co znali wieś, a takich było niewielu, podkreślali konieczność przejścia od kolchozów do indywidualnego gospodarstwa chłopskiego. Zgodnie mówiono o reformach potrzebnych i koniecznych, ale nie o zmianie systemu, z którym się w zasadzie wszyscy godzili i uznawali osiągnięte przez komunizm w Rosji pozytywne wyniki. Był to więc ciągle ten sam pogląd, który przez cały czas mego siedzenia w więzieniu spotykałem u wszystkich moich towarzyszy — zasadniczej zgody z ustrojem sowieckim, z tym tylko, że żądano bardziej lub mniej głęboko sięgających reform. Klęski wojennej Związku sowieckiego, pomimo bardzo alarmujących wiadomości z frontu, nie oczekiwano i twarzą życzone sobie zwycięstwa oręża sowieckiego i to nawet tak dalece, że wielu gotowych było walczyć z bronią w ręku w obronie Sowietów. Oczekiwano, że obozy będą powołane do służby wojskowej. Reformy nastąpią oczywiście po wojnie, a bezpośrednim celem walki jest rozszerzenie idei komunistycznej na Europę zachodnią, a więc utworzenie sowieckiej Polski, sowieckich Niemiec i sowietyzacji innych krajów Europy.

(D. c. n.)

Leon KOZŁOWSKI

PREUVES

publie, sous la direction de F. Bondy,
dans son numéro de décembre

Raymond ARON : Une révolution antitotalitaire; Salvator de MADARIAGA : Pio Baroja; Gaétan PICON : Formes sociales et création artistique; Italo CALVINO : La farce de Maître Togliatti.

Pourquoi je suis Européen (suite de l'enquête)

Chroniques de : Denis de ROUGEMONT, Léo VALIANI, Thomas SCHREIBER, Mario MAURIN, Gilbert SIGAUX, Rémy ROURE, Armand GUIBERT, Pierre COURTHION.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8^e)

Le numéro de 112 pages ill. : 200 fr. C.C.P. Paris 178-00.

SENSACJA TECHNIKI I OPŁACALNOŚCI !

TYLKO

Auto-knitter

66 dol.

wraz

nowoczesny suwakowy aparat dziewiarski, który
może dać utrzymanie całej rodzinie w Polsce.

z przesyłką



SŁUŻY DO PRODUKCJI WSZELKICH WYROBÓW
TRYKOTARSKICH OD SKARPET DO KOSTIUMÓW
DAMSKICH WŁĄCZNIE. 10.000 OCZEK NA MINUTĘ !
LICZNIK DO LICZENIA OCZEK DODATKOWO \$6.00.

Tylko przez
firmę

TAZAB

22 Roland Gardens,
London S.W. 7, England

albo : 36 Third Ave, New York 3, N.Y., tel.: ALgonquin 4-4161.

Dobry prezent gwiazdkowy dla każdego
DOSKONAŁY PREZENT DLA PRZYJACIÓŁ
W KRAJU

JANUSZA JESIEŃCZYKA

SŁOWO O BITWIE

powieść bardzo poszukiwana i wielokrotnie recenzowana
w Polsce, książka, w której Polacy w Kraju znajdują to,
czego się pragną dowiedzieć o żołnierzu polskim
na Zachodzie.

Piękny druk, doskonała oprawa.

Cena za egz. w płótnie 21/— (lub \$, 3,00),
brošzur. 17/6 (\$ 2,50)

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
POLSKICH

Skład główny :

GRYF PUBLICATIONS,
171 Battersea Church Rd., London S.W.11

Kronika kulturalna

Rzecz o polszczyźnie

Można się zastanawiać do jak szerokich warstw czytelników trafia popularyzacja w takich dziedzinach jak fizyka czy matematyka (oczywiście nie zaliczam do naukowej popularyzacji tak zwanej *science-fiction*). Jest wszakże jedna dziedzina, która interesuje wszystkich, bo dotyczy bezpośrednio każdego, to dziedzina języka. Będąc w wojsku w czasie wojny przekonałem się, że nie tylko mniej lub więcej wykształceni inteligenci, ale i ludzie bez wykształcenia gotowi są dyskutować na tematy językowe i to nie tylko o tym, jak *należy* mówić (tolerancja contra puryzm), ale też i o pochodzeniu słów a nawet języka.

Większe zainteresowanie językiem niż na przykład fizyką wynika już choćby z tego, że każdy z nas — uczony czy analfabeta — ma do języka stosunek osobisty, „włada” nim, by użyć utartego zwrotu, któremu nie brak w tym wypadku głębszego znaczenia. Toteż popularyzacja w tej dziedzinie jest o tyle wdzięczniejsza i dostępniejsza dla czytelnika, że wychodzi się od rzeczy znanych i obchodzących każdego.

Tego rodzaju książki są u nas jednak niestety raczej rzadkie, należy więc powitać z radością ukazanie się „Rzeczy o polszczyźnie” Stanisława Westfala (1). Czytelnik pragnący dowiedzieć się czegoś o historii swego języka czy też zwykły amator ciekawostek etymologicznych (z których każda rzuca snop światła na historię słowa a stąd i języka) znajdzie w książce St. Westfala prawdziwą kopalnię. Ograniczmy się, z braku miejsca, do kilku przykładów : z książki dowie się, że *ksiądz* (słowo pochodzenia germańskiego, skąd też niemieckie *König*) oznaczał „władcę” i że *ksiądz* Bolesław (w r. 1259) był tylko księciem. *Książę* jest zresztą zdrobniłą formą od *ksiądz*, stąd dawny rodzaj nijaki (to

(1) Stanisław Westfal, *Rzecz o polszczyźnie*, gawęda o języku polskim Londyn, „Veritas” 1956, str. 195.

książę, tego księżęcia, jak dziecię, dziecięcia). Swoje dzisiejsze znaczenie zawdzięcza *ksiądz* częściowo średniowiecznej łacinie: z szacunku dla duchownych poprzedzano ich imię słowem *dominus*, skąd do dziś używany tytuł kościelny Benedyktynów *Dom.* To nam też tłumaczy dlaczego po francusku na przykład albo po niemiecku możemy mówić *Herr Pfarrer*, *Monsieur l'Abbé*, a polsku nie mówimy *pan ksiądz* ani *pan proboszcz*, mimo że mówimy *Pan Bóg*. *Księżyc* z kolei to syn władcy, a więc zapewne mitologiczna nazwa jako „syn słońca”, albo „mniejszy władca” w porównaniu ze słońcem.

Podobnie jak *ksiądz*, spadł społecznie *kmieć*, wywodzący się z łacińskiego *comes* „towarzysz, członek rady królewskiej” stąd francuskie *comte*. St. Westfal cytuje średniowieczne: „Adamie, ty Boży kmieciu, Ty siedzisz u Boga w wiecu” (tj. w radzie), co nie oznacza chłopskiego pochodzenia Adama, lecz wręcz odwrotnie osiągnięcie wysokiej godności „członka rady władcy” w tym wypadku władcy wszechświata. Potem słowo zaczęło oznaczać starszyznę wiejską, więc członków rady gminnej, potem zamożnych chłopów (tak po ukraińsku), z których składała się zazwyczaj rada, aż wreszcie stało się pogardliwe (*kmiołek*) i archaiczne. Ta pogarda jest zwykłym losem słów oznaczających chłopów w „pańskiej” cywilizacji: *gbur* to też „bogaty chłop” (niemieckie *Gebauer*), francuskie *villain*, angielskie *villain* oznaczało też dawniej chłopów.

Bardzo ładna jest stronica poświęcona pacierzowi, przez czeskie z łacińskiego *Pater (noster)*. Nie tylko *pacierz*, który odmawiamy, ale też i *pacierze* klepane na różańcu, a stąd *pacierki* — kulki różańca i stos *pacierzowy*, przypominając jakoby różaniec (ale dlaczego *krzyże*?). A wreszcie *kilka pacierzy* — miara czasu, poza polskim nieznaną.

Kościół nie ma nic wspólnego z *kości*, jak to tłumaczono w XIX wieku, tylko wywodzi się, poprzez czeskie *kostel* i zapewne przez staroniemieckie *Kastel*, z łacińskiego *castellum* — zameczek. Kościoły romańskie i przedromańskie miały przeważnie charakter obronny, a może dlatego — jak pisze Westfal — że pierwsze kościoły znajdowały się w zamkach i grodach. Tutaj też należy *cmentarz*, który wbrew Słowackiemu nie jest *smętarzem* od *smętku*, ale wywodzi się również ze średniowiecznej łaciny *cimiterium* (greckie *koimeterion*, miejsce spokoju tj. spoczynku, porównaj niemieckie *Ruhestätte*, *Friedhof* — dwór czy dziedziniec pokoju). Tak więc *cmentarz* pochodzi od tego samego słowa co angielskie *cemetery*, francuskie *cimetière* (starofrancuski znał nawet słowo *cimentire*).

Te ciekawostki, zebrane razem w rozdziale *Roma Aeterna*, dają obraz wpływu łaciny na język polski, oczywiście obraz nieźmiernie zwięzły (10 stron), bo sama tylko terminologia chrześcijańska jest ogromna: zarówno tak swojsko brzmiące *msza*, *ołtarz*, *krzyż*, *chrzest*, *biskup*, *papież*, jak i bardziej oczywiście zapożyczone *zakrystia*, *rekolekcje*, *konfesjonał*, *stula*, *kanonik*, *rezurekcja* itd. itd., czy wreszcie przełożone z łaciny, jak *czyścić*

(*Purgatorium*), *Boże Ciało*, *Wniebowstąpienie* itd. Ale łacina ma też wpływ szerszy, na tworzenie naszej kultury i języka i to zarówno średniowieczna (która — nie należy o tym zapominać — jest naszym pierwszym językiem literackim) jak i klasyczna łacina humanistów. Ze średniowiecznej mamy, oprócz terminologii religijnej, takie słowa jak *magnat*, *kronika*, *inkaust*, z łaciny XVI-XVII wieku masę słów dziś niezbędnych stanowiących w dużej mierze „nadbudowę” intelektualną języka i odróżniającą go od innych języków słowiańskich, a zwłaszcza od języków Słowian prawosławnych, którzy tę terminologię wzięli z greki bądź wprost bądź w tłumaczeniu cyrylo-metodyjskim. Słowa podstawowe, konkretne jak *woda*, *ziemia*, *słońce*, są z małymi wyjątkami te same we wszystkich językach słowiańskich, chłopci słowiańscy mogą się od biedy ze sobą dogadać, intelektualści nie. (W językach romańskich jest akurat na odwrót, terminologia intelektualna włoska, hiszpańska i francuska jest niemal identyczna, bo zapożyczona z łaciny, a słownictwo wiejskie, zwłaszcza dotyczące techniki rolnej, zupełnie różne. A trzeba już być specjalistą, by wiedzieć, że *eau* i *acqua* pochodzą od tego samego słowa).

Wpływ łaciny nie ogranicza się u nas do zapożyczonych słów. Mamy też wiele słów przełożonych z łaciny jak np. cytowane powyżej nazwy świąt. Można więc tu mówić o zapożyczaniu pojęć. Zwięźlą historię jednego z nich, *ojczyzna*, daje Westfal. Jeszcze w XVI w. *ojczyzna* oznaczała „ojcowiznę” i nie kto inny jak Górnicki, arbiter pięknej polszczyzny, pisał: „moim zdaniem lepiej uczyni, kto mówiąc o Polsce, rzecze *patria* moja”. Ale jeżeli *ojczyzna* zrobiła karierę w dzisiejszym znaczeniu, to dlatego że tłumaczy dosłownie *patria*, pochodząc od *ojciec* tak jak ta od *pater*. (W XVI w. był nawet *ojczyc* tłumaczący *patriotę*).

Jedną z ciekawych dziedzin językoznawstwa jest studium sufiksów, Westfal ma do nich zrozumiałą pasję. W rozdziałku *Senatus populusque Romanus* zebrał całą serię sufiksów łacińskich, które zadamowały się u nas, ze znaczeniem niemal zawsze ujemnym (zapewne powstały początkowo w kołach uczniów bądź to Uniwersytetu bądź kolegów zakonnych). A więc sufiks *-us*: *chicivus*, *chytrus*, *nervus*, *slugus*, *pijus*, *wycierus* i wiele innych (pozytywne są tylko *calus*, *wiarus* i *morus*). Odmianą tego sufiksu powstała na naszym gruncie (zapewne w związku z „lepszą” wymową *sz* w porównaniu z „chłopskim” *s*) jest *-usz* np. *Mateusz*, *Juliusz*. Stąd *chudeusz* i *slabeusz*. Na wzór *Horacjusza* mamy *kuracjusza* i *utracjusza*. Na wzór *demokracji* i *operacji* mamy *rabację*, *tromtadrację* i *kurację*. A wreszcie na wzór *fizyki*, *polityki* i *muzyki* mamy *pijatykę*, *hulatykę* i *bijatykę* (akcentowaną nieraz z łacińska, podobnie jak wiele osób akcentuje *Améryka* i *muzyka* na trzeciej od końca). A na koniec *domator*, domowego chowu latynizm.

Mimo pewnego pesymizmu Westfala (str. 104) łacina ciągle jeszcze jest dla nas źródłem, do którego się odwołujemy zapożyczając nowe słowa zachodnio-europejskie. Nie razi bynajmniej naszego poczucia językowego słowo *kolaboracja* a nawet *kola-*

borant (choć Francuzi mówią o *kolaboratorach*), tak samo *koegzystencja* czy *egzystencjalizm*. Zapożyczając słowa naukowe czy nawet techniczne nadajemy im niemal machinalnie formę łacińską (np. *traktor*). *Demokratyzacja* i *plenum* (choć pochodzą z rosyjskiego) też nie rażą, bo są łacińskie. A wreszcie słowo też XX-wieczne: *Polonia* (ani Francuzom ani Niemcom nie przyszłoby do głowy nazwać ich emigrację *Gallia* lub *Germania*).

Obok łaciny język polski uformował się pod wpływem dwu innych: niemieckiego i czeskiego, przez który zapożyczył większość średniowiecznych terminów kościelnych, a także cały szereg słów intelektualnych. Czeski, jak to widać jeszcze z Górnickiego, był dla Polaków językiem kulturalnym *par excellence*, a aż do XVI w. językiem modnym. Według pociągającej hipotezy R. Jakobsona, w wiekach XI-XIV w ogóle nie uważano za potrzebne pisać po polsku, posługiwano się tekstami czeskimi wymawiając je z polską. Stąd też tak po polsku brzmiące słowa jak *Bogurodzica*, *męczennik*, *hańba*, *hojny*, *obywatel* (po polsku byłoby *obywaciel*), *blogostawieć* (pochodzące zresztą ostatecznie z greckiego *eulogein*, porównaj łacińskie *benedicere*), a także *bierzmować* (z łacińskiego *firmare* przez niemiecki) itd. Tak samo czeską formę mają nasze imiona świętych jak np. *Wacław* (ale *Wojciech* ma formę polską), *Władysław* (po polsku było *Włodzisław*), staropolskie *Jędrzych* (z *Jindrich* — *Heinrich*, stąd też nazwisko *Jędrzychowski*).

Jeszcze silniejszy jest wpływ niemiecki, a nawet w pewnym sensie starszy, jako że cały szereg słów słowiańskich da się wywieść bądź to z tzw. języka pragermańskiego bądź z języka Gotów, którzy zapewne panowali nad Słowianami między III a V w. po Nar. Chr. Od Gotów pochodzi na pewno tak zasadnicze słowo jak *chleb* (gockie *hlaifs*, porównaj angielskie *loaf* ze staroangielskiego *hlaf*). Także *kupować* z gockiego *kaupon* (niemieckie *kaufen*). Także *miecz* i *lekarz*, co do których są jednak wątpliwości (także fonetyczne, jeżeli *miecz* pochodzi od *mekeis*, to od *lekeis* powinno być *lec*). Są też inne zastrzeżenia, ale w każdym razie słowa te zapożyczyli Słowianie z jakiegoś języka germańskiego. Najciekawszym jednak zapożyczeniem gockim jest sufix *-arz*, którego używamy w takich słowach jak *tokarz*, *stolarz*, *kreślarz*.

Ale oczywiście gros zapożyczeń wzięliśmy z niemieckiego. „Nie tylko łaciny wybornej in copia zażywają do ojczystego języka Polacy, ale też niemieckiego, częścią dla niedostatku słów polskich, częścią dla sąsiedzkiej przyjaźni i bliskości, częścią dla commercia” pisał cytowany przez Westfala ks. B. Chmielowski w r. 1756. Ale wpływ niemiecki datuje się już od pierwszych wieków chrześcijaństwa w Polsce, jako że pierwsi księża i mnisi, zwłaszcza po odnowieniu Kościoła przez Kazimierza Odnowiciela, byli przeważnie Niemcami. Łaciny nauczyli nas Niemcy (toteż do dziś wymawiamy ją z niemiecka), pierwsze słowa łacińskie, wspomniane wyżej, zapożyczyliśmy więc od nich. Nasz zachodni sąsiad był dla nas głównym pośrednikiem w kontakcie z kulturą

i to nie tylko w XII w., ale i w XIX (choćby w tak odległych od siebie dziedzinach jak terminologia uniwersytecka np. *docent* i techniczna np. *szyna*, *śruba*, *śrubsztak*, *sztolnia* itd). Wpływ niemiecki jest przemożny od czasów Średniowiecza we wszystkich dziedzinach kultury materialnej. Przecież nawet miast w Polsce nie było, zanim ich nie przyniosła kolonizacja niemiecka XIII-XIV w., jak to słusznie przypomina Westfal. Warto przypomnieć, bo ostatnio niechętnie się o tym wspomina. Toteż sama nazwa *miasto* (oznaczająca dawniej miejsce) jest również przełożona z niemieckiego *Stadt* (por. *Stätte*) a w mieście niemieckie są *ratusz* (a na ratuszu *burmistrz*, a pośrednio *rajcowie* od niemieckiego *rada* — *Rat*), *rynek* (*Ring*) i *plac* (*Platz*, też ostatecznie łacińskie *platea*, francuskie *place*). Niemcy przynieśli również nazwę *cegły* (też ostatecznie z łacińskiego *tegula*) i *dachu* (niem. *Dach*). Polski jest jedynym językiem słowiańskim, który nie ma rodzimego słowa na dach, ale wbrew purystom nikomu to jakoś nie szkodzi. Należy ten fakt tłumaczyć zapewne popularnością niemieckich dachów krytych *dachówką* i przewagą ich nad staropolską strzechą. Stare nazwy strzechy, franc. *chaumière*, angielskie *thatch* (ta sama etymologia co *dach*) wychodzą z użycia, gdy strzechę zastępuje dachówka. W domu niemiecki jest *komin* (ostatecznie z romańskiego, porównaj włoskie *camino*), *szyba* i *ganek*, a więc znowu słowa dotyczące wpływu kulturalnego. *Gmach* też jest niemiecki, oznaczał dawniej też „pokój”, stąd też i my nazywamy *pokojem* dawną izbę (jest to tak zwana kalka językowa). Jednakże izba — dawna istuba — wbrew Westfalowi nie jest chyba pochodzenia niemieckiego (*Stube*), a raczej romańskiego jak świadczy o tym początkowe *i*. Porównaj włoskie *stufa*, *in istufa* (piec, łaźnia), francuskie *étuve*.

Wyliczanie pożyczek z niemieckiego byłoby niemożliwe, jest ich tak wiele. Westfal wybrał też tylko kilka ciekawszych, jak brzmiące z polską *dzięki*, *dziękować* (stąd *wdzięk*, *wdzięczny*), *mistrz* i *majster* (ostatecznie z łacińskiego *magister*). Można by dodać *capstrzyk* — *Zapfenstreich*. Ładny rozdział poświęca autor słowu *zegar* (średnioniemieckie *Seiger*), niemiecki jest więc i *segar mistrz*, także *cechmistrz*, no i sam *cech*, tak jak i nazwy rzemieślników miejskich: *ślusarz*, *kuśnierz*, *rymarz*, *stelmach*, także *kramarz*. Tłumaczone z niemieckiego są *piekarz* (*Bäcker* od *backen*) i *stolarz* (*Tischler*), a także takie nowoczesne terminy jak *dworzec kolejowy* (*Bahnhof*) i *listonosz* (*Briefträger*).

Ciekawy rozdział poświęca Westfal „Zawrotnej karierze Madgeburzanina Weta”: *Wette* oznaczało w średniowiecznej niemieczyźnie sumę, którą sędzia pobierał przy zakończeniu procesu. Stąd wkrótce w polskim sens „zakończenie”, a stąd i zakończenie obiadu, *deser* (na *wety*). Westfal daje cytate z Kochanowskiego, która ilustruje znakomicie przejście znaczenia z „na zakończenie” do dzisiejszego *na wet*:

*Słusznie my Boga zawędy naprzód wspominamy,
Naprzód i nawet, bo stąd wszystko dobre mamy.*

Inne pochodne tego „magdeburzanina”, to *powetować* (odzyskać zapłaconą sędziemu sumę, może kosztem kogoś innego), *odwet* i wreszcie *wet za wet*.

Z niemieckiego zapożyliśmy też sufiksy, dowód bliskiego współzycia z tym językiem. Poczynając od zapożyczonych niemieckich słów na *-ung* jak *trunek*, *frasunek*, *kierunek*, utworzono już od polskich tematów przy pomocy sufiksu *-unek* takie słowa jak *opatrunek*, *poczęstunek*, a nawet *pocatunek*.

Francji poświęcony jest doskonały rozdziałek, traktujący głównie o modzie francuszczyzny i pokazujący jak słowa francuskie zapożyczane są w znaczeniu znacznie węższym od pierwotnego (np. *afery*, *pasjans*, *deseń* po francusku znaczą po prostu „sprawa”, „cierpliwość” i „rysunek”).

Mimo iż rozdziałek poświęcony Włochom zatytułowany jest „Włoszczyzna”, to autor nie wykorzystał tego, by wspomnieć właśnie „włoszczyznę” tj. jarzyny, które zapożyliśmy wraz z nazwą z Włoch, jak *kalafiory*, *pomidory* i *kalarepę* (także *kartofle* choć przez Niemcy, ale ostatecznie z Włoch, jeszcze w XVIII wieku pisano u nas *tartofle*, z włoskiego *tartufo*, *tartufole*).

Może za zwięzłe są rozdziałki poświęcone Rumunii i Węgrom. Cytując *bryndzę* i *żętycę* nie wspomniał autor o dwu słowach, którym „z wieku i z urzędu” to się należało, choćby dlatego, że nie są ograniczone do Tatr i do kultury pasterskiej, ale znane są wszędzie: *cap* (już w XV w. znany w Krakowie jako *hircus Valachorum*) oraz *maczuga* (rumuńskie *maciuga*, franc. *massue*). Z rumuńskiego pochodzi też *koszara* „zagroda dla owiec”, a z niej — nie bez wpływu niemieckiego *Kaserne* — dzisiejsze *koszary*.

Westfal jest specjalistą od litewskiego, temu zawdzięczamy doskonały rozdziałek o litewskich nazwach *tęczy*, będący właściwie zupełną dygresją poza ramy tematu, jak również bardziej szczegółowy charakter rozdziałku traktującego o zapożyczeniach z litewskiego, gdzie wzmiankowane są nawet słowa litewskie w polszczyźnie używanej na terytoriach językowo niepolskich jak np. Kowieńskie. Gdyby analogicznie zechcieć wymienić słowa rumuńskie i węgierskie w polskich gwarach karpackich, a więc na terytorium językowo polskim, to by się znalazło chyba z kilkadziesiąt (*watrac*, *gazda*, *baca*, *juhas*, by wspomnieć tylko słowa znane językowi literackiemu). Ale ostatecznie każdy ma swoje predylekcje — Westfala więcej ciągnie północ niż południe trudno mu to mieć za złe, skoro dzięki temu otrzymaliśmy dwa ciekawe rozdziałki.

Poświęciłem nieco więcej miejsca zapożyczeniom, jako że trafiają one łatwiej do czytelnika, no i że niesposób omawiać szczegółowo całe bogactwo książki Westfala. Ale nie lekceważy on bynajmniej słów rodzimych. I tak, zgodnie z przyjętą przez siebie zasadą popularyzacji „uczyć bawiąc”, daje nam szereg etymologii „lekkich”: *drwiny* (pochodzące od *drew* w znaczeniu „byle co”), *duby smalone* (z ukraińskiego *dub* „dąb”), *kiep*

i *kpiny* (*kiep* — „*pudendum muliebre*” podobnie jak *huncwot* z *Hundsfoth* = to samo plus pies), *bzdury* (to samo co *bzdiny*), a wreszcie *banialuki*, które zaczęły wcale wysoko jako *Historija ucieszna o zaciej królownie Banialuce* H. Morsztyna w r. 1650 i dopiero z biegiem czasu, gdy przestano cenić ucieszne historie, zdewaluowały się do dzisiejszego znaczenia.

Szczególnie zainteresują czytelnika-niespecjalistę takie rozdziałki jak „Polskie a słowiańskie słowo”, gdzie porównane jest na przykład znaczenie polskiego *tęcza* z ogólnosłowiańskim *tucza* „burza, chmura”; albo rosyjskie *perst* (*palec*) znane i u innych Słowian, a zachowane u nas tylko w słowach *pięścień* i *naparstek*. Równie ciekawy jest rozdziałek o nazwach miesięcy zarówno obecnych jak staropolskich, albo o — już nie starosłowiańskich a nowszych — nazwach zapalki w różnych językach słowiańskich.

Jednakże Westfal nie unika i bardziej skomplikowanych dla laika problemów morfologii czy nawet fonetyki historycznej, jak np. liczba podwójna lub aoryst. Stare formy budzą w nim prawdziwy zachwyt, tak na przykład cytując zdanie z jakiejś bajki w gwarze podwarszawskiej: „chodź, bracie, to wa go wypandziewa” (to my go wypędzimy), wykrzykuje z zapalem: „Wa! naprawdę powiedział wa”. Tego rodzaju pasja autora do przedmiotu zachęca do niego również czytelnika i sprawia, że językoznawstwo nie wydaje mu się bynajmniej — wbrew chętnie powtarzanemu (i niefortunnie cytowanemu na obwołucie) banałowi — „sztuką suchą jak Sahara”, a przeciwnie, że ukazuje mu się, tak jak jest w istocie, jako najbardziej żywa z nauk, do której każdy, kto mówi danym językiem, mieć może stosunek osobisty i bezpośredni.

Jednakże ten właśnie tekst na obwołucie, za który nie należy zapewne winić autora, nasuwa pytanie, czy jednak i Westfal nie ma wątpliwości, zresztą niesłusznych, co do możliwości zainteresowania szerszych kół czytelników swym tematem. Chcąc ich przyciągnąć wybrał więc, jak pisze w przedmowie, pewien rodzaj „chwytów” literackich, a mianowicie żartobliwy sposób przedstawienia przedmiotu. Żartobliwe podanie faktów jest na miejscu przy żartobliwym temacie, toteż rozdziałek o drwinach itd., albo o francuszczyźnie udał się znakomicie (oczywiście Westfal musiał tu dokonać wyboru, można by też równie dobrze zrobić ze słów francuskich wybór na poważnie). Ale silenie się na żartobliwość, gdy się mówi o aorystach czy o liczbie podwójnej, robi wrażenie sztuczne, a autora zmusza do wyjaśniania w przedmowie, że np. aorysty w wypracowaniu Kazimierza W. są tylko żartem. Szczególnie rażą takie „żartobliwe” wyrażenia jak „po szwabsku” (str. 127) albo „murzyni-kocmołuchy” (str. 147), tym bardziej że autor nie jest zdaje się szowinistą ani rasistą i że na przykład poświęcił piękną stroniczkę wymordowanym w swoim czasie do ostatniego przez naszych książąt Jadźwingom. Chciałbym wierzyć, że te moje zastrzeżenia są tylko zrządzeniem specjalisty, który nie lubi, by jego przedmiot ściągano

z piedestału, a przecież książka napisana jest nie dla speców, tylko dla zwykłych śmiertelników. Ale pytając tu i ówdzie, co ci ostatni sądzą o książce Westfala, usłyszałem, i to od pewnej znajomej, która nie ma nawet matury, że książka jest „za figlarna”. Podobnie wyraziło się kilka innych osób, co prawda jedna z nich dorzuciła: „ale gdyby była poważniejsza, to nikt by jej nie czytał”. Mimo to wydaje mi się, że czytelnik, który już zabiera się do czytania książki o języku, strawi przedstawienie nieco poważniejsze, które nie koniecznie musi zaraz być „suche”. Najlepszą tego ilustracją jest książka Brücknera „Dzieje języka polskiego” traktująca o podobnej materii a napisana przystępnie i bardzo ciekawie. Albo choćby niedawny artykuł Westfala w „Kulturze” o współczesnej polszczyźnie krajowej. Ale ostatecznie, jak zawsze kwestie stylu, jest to rzecz tego, co kto woli.

Inne jeszcze zastrzeżenie dotyczyłoby układu książki; jest on następujący: część I. Na średniowiecznym progu. II. Tło dialektyczne. III. Wpływy obce. IV. Odrośl słowiańskiego pnia. Jest to więc układ nieco formalny, zarówno w tym, że rozpoczyna od średniowiecza, jak i na przykład w klasyfikacji wpływów obcych według grup genetycznych (a więc kolejno po sobie łacina, włoski, rumuński, francuski) zamiast jakiegoś układu uwzględniającego raczej geografii i kulturę (a więc najpierw np. łacina, niemiecki i czeski, potem włoski, francuski i angielski, potem rumuński i węgierski). Dla łatwiejszego wprowadzenia czytelnika było też chyba lepiej zostawić na koniec średniowiecze i wszelkie tematy natury morfologicznej, a zacząć od słów przede wszystkim obcych, jako bliższych czytelnikowi emigracyjnemu, a potem swoich.

Jeszcze inne zastrzeżenie metodologiczne, a więc mniej ważne dla czytelnika, dotyczy tzw. doktryny językowej. Westfal bardzo słusznie kpi sobie z purystów (proponuje między innymi zastąpienie słowa *lunatyk* *miesięcznikiem*, czym należy zastąpić *lunaticzkę* nie mówi). Ale chodzi mi raczej o spór, aktualny u nas w formie polemiki między Brücknerem a Nitschem, czy rozwój języka to tylko dzieło przypadku czy też, jak twierdzi Nitsch a z nim całe współczesne językoznawstwo europejskie, język podlega prawom i jest zwartym systemem. Westfal zdaje się wahać między obiema teoriami, bo choć pisze (str. 56), że „wszystkimi przemianami fonetycznymi rządzą... prawa dzierżące w swej nieubłaganej władzy język...”, to gdzie indziej podkreśla „konsekwencji szukaj w słowniku pod k, nie w życiu ani w języku”, lub nawet „sufiksy..., te hazardu są formą najwyższą” (str. 134). Tak więc, mimo iż nie żywi specjalnego nabożeństwa dla Brücknera, zdaje się przedstawiać jego teorię o zupełnej przypadkowości języka. Nie jest to kwestia czysto akademicka, bo odbija się w pewnej mierze na konstrukcji książki i na podaniu faktów. Tak przedstawienie tego, co zostało u Słowian z dawnego aorystu (str. 176-8) robi wrażenie zupełnej przypadkowości: u Chorwatów zostało to, u Łużyczan tamto, język

polski jest „znacznie archaiczniejszy, bo obok nowszych *chciałbym*, *chciałbyś*, *chcielibyśmy*, *chcieliby*, ma dawne *chciałby*, *chcielibyście*”. Nic dziwnego, że Westfal pisze, że „najdalej w deformacji dawnego aorystu poszli Słowianie wschodni”. Gdyby jednak pokazać, że nasze *chciałbym* itd. jest ściśle analogiczne do *chciałem*, to nie byłoby już przypadku, a system:

chciała	— m	by	— m
chciała	— ś	by	— ś
chciała (bez końcówki)	by (bez końcówki)		
chcieli	— śmy	by	— śmy
chcieli	— ście	by	— ście
chcieli (bez końcówki)	by (bez końcówki)		

I byłoby ciekawsze pokazać w jaki sposób, poczynawszy od dawnego aorystu, *uformował* się obecny system, tak samo jak we wschodniosłowiańskim nie należy mówić o „deformacji”, a raczej o re-formacji. Deformacja byłaby tylko wtedy, jeżeli rozwój języka jest czysto przypadkowy (ale wtedy i formy średniowieczne są „zdeformowane” w porównaniu ze starsłowiańskimi). W rzeczywistości ukraiński czy rosyjski tryb warunkowy jest ściśle analogiczny do polskiego: wszystkie osoby trybu oznajmującego zastąpiono trzecią (*ja buw, my były*) i tak samo wszystkie osoby trybu warunkowego przez bezkońcówkowe by (*ja buw by, my były by*).

Na zakończenie, skoro mowa o brakach książki, to choć nie jest pisana dla specjalistów, indeks by się może przydał. A wreszcie, na str. 184, przez jakieś dziwne przeoczenie Krasicki został autorem „Wojny Chocimskiej”.

Te wszystkie zastrzeżenia są właściwie *une querelle de spécialistes*, a nie dotyczą wartości książki dla normalnego czytelnika, który weźmie ją do ręki z przyjemnością i pożytkiem, by odkryć 1.000 nieoczekiwanych ciekawostek dotyczących własnego języka. Należy mieć nadzieję, że Westfal da nam teraz książkę o języku polskim nie starym już, a współczesnym, czego znakomitą zapowiedzią jest artykuł drukowany niedawno w „Kulturze”.

Andrzej VINCENZ

Nowość

TOM XXIII

Biblioteki " KULTURY "

PAWEŁ ZAREMBA

Historia Stanów Zjednoczonych

HISTORIA ST. ZJEDNOCZONYCH obejmuje ogółem 600 stron druku. Podzielona jest na sześć części i piętnaście rozdziałów, przy czym każda część posiada krótką syntezę omawianego w niej okresu historii Stanów Zjednoczonych, podkreślając znaczenie zjawisk społecznych i kulturalnych. Części noszą następujące tytuły: Rewolucja, Federacja, Dom Podzielony, Kontynent, Mocarstwo Światowe i Cywilizacja. Cennym uzupełnieniem pracy jest: pierwszy pełny i dosłowny przekład Konstytucji Stanów Zjednoczonych oraz wykazy synchronistyczne. Indeks rzeczowy ułatwia czytelnikowi orientację w bogatym materiale.

Cena frs 1.800 (35 sh., \$ 5,00).

Książki

O wyborze pism Rozanowa

„Jak można pisać w Polsce o religii, gdzie jest tylko arcybiskup Teodorowicz i Daszyński (1)!”

Ta warszawska „boutade” z lat dwudziestych emigranta Filosofowa jednego z założycieli Towarzystwa Religijno-filozoficznego w Rosji na początku tego wieku, przyjaciela, odkrywcy i oponenta Rozanowa może bardziej jeszcze pasuje do Polski dzisiejszej.

Wtedy był przecie prof. Zieliński, badacz religii antycznych — próbował wywodzić chrześcijaństwo prędzej z Grecji niż z Biblii, był Marian Zdziechowski — jeździł do Piusa X wybraniać jednego z przywódców modernizmu, swego przyjaciela na wpół suspendowanego księdza Labertonniera, jeździł do Jasnej Polany do Tolstoja, a na Sorbonie on, profesor Jegiellońskiego i Wileńskiego Uniwersytetu, wykladał o nurtach religijnych Rosji, o Sołowiowie i Chomiakowym.

Czy mamy dzisiaj w Polsce badaczy religijnych tej miary, piszących z jednakową co tamci absolutną swobodą i akustyką, jeżeli nie społeczeństwa, to choć akustyką wiernej garści czytelników? Dziś chyba częściej jeszcze dla przeciętnego czytelnika „Tygodnika Powszechnego” niż kiedyś dla czytelnika „Tygodnika Ilustrowanego”, a tym bardziej „Przeglądu Współczesnego” — religia to wyłącznie katolicyzm, a katolicyzm to w pierwszym rzędzie obrona polskości — gdy znowu dla przeciętnego czytelnika „Trybuny Ludu” czy nawet „Po Prostu” każda religia to ciemnogród i opium. Trzeba ją do czasu tolerować ze względów taktycznych czy nawet w imię rzetelnej woli

(1) Ortodoksyjny i ostro zabarwiony nacjonalizmem katolicyzm albo „religia — wsteczny zabobon czy histeria”: generalny pogląd pozytywistycznej lewicy na religię.

demokratyzacji komunizmu („naród jest katolicki”), ale na pewno nie dla religii jako takiej, będącej naturalnie bajeczką dla niezawsze grzecznych, ale na pewno głupich dzieci.

Wskutek tego o religijnej problematyce w jej najszerszym znaczeniu lepiej nie pisać. Po co wydłużać promienie jej działania. Ale, czy nie grozi Polsce niepisany układ, który by przypominał przez długie lata utrzymaną zgodę ateistycznych murrasistów z pewnym typem katolików, obrońców tronu i ładu, układ o którym z głębokim otrząsem pisał Brzozowski, bo widział w tym właśnie *saprzeczenie* religii.

Jest jeszcze jeden powód — poza zadziwiającą obojętnością w Polsce do bezinteresownego drażenia problemów religijnych (2) — który utrudnia pisanie o pisarzu rosyjskim, Rozanowie: niechęć poznawania, zgłębienia Rosji nie tylko w jej aktualnym i politycznym aspekcie, ale w ogóle. Na tym odcinku sytuacja chyba się tylko pogorszyła mimo takich pism jak „Przyjaźń” czy „Opinie”. Nie wątpię, że badanie Rosji *wolne* — jest dziś najeżone nieskończoną ilością trudności, które nie istniały nie tylko w latach niepodległości, ale nawet za czasów carskich. Czy jednak główną przeszkodą nie jest właśnie organiczna antyrosyjskość i głęboka do Rosji w ogóle niechęć?

Norwid miał odwagę w 1863 roku, a więc w roku Powstania, piętnować takie stanowisko:

„Tylko wolni ludzie, tylko ci co nie są od kolebki żelazem napiętnowani, jak niewolnicy wiedzą o tym, że granicząc z Rosją trzeba w niej mieć swoją partię — inaczej spotykają się zawsze dwa monolity, nic pośredniego nie mając — a skoro dwa monolity się zetną ze sobą, zostaje nicstwo i strząskanie się sił ostateczne. Moskwa mogła mieć swą partię w Polsce Republikańskiej... ale Polacy w Rosji nigdy się o to nie pokusili — sensu politycznego nie mieli, żeby stworzyć swoją partię z Rosją, z którą graniczyć po wieki muszą. Albowiem Polacy rachują raczej na (jak to mówią) poświęcenie krwi co lat piętnaście, na periodyczną rzeź niewiniątek, aż Bóg z obłoków wyjrzy...”

Hercen który w roku 1863 stanął po stronie Polaków, płacąc za to ciężko stratą wielu czytelników i wyznawców w Rosji, pisał w roku 1868 —

„nie ma narodu sąsiadującego z Rosją, który by znał mniej Rosję niż Polska. Na zachodzie najprościej nie znają Rosji, ale Polacy nie znają jej z premedytacją” (podkreślenie Hercena).

(2) Uderzało mnie zawsze jak ewolucja Stanisława Brzozowskiego — materialisty i socjalisty w młodości, który przez Bergsona, Blondela, a przede wszystkim przez kardynała Newmanna, w ostatnich latach życia zwrócił się do zagadnień religijnych i umarł jako katolik — była mało badana i nawet prędzej przemilczana wstydliwie przez wielu jego wyznawców.

Prof. Marian Zdziechowski opowiadał mi przed laty, że gdy jako młody człowiek napisał pierwszą książkę o literaturze rosyjskiej, o Puszkynie innych pisarzach, otrzymał długi i gwałtownie karcący go list od mego dziadka stryjcznego, Edwarda Czapskiego, Sybiraka. Ten znany w rodzinie jako pełen fantazji i nieszablonowej inteligencji starszy pan, nie mógł zrozumieć jak to dobry Polak może się taką książką shańbić. Nastroje w Polsce dzisiejszej przypominają tamtą, popowstaniową atmosferę. Jest to jak najbardziej zrozumiałe, ale cóż z tego, jeżeli to głęboko szkodliwe nie tylko politycznie, ale szkodliwe i błędne w znaczeniu najszerszym, humanitarnym. Nawet wspomnienie Kątynia, nawet wspomnienie Warszawy, nie powinny nam tego zasłonić.

Dzisiaj, w Polsce, ilość tłumaczeń z rosyjskiego niepomiernie wzrosła. Obok tłumaczeń literatury socrealistycznej, która poza bardzo nielicznymi wyjątkami przeminie z wiatrem, mamy tłumaczenia klasyków. Nie wiem w jakim stopniu niechęć do Rosji działa również na stosunek do wielkiej literatury rosyjskiej, czy ma ona, przy tak wzmószonym w ogóle czytelnictwie w Polsce, krag czytelników większy niż w latach przedwojennych gdzie tuwimowskie tłumaczenia Puszkina, Gogola były naprawdę tłumaczeniami kongenialnymi, gdzie ukazywały się wnikliwe studia o literaturze rosyjskiej uczonych tej klasy co prof. Lednicki, a tłumaczenia Dostojewskiego miały nie tylko entuzjastycznych czytelników, ale wpływ na młodych pisarzy polskich (vide Adolf Rudnicki).



Wydawnictwo Czechowa w Stanach Zjednoczonych, które niestety, po czterech latach działalności, przestało istnieć, wydało kilkadziesiąt tomów pisarzy rosyjskich: od poezji Tiutczewa i „Soborian” Leskowa (nie do dostania na emigracji, nie wiem czy i w Rosji, bo mieli obaj reputację reakcyjnych), od przedstawicieli nurtu religijno-filozoficznego XIX w., Sołowiewa, Chomiakowa, do pisarzy z Rosji Sowieckiej: rozstrzelanego w pierwszych latach rewolucji Gumilowa, nieugiętego Mandelsztama, Achmatową — raz prześladowaną, raz tolerowaną — i nawet tępiętego przez Zdanowa Zoszczenkę. Obok tego szereg tomów pisarzy emigracyjnych: od Mereżkowskiego, Bunina i Remizowa, największego dziś pisarza rosyjskiego, aż po Nabokowa, dziś znanego już pisarza angielskiego, Władimira Weidle, autora „Les Abeilles d'Aristée” (Gallimard) (3), jest także nowość: dławiąca, świetna książka Narokowa, który z Rosji Sowieckiej wydobyl się i potrafił, jak niewielu, przekazać w powieści aurę epoki stalinowskiej.

(3) Jedynej, znanej mi, książki, którą można porównać i do pewnego stopnia przeciwstawiać „Głosem milczenia” Malraux. Książka o równie ambitnym zamierzeniu i współmiernej szerokości horyzontów.

Wydawnictwo Czechowa powinno być szerzej omówione przez rzeczywistego znawcę literatury rosyjskiej. Jeżeli dziś o nim piszę to jedynie, by zwrócić uwagę na jedną pozycję tego wydawnictwa, bezcenną: wybór pism Rozanowa, opatrzonego wstępem J. Iwaska. Mamy w nim, między innymi: fragmenty z „Religii i kultury” (1899), z „W mire niejasnawo i nierzeszonawo” (1904), z „Tiomnowo lika” (1911), z „Ujedinionnoje” (1912), z „Apokalipsy naszych czasów” (1917-1918) i nawet, wśród jeszcze innych fragmentów, listy do Gollerbacha, wydane w 1922 w Berlinie, już po śmierci pisarza.

Wybór ten zrobiony jest z uwagą i inteligencją, ale, jak każdy wybór, choćby był najlepszy, nie może nie budzić żalu, że jest tylko wyborem. Człowiek zamyka książkę po przeczytaniu jej z dotkliwą świadomością, że dzieło Rozanowa musi być uratowane od zagłady, ale jak? Do wyboru trafiło parę tekstów, gdzie sam Rozanow zastanawia się na ewentualnym, pełnym wydaniem swych pism; „Pełne wydanie Rozanowa” żali się sam Rozanow, „to trzydzieści pięć tomów, a któż to zechce czytać; to nie tylko tysiące artykułów w gazetach, ale nawet adnotacje do cudzych artykułów”. Przy tym Rozanow sam stwierdza, że nieraz, właśnie w takich dopiskach, w marginesowych adnotacjach, odnośnikach, myśl jego najostrej docierała do istoty zagadnień.

J. Iwask grupuje szereg wypowiedzi pisarzy o Rozanowie: Mereżkowski, Błok, Bielyj, Zinaida Gippius nie wahają się nazwać go genialnym. Szestow, Berdiajew, Mandelsztam, czy Filosofow piszą o jego niezrównanym darze językowym; Czukowski porównuje go z Whitmanem, Renato Poggioli (Harvard) z Joycem, Adamowicz pisze o Rozanowie jak o „genialnym gadule” i wyznaje, że przez lata nie istniał dla niego inny pisarz, inny umysł, inny krąg myśli, nawet inny pozarozanowski styl. Ale może irlandzki poeta, Stephens, wypowiada o nim we wstępie do angielskiego tłumaczenia „Opawskich listji” słowa, które Rozanowowi byłyby najmiłsze: „Rozanow jest bliski każdemu Rosjaninowi i w ogóle każdemu człowiekowi. On jest roztargniony, wymęczony, śmieszny i nieprawdopodobny, jak każda ludzka istota”.

A przecież mimo wyliczonych o nim cech superlatywnych, jeżeli słowo „tragiczny” ma wydźwięk i sens pełny to gdy mowa o Rozanowie i jego śmierci podwójnej, śmierci fizycznej i jakby tej innej, w drugiej potędze, śmierci Rozanowa-pisarza. Jego przyjaciel Filosofow już w latach trzydziestych mówił mi, że może lepiej by go teraz nikt nie wydawał, bo nie ma takiego miejsca, gdzie by jego artykuły i eseje ukazały się, bez takich czy innych tendencyjnych skrótów, może lepiej przeczekać. Ale wcale nie wygląda by od tego czasu, w porównaniu do tamtej epoki, „aura była lepsza”. Nie tylko to, lata mijają, świadkowie, czytelnicy, wyznawcy, umierają. Ten pisarz przy tym był najbardziej odkrywczy, gdy dotykał spraw pozornie błahych,

ludzi o których dawno już wszyscy zapomnieli, wydarzeń, które znikły w piorunach i pożarach rosyjskiej rewolucji.

Nie tylko że sam umarł rozdarty między chrześcijaństwem a religiami antycznymi, trzepocący się w przeciwnościach do ostatniego tchu — umarł w klasztorze, przygarnęła go zagłodzonego, chorego, córka-zakonnica, która sobie po jego śmierci odebrała życie. Umarł wtedy, gdy cała jego Rosja rozpadła się. Zdawać by się mogło, że on przestał istnieć na zawsze jako pisarz ginąc w „apokalipsie naszych czasów”. Jego ostatnie dzieło właśnie tak się nazywało i jest mieszaniną genialnych przeciwstawień i syntez, proroczych przeczuć, obserwacji drobnych i odkrywczych, ciepłych, czujnych spojrzeń na człowieka. Jest w tej książce znów i znów poruszony temat całego jego życia (kosmogonia przeciw chrześcijaństwu, korzeń życia cielesny i płodny a chrześcijańskie wyrzeczenie), ze wszystkimi jego sprzecznościami i dywagacjami, z ostatnią przedśmiertną siłą akcentu wyśpiewany. Ale w „Apokalipsie” i „Listach do Gollerbacha” świadomość śmierci własnej i tego wszystkiego co kocha, wiąże się z tajemniczą i dla niego samego nową nadzieją zmartwychwstania.

„Nie wierz, nie wierz śmierci”.

Poza granicami Rosji w tłumaczeniu francuskim wyszła, już od dawna wyczerpana, „Apokalipsa naszych czasów” (*Feux Croisés*) i w tym samym tomie „Ujedinionnoje”. W Paryżu, już przed wojną, interesowali się nim np. Gide i Daniel Halévy i Drieu la Rochelle. W angielskim tłumaczeniu ukazują się „Opawskie listy”, oraz dwa tomy dalszego ciągu „Ujedinionnoje” — to wszystko. W Rosji nie można marzyć o wydaniu zbiorowym jego dzieł. Jeszcze w 1941 r., gdy byłem w Moskwie, Rozanow był najsurowiej zakazany i nawet specjaliści w bibliotekach nie mieli do niego dostępu. Na tym tle wybór jego pism, opatrzonego wstępem człowieka, który go najwidoczniej czuje i zna — jest dla literatury rosyjskiej wydarzeniem pierwszej wagi, próbą wskrzeszenia Rozanowa po tej śmierci drugiej.

Sam odkryłem Rozanowa dla siebie jeszcze w 1918 r. dzięki Mereżkowskiemu w Piotrogradzie, a intoksykację jego przeżywałem jeszcze w Krakowie. Parę lat potem pisałem mi inny jego przyjaciel: „Jakże mnie wzrusza, że ten ogarek zapalony przez dziwnego wariata nie zgaśł i naraz zatlił się u was, gdzieś na Krupniczej w Krakowie”.

Od blisko już trzydziestu lat próbowałem pisać o Rozanowie, pisarzu i człowieku, i dopiero w 1932 r. skończyłem duży esej złożony z kilkunastu rozdziałów, nie dałem go jednak do druku, marząc o przepracowaniu i pogłębieniu, zdawał mi się niegodnym dzieła samego Rozanowa. W Polsce któż go znał; najwyższy zachwyt dla niego żywił Tuwim, myślał o jego tłumaczeniu. Zresztą nie widzę człowieka, który mógłby się dziś pokusić o tłumaczenie Rozanowa na miarę Tuwima, to znaczy z tuwimowskim wyczuciem języka rosyjskiego i tak pokrewnym

Rozanowowi słowotwórczym, zmysłowym stosunkiem do słowa. Jeszcze Wacław Rogowicz rozczytywał się w Rozanowie i przygotowywał książkę, która miała nazywać się — o ile pamiętam — „Rewolucjonista w czapce Monomacha”. Czy to wypadek, że i ona się nie ukazała? Może świadczy to tylko, że i Rogowicz uważał tekst swój za wciąż niedostateczny, by tego dziwnego, tak wielopłaszczyznowego i wielobocznego pisarza odkryć w Polsce. Mój stary tekst otrzymałem w Paryżu, uratowany z jakiejś piwnicy spalonego domu w Warszawie, z paru brakującymi rozdziałami. Przepracowałem go na nowo, ale znów nie ukazał się nigdzie. W tłumaczeniu francuskim przyjął go Gallimard, ale kiedy go wydadzą nie mam pojęcia. Dziś, kiedy studium J. Iwaska ukazało się, sprawa ta jest o wiele mniej ważna.

Coraz to staram się zrozumieć dlaczego Rozanow jest do tego stopnia w Rosji Sowieckiej tępiony. Komunizmem zajmuje się bardzo mało, opinie jego na tematy społeczne są w ogóle pełne sprzeczności, nieraz właśnie na te tematy dywaguje; gdzieś porównać jego antykomunizm z „Biesami” Dostojewskiego? Ostrze jego krytyki jest nieskończenie częściej skierowane przeciw chrześcijaństwu, a komunizm widzi jeszcze jako skutek chrześcijaństwa.

Zdaje mi się, że Rozanow jest dla komunisty ortodoksyjnego okropny, przede wszystkim za jego uczulenie na sprawy religii. Pisać o niej słowami nowymi, z ogniem, tak wnikliwie, że wymagałoby to podjęcia na nowo polemiki już zdawałoby się teoretycznej przezwycięzonej (zabobon, histeria, opium, reakcja), to już lepiej całe dzieło Rozanowa zaprzepaścić, zniszczyć.

Gdy sam, coraz to do Rozanowa powracając, myślę jak nim zainteresować innych, staram się czytać go oczami ludzi „nieprzyzwyczajonych” i dopóki nie jestem porwany oddechem jego zdania, metaforą, tym co nazywa on inkrustacją stanów i przeżył sobie sprzecznych, prawie że się za niego wstydzę, tak drastycznie, inaczej, reaguje i pisze o wszystkim. Myśli? Sam twierdzi, że nigdy nie myślał naprawdę, a tylko śmiał się i płakał, że przekonania zmieniał jak rękawiczki, bo chodziło mu zawsze więcej o człowieka, który idee głosi, niż o samą ideę. Na każde twierdzenie Rozanowa można znaleźć tuż obok, w tej samej książce, twierdzenia i myśli diametralnie przeciwnie. Ten antychrześcijanin kochał Chrystusa, ten człowiek, któremu zawdzięczamy głębokie i entuzjastyczne studia o Żydach, o religii Starego Testamentu napisał parę stron obrzydliwie antysemitkich. Ale cóż się dziwić, jeżeli o Rosji moglibyśmy zebrać w jego pismach osady graniczące z gwałtownym paszkwilem, a obok wyznania miłości i wiary w nią żarliwej. Więc co to znaczy? Po co go drukować? Ileż razy, gdy opowiadałem o nim Polakom, widziałem już na twarzy mego rozmówcy uśmiech wyższości: „Jakże to typowo rosyjskie!” — ale przecie za każdym razem — niezależnie w jakim kierunku poniosło go wahadło uczuć — odkrywa on jakiś drobniutki akcent, delikatne nachylenie myśli, które poprowadzone, zaobserwowane do końca,

stwarza nowy aspekt niedopatrzony, niedosłyszany, nieodczuty. Docieramy do tego nowego widzenia nie przez rozumowanie, ale poprzez konfrontację jakby różnych motywów muzycznych. „W ciemnym obliczu” przedstawia świat modlitwy i klasztornego wyrzeczenia, błogosławieństwo łez i pociechy religijnej jedynie opisując twarze modlących się i twarze świętych na ikonach, ale tuż obok daje nam materialne, dotykalne uczucie ziemie, cielesnego i radosnego z nią związku, odczucie świata po-gańskiego, afirmującego ponad wszystko samo życie i korzeń tego życia — zmysły, nie żadną teorią, ale powtarzając pokrzyki chłopca na kudłatego konika, którym odwozi Rozanowa z dalekiego klasztoru. Rozanow pisze w innym miejscu, że chętnie „odgryzłby głowy” wszystkim Napoleonom, bo to są ludzie źli, niepotrzebni, któż może się nimi interesować poza zły mi ludźmi na jarmarku życia. On woli swoją służącą, która ciężko pracuje i rzadko się uśmiecha, stawia ją o całe niebo wyżej, bo na takich cichych, pracujących stworzeniach świat stoi; woła, że życie prywatne jest ważniejsze od wszelkich spraw społecznych i od wszelkich religii, że ważniejsze jest siedzenie w domu, patrzenie na zachodzące słońce i chociażby długi w nosie, niż jakakolwiek religia, bo słońce nie zginie, a religie będą mijać; zestawia ból po śmierci ukochanej istoty „inkrustując” tuż obok ból człowieka, który się zgrał w karty, za każdym razem *gorszy* świadomie, gorszy drastycznością zestawień i tą drogą dociera do sedna zagadnienia. Odkrywa *antynomiczność* pojęć, które przez brak uwagi, abstrakcyjność słownictwa, szeregujemy bezpiecznie, odbierając im ich muzykę, ich wewnętrzną, intymną temperaturę.

Kiedy Rozanow tkwi w latach obsesji, że chrześcijaństwo zabija życie, opisuje gałęzie drzew, bijące go po twarzy i wołające „Ratuj nas od Chrystusa”. Kiedy złamany śmiertelną chorobą ukochanej żony drży o swoją i jej nieśmiertelność i wieczność niezniszczalną swego dla niej uczucia, notuje jak cichy szum wentylatora w klinice zjeżdża mu włosy, jak aż przykuca do ziemi, myśląc, że ona tego wentylatora nigdy słyszeć nie będzie. I w Chrystusie, w jego religii, widzi ucieczkę i jedyną nadzieję.

Rozanow nie wierzy w idee, które omawiają mądrzy uczeni, moralisci, filozofowie, jako coś niezależnego od nich. „Tylko tam gdzie subiekt i obiekt są *jednoznacznie* znika nieprawda”. I stąd ta nie zrównana i tyłu ludzi gorsząca jedność przeżycia, zdolność konkretyzacji idei zawitych, wysokich, które jedynie językiem obiektywnym, wypranym z przeżyć i odruchów zmysłowych, próbowano dotykać.

Rozdarcie filozoficzne, religijne Rozanowa było nie wysystematyzowanym anarchizującym estety, ale faktem, który go w miarę lat coraz ostrzej drażył, miażdżył i ostatecznie zmiażdżył. Sam skarżył się, że nie wielu było ludzi, którzy równie głęboko odczuwali stany sprzeczne i że dane mu było tylko słowo, tylko dar wyrażenia, ale nie dar wyboru.

Może dziś, kiedy w dziedzinie literatury cenzura w Polsce jest luźniejsza, może w Polsce udałoby się myśl Rozanowa przekazać, uratować. I może nawet wykorzystać te książki Rozanowa, te jego teksty, które i w Rosji byłyby dziś już łatwiej dostępne niż w epoce stalinowskiej.

Rozanow gdzieś pisze, że pisarz szuka wyrazu dla swej myśli i nagle, jakby z boku, przychodzi mu na myśl, że te słowa mogą być zupełnie dla czytelnika niezrozumiałe, stara się jedno, drugie zamienić czytelniejszym, „i wtedy twój *jedyny* czytelnik odkłada twoją książkę i do niej już nie wraca”.

Może główną aktualnością Rozanowa w krajach gdzie panował, czy panuje, socrealizm jest dzisiaj właśnie to pisanie dla *jedynego* czytelnika, gdzie nie można znaleźć zdania bez muzyki, jednej abstrakcji nie wcielonej w obraz, w konkretny, zmysłowy i przeważnie najbardziej codzienny, na nowo zobaczony fakt. Tego pisarza, który nikomu dogodzić nie może, a każdego głuchego na formy swoiste i jedyne musi gorszyć, pisarza, który jest nie do przyjęcia w całości ani dla chrześcijanina, ani dla pozytywisty, ani dla komunisty — trzeba uratować od zagłady. Oby wstęp J. Iwaska i pięknie zrobiony przez niego wybór były pierwszym krokiem w tym kierunku.

Józef CZAPSKI

Na zasadzie martwej dozy

Druga wojna światowa była już tak dawno, że w „Antologii polskiej poezji podziemnej” jaka ukazała się w Warszawie (1) przepisy dobrej roboty historyka powinny, zdawałoby się, znaleźć zastosowanie. Jest to pierwsza książka przypominająca o drukach z okresu niemieckiej okupacji, dotychczas przechowywanych przez biblioteki w dziale prohibitów, żeby niewłaściwe wspomnienia nie demoralizowały obywateli. Do tych prohibitów sięgnął Jan Szczawiej i oto gruby tom (591 stron), z białoczerwoną flagą i kotwicą na okładce. Niestety tom ten służy celom

(1) Jan Szczawiej *Antologia polskiej poezji podziemnej (1939-1945)*. ZBOWiD, Biblioteka Ruchu Oporu, „Wspólna Sprawa” — Wydawnictwo Oświatowe, Warszawa 1957.

emocjonalno-dydaktycznym i może być ustawiony na półce razem z obfitą literaturą zgody narodowej i wszystko zacierającego patosu. W jakim stopniu odpowiedzialność za to ponosi redaktor a w jakim wymagania cenzury, trudno rozstrzygnąć.

Celem historyka musi być chyba zawsze odtworzenie sytuacji, chociaż oswoiliśmy się już z pracami, w których Rzymianie przemawiają językiem Engelsa a ludzie Renesansu dyskutują o teoriach Freuda. Żeby odtworzyć sytuację, należy zastanowić się w jakich tekstach się utrzymała. Co to jest „poezja podziemna”? Mogą to być albo wiersze i pieśni opublikowane w wydawnictwach podziemnych (nie koniecznie pisane pod okupacją, bo fakt ich druku świadczył o uznaniu ich przez zbiorowość za „swoje”), albo takie, które w okupowanym kraju powstały. Szczawiej oparł się na trzech dużych antologiach wydanych przez podziemie w Warszawie: „Pieśń Niepodległa”, „Duch Wolny w Pieśni” i „Słowo Prawdziwe”, korzystając również ze zbioru „Z Otchłani”, z małej antologii Narcyza Kwiatka (Stanisława Miłaszewskiego), ze lwowskiej antologii „Wierne Płomienie” i z dochowanych periodyków. Do tego dorzucił znaczną ilość utworów wziętych z rękopisów albo po prostu z tomików jakie ukazały się już po wojnie, stosując szczególne kryteria. To mu nie wystarczyło. „Grupa wierszy obozowych i partyzanckich, jak również wiersze poetów Dywizji Kościuszkowskiej nie były przeważnie nigdzie drukowane w prasie podziemnej. Mimo to ze względu na ich charakter nie można ich było nie włączyć do antologii”. Dobrze. Nie ma powodu, żeby pomijać to, co powstało w Kujbyszewie czy Saratowie. Tylko że wtedy „poezja podziemna” zamieni się w „poezję czasu wojny” w ogóle, a więc będzie musiała objąć znacznie szerszy zasięg, i tematyczny i terytorialny.

W latach 1939-1945 nie było Polski Ludowej. Zadziwiający dla młodszych czytelników w Polsce brak, ale nie było. W świadomości zbiorowej trwało inne państwo, z granicami na Olsie, Zbruczu i Dźwinie, podzielone mocą paktu Mołotow — Ribbentrop. Ten atlas przechowywany w wyobraźni był oczywiście powodem wielu konfliktów, które znalazły ujście również w słowie. Kiedy w Warszawie zakładano prasy konspiracyjne, we Lwowie, a później w Wilnie, rozwijała się poezja „Czerwonego Sztandaru”, „Nowych Widnokręgów” czy „Prawdy Wileńskiej”. W żadnej z głównych warszawskich antologii nie znajduje się autorów, którzy w strefie wschodniej przez parę lat opiewali szczęście znalezienia się w nowonabytej ojczyźnie, od Sanu do Władywostoku, przyjaźnie neutralnej wobec Niemiec. Stosowano do nich ostracyzm. Wyjątek robiono tylko dla Broniewskiego, ale ten jak wiadomo nie był na Wschodzie ortodoksyjny. Następnie, po zajęciu przez Niemców całego terytorium przedwojennej Polski, kto wie czy również nie ten ostracyzm przyczynił się do tak ściśle przestrzeganej linii podziału na publikacje nie-komunistyczne i komunistyczne. Nie orzekamy, czy to było złe czy dobre. Chcąc dać pełny obraz „poezji czasu woj-

ny" należałoby o wartościowaniu zapomnieć. Z jednej strony wypadłoby udzielić miejsca „mentalności warszawskiej”, z drugiej uwzględnić utwory ogłaszane za „granicą” i też należące niewątpliwie do historii polskiej literatury. Przypominając je teraz, nie kieruję się żadną emocją, jedynie chęcią zwrócenia uwagi na problemy, przed którymi nie będą mogli się uchylić badacze tego okresu. Widocznie wiersze te w jakiś sposób trapały, jeżeli przepisywano je na bibułkach i w tej formie odnajduje się je dzisiaj, poźółkłe, w różnych prywatnych kolekcjach.

PRAWDZIWA OJCZYŻNA

Dawno,
jeszcze byłem dzieckiem,
napisałem w szkolnym zeszytce,
na święto niepodległości:
„zamieniliśmy zabór niemiecki
na polski” — i siniał ze złości,
i grzmiał nauczyciel.

A potem
kiedy kłębek cenzury dławiał gardła,
kiedy policja w nocy budziła kolbami,
kiedy Czechosłowacji,
Litwie
pańska Polska wygrażała armatami,
i białowłosego prezydenta
wyroki śmierci pisał
na polskich komunistów,
i pod faszystów zaborem
proletariat oczekiwał krwi —
my
pełni dumy i wgardy,
my
pełni wściekłości i rozpacz
myśmy myśleli:
w naszej prawdziwej ojczyźnie —
inaczej —
w ojczyźnie,
gdzie sierp i młot.

Jak więc teraz mamy płakać po Warszawie?
Jak żałować kawiarzy, kościołów, zamku?
Kiedy dla nas
tamta Polska,
to Polska burżujów i drani,
oficerów, obszarników, policjantów.
Kiedy dla nas Warszawa,
to stolica krzywdy,
stolica terroru,
stolica bezprawia.

My o inną walczyliśmy Polskę,
inną w sercach kryli przed szpiclem,
dobrą — jak matki spojrzenie,
wolną — jak ptaków lot,
ojczyznę sprawiedliwą,
ojczyznę, w której czerwień,
i sierp,
i młot.

Elżbieta SZEMPLIŃSKA

(„Czerwony Sztandar”, Lwów, 13.12.1939)

STALIN

Którą poeci wyśpiewali
ojczyzna, co od Kamczatki,
po szynach pędzi aż po San,
którą, jak mleka pełny dzban
podają dzieciom czule matki
— to Stalin!

Którą wykuto stu kowali
w pieśni i w czasie i w przestrzeni,
w węglu i miedzi, w srebrze wód,
ojczyzna, której żaden knut
już swoim świstem nie ocieni
— to Stalin!

Wschód słońca, co się w piecach pali,
który zastyga w przesłach mostów,
co się zaciska w groźbie kul,
ojczyzno, jak jesienny ul,
w pożodze wojny, cichy ostrów,
— to Stalin!

I która lby ucina fali,
zapora, która rodzi iskrę,
motorów złota, ostra krew
i kłosów metaliczny śpiew,
i sadów rozśpiewane listki
— to Stalin!

I moja lira z nowej stali
i dumnie przemieniona muza,
obywateli jasny wzrok
i głos i oddech, myśl i krok
i wolność, która nas odurza
— to Stalin!

Stanisław Jerzy LEC

(„Prawda Wileńska”, 21.12.1940)

WIENIEC WRZESŃNIOWY

ARMIA CZERWONA

Gdy z zachodu szła wojna z krwawą raną w boku,
Ze wschodu przyszedł cichy i słoneczny pokój
I zamiast samolotów, co ciskały grzmoty,
Znów ptaki nad dachami domów wszczęły loty.
Czołgi, czołgi, a w czołgach ludzie — towarzysze,
Na czołgach kwiaty, kwiaty i lecące w ciszę
Radosne powitanie, jak gdyby weszło
W piersiach ludu, dwadzieścia lat gdy się czekało
Na tę chwilę i płynie z wszystkich piersi ono
Ku swej wybawicielce, ku Armii Czerwonej.

KOŁCHOZY

Tam, gdzie wierzbom schylonym nad wodą niezgrabnie
Przewrotna fala krzywe ich odbicie kradnie,
gdzie dni były, jak siwe rozplakane brzozy,
Spójrz: stanęły ziarniste, zamożne kołchozy.
Kto tę radość rękoma, jak siostrę obejmie?
Traktory, warcząc, orzą urodzajną ziemię.
W klubie radio i książki — zmierzch na pole splywa
Po robocie, jak końska posrebrzysta grzywa,
I dźwięczy kołomyjka, a za oknem klony
Niosą na drżących liściach wieczór zamyślony.

Włodzimierz SŁOBODNIK

(Fragmenty poematu — Pisarze Lwowa na rocznicę
Wyzwolenia. „Głos Radziecki”, Kijów, 14.9.1940)

1941

Pierwszy raz pełną piersią, ogniem entuzjazmu,
Mięśniami napiętymi do wspaniałych prac,
Witamy go na ziemi wyzwolonej z jarzma
W gwiazdozborze Republik Rad.

Dzień, który nam zaświtał piętnastego czerwca,
Rośnie, błyszczy południem mężniejszych sił.
Równiej, mocniej pulsują motory i serca
Krew i słońce pędząc do żył.

I zespoleni w naród szóstej części globu,
W armię, której się oprzeć nie potrafi nikt,
Idziemy naprzód, naprzód — wielką, jasną drogą
Zwycięski, zwarty szyk!

Teodor BUJNICKI

(„Prawda Wileńska”, Wilno. 1.1.1941)

Nie tylko nie było wtedy Polski Ludowej, ale nie była ona przewidziana. W każdym razie nie w pierwszych latach wojny, decydujących o świadomości politycznej w kraju. Przytoczone prace ilustrują linię oficjalną, streszczającą się wtedy w zdaniu: „Nikakoj Polszy nikogda nie budiet”. W najlepszym razie komuniści polscy przewidywali poszerzenie Związku o terytoria leżące nad Wisłą. O tym dzisiaj chętnie się zapomina, jednakże, pisząc np. o mordowaniu komunistów przez podziemie, nie należy o tym zapominać. Jeden z zamordowanych, mój przyjaciel Teodor Bujnicki (jak wiem bardzo żałował swoich wyczynów w „Prawdzie Wileńskiej”), padł od kul nie tyle przeciwników politycznych, ile ludzi, którzy w sposób głupi i okrutny dali wyraz swojemu przywiązaniu do idei ojczyzny jako obszaru rządzącego się własną tradycją i własnymi prawami.

Podane próbki stanowią tylko część dość bogatej twórczości. Ich mała wartość artystyczna nie znaczy, że należy skazać je na niebyt, bo cenne są jako materiały. W antologii Szczawieja mniej więcej jedna trzecia wierszowanych pódów jest grafomanią, co nie odbiera im wartości dokumentu. Oczywiście wolno powiedzieć, że obraz „poezji czasu wojny” to rzecz za trudna w obecnych warunkach. Ale to sam redaktor nas do takich roszczeń upoważnia. Skoro wprowadza członków Związku Patriotów, działających nie pod okupacją niemiecką ale w Rosji, niesłusznie wyłącza ich najlepsze dzieła, na przykład na prawdę piękną odę Lucjana Szenwalda do Syberii. Oda ta nie usposobia przychylnie ani tych, którzy spędzili jakiś czas w tamtejszych łagrach, ani tych, co potracili tam krewnych. Niemniej splot nienawiści, jakim było życie w latach 1939-1945 znajduje w takich tekstach wyjaśnienie. „Poezja czasu wojny” wymagałaby postawy anty-bronzowniczej, sine ira et studio i wtedy dopiero byłaby na prawdę interesująca. Zawierałaby dział bardzo żywej twórczości żołnierskiej na Bliskim Wschodzie, w Afryce, w Anglii, w Italii, pieśni wojskowe, humor, nie zabrakłoby w niej również wierszy antysowieckich, które sąsiadowałyby z odami komunistów — bo i jedno i drugie powstały w tym samym języku.

Zalóżmy jednak, że przypomnienie samej poezji podziemnej było celem redaktora i że złożył jedynie należyty haracz, dodając, spośród prac nieznanymi wtedy w kraju, utwory, z niewieloma wyjątkami (jak Jana Bielatowicza „Cassino”), wschodnich wędrowców, na zasadzie słynnej dozy. Zasluga jego jest niewątpliwa, bo rozproszone i często niezbrane teksty zgromadził razem. Jednakże nie przesiewa ich według artystycznych zalet czyli nie jest to zbiór najlepszych wierszy, jakie wtedy powstały. A skoro zaznacza od czasu do czasu jako swoje źródło: „otrzymałem w rękopisie” i jeżeli głównie interesuje go „bojowość”, to zapytamy dlaczego zapominał o pieśniach AK, może literacko ubogich ale niezwykle popularnych? I dlaczego zdaje się dzielić rzeczywistość na godną pamięci i niegodną pamięci? Godną pamięci jest miłość ojczyzny i nienawiść do wroga (wyłączywszy te

pieśni AK). Niegodną pamięci jest wszelka problematyka wykraczająca poza jedność (jak wiemy wątpliwą) narodu. Ciekawe, że niegodne pamięci jest również ghetto. Dozować. Wyważyć. W kraju, gdzie pieśń była dla ginących Żydów ostatnią więzią z innym człowiekiem i ze światem, co uznał Szczawiej za wystarczający dowód ich istnienia? „Żydom polskim” Broniewskiego, napisane na Bliskim Wschodzie, „Pieśń o Januszu Korczaku” Słonimskiego napisaną w Londynie, „O męczeństwie rapsod pozgonny” Sarneckiego i jeden jedyny anonimowy wiersz z ghett, „Rzeczy”. Na 591 stron! Wygląda na to, że nigdy nie słyszał o opracowaniach Żydowskiej Komisji Historycznej. Odkąd to odmawia się słowu umierających miana „poezji podziemnej”? Czy nie był to los trzech milionów polskich obywateli? Obrząd nacjonalistyczny pozostaje obrzędem nacjonalistycznym, choćby niektóre jego utensylia zostały pomalowane na czerwono. Poza tym zasadnicza bezkonfliktowność antologii nie pozwala Szczawiejowi sięgnąć do satyry, która ostatecznie nie zamarła i w swoim okrucieństwie lepiej nieraz wyrażała sytuację niż liryka. Na próżno szukalibyśmy śladów rozdarcia — a całe późniejsze rozdarcie trwało już jak kielek w ziarnie fasoli.



Wartość antologii nie polega więc na tym, co redaktor dorzucił z różnych źródeł, bo tam okazał albo brak przemyślenia albo dowolność, zgodną z potrzebami chwili. Nie polega też na retorycznym wstępie ani na mydlano-bohaterskich rysunkach, uchodzących, niestety, za odpowiednią ozdobę książek „dla ludu i młodzieży”. Zostawmy to wszystko na boku i zajmijmy się przedrukami z wydawnictw konspiracyjnych.

Czy krytyka przeprowadziła kiedyś proces poezji polskiej lat 1939-1945, tak „zaangażowanej”, jak, o ile moje informacje są ścisłe, była na kontynencie europejskim tylko poezja okupowanej Grecji? Nie było takiego bezstronnego procesu, w sensie ustalenia hierarchii i analizy postaw. Cicho wielbiono albo omijano z zażenowaniem, bo krytyk musiałby wniknąć w ówczesny kocioł polityczny, bardzo niebezpieczny. Białe-amarantowa wstęga, tak jak na omawianej antologii, to najwyższy stopień przyswojenia. Poprawki? Gdzie są te sądy, do których można by robić poprawki? Ograniczyć się więc tutaj trzeba do kilku refleksji.

Jeden motyw podejmowany kolejno przez różne skrzypce. Nieporadnie, z gadulstwem, z niepotrzebną gładkością elokwencji, aż wreszcie jakieś skrzypce znajdują ton właściwy albo niemal właściwy. Pojawia się inny motyw i znów ten konkurs wielu skrzypiec. Najciekawszym spostrzeżeniem jest zacieranie się indywidualności. To, co zdawało się wtedy nosić cechy indywidualnego stylu, dzisiaj nosi tylko datę epoki. Tak na przykład jest z motywem, nazwijmy go, anhelicznym, jaki właściwy był prawie wszystkim najmłodszym poetom Warszawy, mi-

mo że Krzysztof Baczyński nie miał nic wspólnego z grupą „Sztuki i Narodu” — on wywodził się z tradycji lewicowej (w szkole uważał się za marksistę), przetrawionej następnie przez doświadczenie religijne, oni z prądu, którego symbolem bezpośrednio przed wojną był ONR. Motyw anheliczny — wyrzeczenie się ziemi, zgoda na ofiarę z życia, a nawet więcej, poszukiwanie świętości w walce — jest tak rozdzierający, że uniemożliwia dotychczas, przez swoją realizację w śmierci autorów, jakiegokolwiek chłodne sądy i widać na tym przykładzie jak krytyka musiałaby zmienić się w filozofię, żeby temu podołać. Inny motyw, wiary chrześcijańskiej w ziemskim piekle, powtarza się od Staffa do najmłodszych, wydając wiele modlitw, litanii a zwłaszcza kolęd, w których dawne obrazy zostają zastąpione nowymi: na czoło Dziecka w stajence pada kropla krwi i zmienia się w gwiazdę — „Nad głuchą nocą ziemską. /Jest gwiazdą betleemską/ Gloria, Gloria in excelsis Deo” („Kolęda” anonimowego autora). Odmianą tego samego motywu jest religijność odwrotna, prometejskiej negacji, krzyku, najmocniej wypowiedziana w anonimowym wierszu „Do pana Bolesława M. (autora „Portretu Kanta” wydanego na emigracji w Grenoble)”. Jest to atak na Micińskiego, na Kaplicę Sykstyńską, na Michała Anioła, oraz na gwiazdy. („To nie farba spod palców Michała Anioła. Wiemy, to krew człowieka”). Atak niesłuszny. Nie mniej jest w tym proteście na miarę ówczesnej rozpaczli rzadka cierpkość stylu.

„Materialistyczny katastrofizm” byłby przybliżoną nazwą motywu, który pojawia się u wielu, zwłaszcza u Tadeusza Borowskiego. Wypadałoby też wydzielić motyw historiozoficzny czyli głównie rozmyślanie o Niemczech, często z przywołaniem dziejów całej Europy, poczynając od antycznej Grecji. Tutaj w pełni ujawniła się władczość Tadeusza Hollendra, władczość, czyli zdolność utrzymania właściwego dystansu wobec wydarzeń, cecha niemal niespotykana u innych autorów antologii, zanurzonych z głową w żywiole wojny. Jego „Wspomnienie z Grecji”, zwrócone do niemieckiego żołnierza i wróżące mu, że tak samo jak greccy pasterze wskazują drogę: „kato, kynie, kato” — ciągle naprzód, panie — wskaże mu drogę Los, wołając „kato” przed bramą Hadesu — jest wzorem okolicznościowego poematu w tradycji klasycznej. Podobnie swój wiersz „Do Anglii” Hollender kończy liniami wskazującymi, że w najtrudniejszych momentach nie pozwalał swoim uczuciom obeszładniać intelektu:

*Błogosławiąc twym dzielnym, co gromią i toną,
tym, którzy są twym grotem i twoją obroną,
pamiętam, że kark gniewiesz niewolnym milionom.*

*I widząc jak dziś walczysz z wściekłością suchwałą
za swobodę milionów — myślę, że nie mało
placisz, lecz właśnie taką cenę jak przystało.*

Hollender był zupełnym przeciwieństwem najmłodszych poetów Warszawy, a jego drwiący umysł nie skłaniał go do przychylniej oceny ich pism, w których, jak przypuszczam, widział egzaltację i rodzaj miłosnej korespondencji ze śmiercią. Myślę, że ten mały człowieczek z kaczym nosem i kosmykiem ciemnych włosów, opadających na czoło, ten kpiarz i trunkowiec, był osobistością królewską. Kule egzekucyjnego plutonu zabiły jedną z najcenniejszych możliwości polskiego piśmiennictwa. Chociaż, gdyby dożył końca wojny, nie trudno sobie wyobrazić kłopoty jakich by swoją bezkompromisowością wszystkim przyczyniał. Jeżeli pisarze w Warszawie dbają o fakty, powinni dzisiaj zająć się sprawdzeniem, na ile zasadnione są pogłoski, że został aresztowany do Gestapo za to, że „szczekał”. Bo we Lwowie ów lewicowiec był jednym z nieprzejednanych i później w Warszawie wygłaszał tajne odczyty bardzo dla stalinowskiego aparatu nie mile, co gorsza, znajdował dostęp do publiczności robotniczej.

Więc motywy. Ich klasyfikacją zajmie się kiedyś historia literatury. Z tego punktu widzenia, ponieważ daje po dziesięć, dwadzieścia odmian tego samego motywu, antologia może być nawet użyteczna. Ale nużąca to książka. Za dużą porcją szlachetności stępią wrażliwość czytelnika i wiedzą to wszyscy, niektórzy tylko udają, że nie wiedzą. Zdarza się, że cierpienie wyściska z piór miernych coś wybitnego, ale rzadko. Bezpieczniej przyjąć za regułę, że poezja jest „przypomnieniem w spokoju minionej namiętności” i że zbyt wielki nacisk świata obezwładnia nawet dobre pióra, wymagając wyjątkowych kwalifikacji. „W wątpliwej bitwie” z dziejami, nigdy dotychczas nie prezentującymi takiej twarży, zawodowcom łatwo wymyka się konkrety (twórczość ludowa (1) jest tu wytrzymalsza i dlatego szkoda, że nie ma jej w antologii), konkrety wydaje się nie do opamiętania. Wtedy pokusą staje się język miniony, o gotowych uczuciowych schematach, w Polsce oczywiście język romantyczny.

Pomimo automatyzmów, centrum poezji nie znajdowało się na emigracji, zachodniej czy wschodniej, ale w kraju. Był to niezwykle okres, tak naładowany treścią, że wątpić można, czy z prasy dwunastu lat jakie upłynęły od jego zakończenia dałoby się zebrać podobną ilość nazwisk coś znaczących. Okres sam w sobie, bo nie wielu tylko poetów konspiracyjnych działało i przed nim i po nim. Jedni zginęli, inni, jak Anna Świrszczyńska, Jerzy Zagórski, Bogdan Ostromecki, Jan Bolesław Ożóg, odzywali się rzadko, jeszcze inni utonęli w „działaniu pozytywnym”. Wbrew spotykanym twierdzeniom, że „nowa era” poetyckiego stylu zaczęła się w 1945 roku, istotne przemiany odbyły się pod okupacją i „rozkwit” do 1949 r. polegał na „rozdzieraniu siebie” oraz na publikacji tego co leżało w szufladach.

(1) „Podchwycona”, np. pieśni z Kacetów.

Rzekoma walka o realizm została użyta do sterylizacji procesu, który odbyłby się sam, i zupełnie inaczej, w bardziej normalnych warunkach. Rewolucja (niezależnie od jej sprawców) była piugiem orzącym głęboko i przygotowywała styl epigramatu czy dyskursu (jak np. w „Poemacie dla dorosłych” Ważyka). Dopiero piug doktrynalny zdarł warstwę gleby, z jej dobrymi i złymi bakteriami (złe, to dla mnie sął mesjaniczny, którego wiele oznak mógłbym przytoczyć) a zostawił piasek. Zachowując wszelkie proporcje, wolno porównać ten kres epoki do zwycięstwa Cromwella i purytanów, którzy zniszczyli poezję Renesansu i Baroku — ci jednak mieli Biblię i pośród siebie Miltona. Dzisiejsze naśladowania zachodnich dziwactw przez młodych dowodzą, że próbują oni wracać wstecz, zamiast złowić nitkę nowej możliwości.

Przez uwagi moje o poezji podziemnej przeziara jakby brak rewerencji. Złożyło się tak jednak, że byłem redaktorem pierwszej z trzech głównych antologii, „Pieśni Niepodległej”, i wszystkie komentarze prozą tam zawarte wyszły spod mego pióra. Sekretne „autorzy”, na których z pietyzmem powołuje się Szczawiej, to ja, do usług. Ciskając kamyki, wrzucam je więc i do własnego ogródka. Co prawda „Pieśń Niepodległa” była stosunkowo najbardziej wstrzemięźliwa, niechętna zbyt wysokiemu pałapowi narodowych uniesień. Miała też, jak mi się zdaje, najstaranniejszy dobór jakości (1). Ale doszła do skutku (dzięki energii założyciela tajnej „Oficyny Warszawskiej”) w braku czegoś lepszego: od tzw. czynników w żaden sposób nie udawało się wydusić pieniędzy na druk książek dyskusyjnych, rozjaśniających ludziom w głowach i zdolnych zorientować w perspektywach na przyszłość. Ogromne sumy szły na wypełnianie gazetek krzepiącymi serce bzdurami, natomiast analiza ideologiczno-polityczna wydawała się tym czynnikom niebezpieczną fanaberią i była obłożona cenzurą. Zapewne marzenia naszej grupki przyjaciół były szaleńcze, bo podwójny filtr (brak dopływu trzeźwych ocen z zagranicy i zaciśnięty mieczek skarbowy w kraju) miał chronić po prostu obywateli od zrozumienia, że żadne koncepcje nie istnieją. Wzmagało to atrakcyjność małego intelektualnego centrum komunistów w Warszawie, ale ci znowu w latach 1939-1941 zrobili trochę za ładny początek. Mnożenie się antologii poetyckich było więc w pewnym stopniu wynikiem zahamowania myślowego nurtu, który mógł znaleźć ujście tylko w patriotycznej ortodoksji.

Znam pochodzenie wielu wierszy podanych przez Szczawieja, ale niech się nad nimi pocą przyszli dłubacze. Z tym odcyfrowywaniem autorstwa jest kłopot, bo nigdy nie wiemy, czy ujawniając nazwisko nie wyrządzamy komuś niedźwiedziej przysługi. Zrobię tylko jeden wyjątek. Wiersz „Tatarska Ulica” na-

(1) Staff, Broniewski, Tuwim, Baliński, Baczyński, Światopełk Karpiński, Świrszczyńska etc.

pisał Światopełk Karpiński. Wiersz ten jednak nie ma sensu bez informacji, że Tatarska ulica była w Wilnie.



Z powyższych rozważań należy wywnioskować, że na podobne antologie jest dziś jeszcze nieco za wcześnie — o lat pięć czy pięćset, jak kto woli.

Czesław MIŁOSZ

Kolumbowie i ich Ameryki

Rewelacją literacką i bestsellerem w Kraju stała się ogłoszona niedawno trylogia Romana Bratnego *Kolumbowie* — *Rocznik* 20 (1). Kolejne jej części — zatytułowane „Śmierć po raz pierwszy”, „Śmierć po raz drugi”, „Życie” — dotyczą przeżyć grupki młodych żołnierzy AK w konspiracji, podczas okupacji niemieckiej, w czasie Powstania Warszawskiego i po zakończeniu wojny. Nie trudno jest wytłumaczyć popularność tej książki. Na ośmiuset stronach znajdujemy bogatą panoramę wydarzeń, które do niedawna były bądź przemilczane, bądź też przedstawiane w sposób jednostronny lub wręcz fałszywy. W ciągu ostatniego roku pojawiło się sporo książek i relacji traktujących o sprawach związanych z AK i powstaniem w sposób prawdziwy i szczerzy. Wszystkie te książki, czy to materiały dokumentacyjne (jak albumy fotograficzne Iskier, PAXu i „Stolicy”), czy pamiętnikarskie (jak pamiętniki żołnierzy batalionu „Zośka”) czy też opracowania (jak „Rapsodia żoliborska” Podlewskiego) zostały rozkupione natychmiast. Nic w tym dziwnego. Wydarzenia, o których w książkach tych mowa, wywarły wpływ na dalsze losy narodu i na kształtowanie się mentalności zbiorowej Polaków, więc z pamięci i zainteresowań szerokich rzesz wykreślić ich się nie dało.

Utworów literackich osnutych na tle okupacji, powstania i lat powojennych ukazało się sporo w pierwszych latach po wojnie (żeby wymienić „Najeźdźców” i „W rozwalonym domu” Dobraczyńskiego, czy „Noc” oraz „Popiół i diament” Andrzejewskiego). Po dłuższej przerwie w latach stalinizmu, pierwszą niezafałszowaną książką był zbiór opowiadań Stawińskiego

(1) Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1957. Str. 273 + 286 + 248.

„Kanał — Węgrzy — Godzina W”. Książka Bratnego należy właśnie do tej ostatniej kategorii: pół-beletrystyki, pół-pamiętnika. Może nie lepsza od książki Stawińskiego literacko, przeraża ją rozległością opisanych faktów. Istnieje między tymi książkami wiele podobieństw. Obaj autorzy widzą rzeczywistość katastroficzną, ukazują bezsens bohaterstwa. Ale gdy Stawiński ogranicza się do bezpośredniej narracji, Bratny wplątuje w swą książkę coś w rodzaju ideologicznych poszukiwań. Stawiński był po prostu uczestnikiem opisywanych wydarzeń i do czasu ogłoszenia swej książki nie był znany jako literat. Bratny był także żołnierzem AK, uczestnikiem powstania, potem jeńcem i repatriantem. W konspiracji zadebiutował jako poeta mocnymi, „drapieżnymi” wierszami zebranymi w tomiku „Pogarda”. W r. 1946 redagował tygodnik „Pokolenie”. W wydawanych po wojnie tomikach („W karty z historią” 1948, „15 batalionów” 1948, „Losy” 1948, „Słowo miliarda” 1949, „Człowieku, żyć będziesz” 1951) wiersze jego stopniowo tracą artyistyczne walory na rzecz deklaratywnej retoryki wiodącej do socrealizmu. (W rb. wyszły jego „Wiersze wybrane” nakładem PIWu). Ogłosił też w „Czytelniku” sztukę „Sześć godzin ciemności” (1953) i zbiór ośmiu świetlicowych jednoaktówek („Ludzie, którzy rosną” 1952), niestety nieodrodnym socrealistycznym produkcyjniaków. W tym stylu ogłaszał też opowiadania (zbiór „Kryśka Brzytew” 1955) i reportaże. Tym większą niespodzianką było ujawnienie przez Bratnego autentycznego talentu — prozaika. Mam na myśli oczywiście nie pierwszą powieść Bratnego, o tematyce wiejskiej, „Krok ostateczny” (Czytelnik, 1955) ale właśnie *Kolumbowie*.

Ostatnia książka Bratnego choć ujęta w formę powieściową, nie jest w gruncie rzeczy literaturą, ale należy do nurtu relacyjnego. Autor opisuje to, co sam widział i przeżył. Kalejdoskop wydarzeń w pierwszym tomie obejmuje konspiracyjne akcje bojowe, zebrania literackie, scenę wysadzenia pociągu, opisy aresztowań, śledztwa, kontaktów z niemieckimi żołnierzami, słowem wszystko — od „małego sabotażu” po „wielką dywersję”. W drugim tomie mamy wstrząsające opisy walk powstańczych na Woli, Starówce, Czerniakowie, Śródmieściu, sceny mordów niemieckich, epizod z Mokotowa. Tom trzeci zawiera opisy niewoli w Niemczech, zagranicznych wojaży, szabru i kombinatorstwa byłych jeńców, powrót do Kraju i wysiłki wciągnięcia się do życia w nowej rzeczywistości, paraliżowane przez nieufność i złą wolę nowych władców. Mam tam opisy walk zdegenerowanej partyzantki, pacyfikacji, znowu śledztwa, scenę rozbicia więzienia, opisy zebrania redakcyjnych i ideowych, spekulacji. Wszystko pisane ze znajomością realiów, szczerze i — w przeświadczeniu autora — prawdziwie. Książka przykuwa z miejsca uwagę czytelnika (uwagę z tych gorączkowych — „z wypiekami” i czytaniem od deski do deski jednym ciągiem) i pozyskuje sobie jego sympatię.

Kolumbowie są niewątpliwie autentycznym, i to autentycznym

niezłym literacko. Ale, że nie jest to powieść, lecz sfabularyzowany pamiętnik, zbyt wielki nacisk położony jest na zewnętrzną akcję, zbyt mały na motywacji wewnętrznych przeżyć bohaterów (choć pod tym względem książka pogłębia się w tomie trzecim, który w przeciwieństwie do dwu wcześniejszych nie jest dla autora historią, ale niezagojoną wciąż raną). W tej książce fakty mają głos przede wszystkim, fakty nie fikcyjne, ale rzeczywiste. Fakty żyją tu na własny rachunek i dyktują autorowi co i jak ma pisać. Naturalnie odbija się to na kompozycji. Jako całość książka jest chaotyczna, zrozumiała bardziej może dla „wtajemniczonych” niż dla laików (np. w tomie drugim czytelnik nie znający topografii i chronologii Powstania zagubi się w labiryncie opisywanych scen i nie wszystkie szczegóły, nie wszystkie aluzje będą dla niego jasne).

Konsekwencje przewagi faktów są jednak w przeważającym stopniu dodatnie. Fakty są niecodzienne i wstrząsające, a Bratny jest jednak pisarzem i umie wydobyć z nich wszystko. Wiedziony przez nie, umie je jednak jakoś kontrolować i temperować. Dobrze i oparte na przeżyciu opisanie konkretnego pozwala mu na bezbłędne efekty (np. charakterystyczny opis kolorytu i przemian w wyglądzie ulicy po wystrzeleniu rakiet świetlnych w tomie II, str. 127, niemożliwy do oddania bez osobistego doświadczenia). Ta „relacyjna” książka zawiera szereg wspaniałych i wstrząsających scen, którymi szczycić by się mogły arcydzieła literatury. Wystarczy, że wymienię: w tomie I — scenę w kawiarni, gdzie siedząca w otoczeniu przygotowujących pułapkę gestapowców zmaltretowana Baśka spodziewa się odbicia, nie wiedząc że jej gryps nie został doręczony kolegom. W tomie II — opis walk na cmentarzu kalwińskim; śmierć Wołodyjowskiego; przebiecie na Królewską; czy wreszcie celowe powtarzanie w opisie walk na Czerniakowie elementów tragedii Starego Miasta. Może najbardziej mistrzowskim *tour de force* — wydobytym przez umiejętny zestaw faktów — jest zakończenie tomu II. Po wstrząsającym opisie mordu rannych powstańców dokonanego przez Niemców na Czerniakowie, następuje krótki rozdział XI, końcowy, na pół strony. Składa się on jedynie z fragmentu kapitulacyjnego przemówienia Bora, podanego bez komentarzy. Te parę zdań drętwej mowy o sławnych czynach bojowych, o mocy naszego ducha, o wypełnieniu zadania politycznego i ideowego, uderzają czytelnika jak obuchem i wręcz oszałamiają.

Dopiero gdy Bratny odchodzi od faktów bezpośrednio przeżytych zdarzają się nieporozumienia. Do takich nieporozumień należy rozdział o powstaniu na Mokotowie w tomie II. Z relacji Bratnego można odnieść wrażenie, że nic się tam nie działo, że nie było żadnych akcji bojowych, a jedynie hulala bezdennie głupia i wręcz groteskowa żandarmeria. (Wygląda na to, że Bratny był na Mokotowie przez parę dni np. po upadku Czerniakowa i doznawszy — po swych ciężkich przeżyciach — jakichś papierkowych nieprzyjemności od tyłowych biurokratów, powziął uraz „anty-mokotowski”). Niebardzo też rozumiem, dlaczego

Bratny przedstawiając pod pseudonimem „Dębowy” sylwetkę Tadeusza Gajcego — co nie ulega wątpliwości, skoro cytuje jako wiersze „Dębowego” autentyczne wiersze Gajcego — nie daje poecie ani autentycznego nazwiska ani pseudonimu, oraz zmienia okoliczności jego śmierci. Czy to wszystko tylko po to, aby „zaanektować” Gajcego — który w rzeczywistości był w zupełnie innym oddziale bojowym — do oddziałów Kedywu? Te dwa przykłady wiążą się z innymi cechami książki Bratnego: subiektywizmem i elitaryzmem.

Duża objętość *Kolumbów* i rozległy zakres spraw książką objętych nie oznacza bynajmniej, że mamy do czynienia z powieścią-rzeką. To co dał nam Bratny, to nie jest syntetyczny zarys wojennych losów narodu, ogółu żołnierzy AK, czy nawet — jak sam autor sugeruje pod tytułem *Rocznik 20* — pokolenia. W rzeczywistości książka traktuje o elicie inteligenckiej młodzieży, wychowanej w szkołach dwudziestolecia Polski Niepodległej; młodzieży, którą wybuch wojny zastał w wieku poborowym, która na terenie warszawskim weszła w skład doborowych oddziałów Kedywu i stała się rdzeniem konspiracyjnych akcji, a następnie walk powstańczych. Ale i tego nie obejmuje Bratny w jakiejś całościowej koncepcji. Opisuje małą grupkę przyjaciół — intelektualistów, młodszych dowódców. Podkomendni żołnierze, zwłaszcza jeżeli nie są inteligentami — znajdują się na dalszym planie i jakoś mniej się nimi autor interesuje. Głównymi bohaterami książki są właściwie: Jerzy, Zygmunt, Kolumb i Olo. To oni właśnie są kolumbami, tyle razy wyruszającymi na odkrywanie ameryk — na szukanie prawd, idei, życia, zwycięstw, by na drodze swej napotkać klęskę, rozczarowanie, śmierć.

Nietypowość „czołówki” kolumbów najmniej widoczna jest w pierwszych dwóch tomach (co najwyżej występując w takich szczegółach jak pogardliwe potraktowanie Mokotowa, czy chęć „zaanektowania” Gajcego), gdyż bohaterowie — działając jako solidarna i zwarta grupa — są jednocześnie wpleceni w ogólny nurt wydarzeń. Ich przeżycia były udziałem wielu innych. Natomiast tom trzeci — pod pewnymi względami może najciekawszy — jest w swej treści najbardziej zindywidualizowany, a nawet kontrowersyjny, właśnie dlatego, że kolumbowie postępują tu „nietypowo”, że działają indywidualnie, zdani są na własne decyzje, sądy, działanie. Tom ten zasługuje na szczególną uwagę, gdyż jest on uczciwą apologią tego odłamu Akowców, który poszedł na współpracę z komunistyczną administracją kraju. Reszta wydarzeń tego tomu jest mniej ważna, jest usiłowaniem — jakby na siłę robionym — dania całości obrazu. Ponieważ Bratny pokazał uczciwie bankructwo „kolaboracji”, a jednocześnie sugerował, że usiłowanie kolaboracji było jedynym wyjściem dla normalnego człowieka z AK, dla uniknięcia nieporozumień zaznaczyć trzeba, że ta część tomu w każdym razie, to dzieje mniejszości.

Tom zaczyna się od streszczenia pobytu w obozie jeńców. Epizod ten potraktował Bratny zwięźle i powierzchownie, bo dla

pałających żądzą działania kolumbów był to okres wykreślony z życia, okres nad którym rozwodzić się i którego pamiętać nie trzeba. Po uwolnieniu akcja rozpada się na dwa wątki: emigracyjny i krajowy. Wątek emigracyjny został potraktowany po macoszemu i — mówiąc delikatnie — grzeszy jednostronnością. Oto Kolumb, Robert i Jagiello — po rychłym rozczarowaniu do Anglosasów (bardziej faworyzujących Niemców niż ich, byłych bohaterów) zakładają wielkie przedsiębiorstwo kanciarско-przemysłnicze, dorabiają się fortuny, która rychło rozplywa się w hulawczym życiu. „Starzy emigranci”, z którymi się stykają, to też spekulanci i czarne typy. Pozostaje katzenjammer i wielki znak zapytania nad przyszłością. Historie opisane — może z pewną przesadą, ale dowcipnie — przez Bratnego zdarzały się, ale nie wyczerpują one problemu tysięcznej masy akowców wyzwolonych z niemieckiej niewoli. Ani słowa nie znajdujemy o licznej rzeszy, która poszła do szkół, na studia, doszła do stanowisk — nieraz wybitnych — w krajach osiedlenia. Daleki jestem od tego, żeby — śladem socrealistycznych krytyków — strofować Bratnego za to, czego w jego książce nie ma. Ale ponieważ książka już choćby swym tytułem ma ambicje do objęcia całości losów akowskich, przestrzegam przed uogólnianiem i zwracam uwagę na to, że wśród tych kolumbów rocznik 20, którzy zostali na emigracji, byli nie sami tylko wykołajeńcy, co więcej — że rozczarowanie do polskiego Londynu i wymówienie posłuszeństwa „londyńskim” przywódcom politycznym nie koniecznie oznaczało — jak to zdaje się sugerować autor — iż powrót do Kraju był jedyną alternatywą. Odrzuciwszy stare koncepcje można było jeszcze zostać zagranicą i wypracowywać nowe, będąc wolnym od zewnętrznego nacisku. Trzeba było mieć tylko trochę cierpliwości.

Jerzy i Olo wrócili do Kraju wkrótce po zakończeniu wojny i założyli pismo „Głos pokolenia”, w którym głosili konieczność stanięcia na gruncie nowej rzeczywistości. Ale poszli w tym dalej niż np. ludzie spod znaku „Tygodnika Powszechnego”, którzy byli gotowi współpracować z władzami w odbudowie kraju, jednak bez kompromisu ideowego. Jerzy i Olo potrzebowali ideologii i zaakceptowali jako tę ideologię marksizm: „Zgodziliśmy się na jedno: nie ma Polski bez komunizmu, inaczej będzie to wiecznie Chrystus Narodów” (III, 159). Tak, oni chcieli komunizmu, tylko niedobry reżymowcy nie wierzyli w ich dobrą wolę i nie ufali im. Gdy bezpieka deptała im po piętach, nawet podczas przesłuchania u pułkownika KBW Jerzy myśli: „A z tym człowiekiem naprzeciwko musi walczyć, bo chce tego samego, ale chce inaczej, chce w inny sposób, to już znaczy walczyć” (III, 223). Nawet gdy maltretowany przez partyjnych naganiaczy od kultury Jerzy składa rezygnację z funkcji redaktora „Głosu pokolenia”, jednocześnie składa prośbę o przyjęcie na członka tej samej partii, która złamała jego dzieło. Z trudem można uwierzyć w tę psychologię niedawnego Akowca, w żadnym wypadku nie można uznać tego za postawę typową. Tego zresztą

autor nie sugeruje, skoro każe zgiąć Jerzemu z ręki dawnego towarzysza broni. Cóż, faktem jest, że większość Akowców — nawet przy zamiarze adaptacji do nowej rzeczywistości, wołała wówczas Mikołajczyka niż służbę Partii.

Śmierć Jerzego jest symbolem tragedii tych ludzi. Przyjaźń, solidarność i zrozumienie wzajemne, trwające przez lata konspiracji, przez krwawy dramat powstania, nie przetrzymały trzeciej próby — życia w systemie bardziej perfidnym niż cała dotychczasowa przeszłość. Jeżeli nie przekonują nas subiektywne argumenty Bratnego, którymi wyjaśnia on nieuchronność drogi przez siebie obranej, przyznać trzeba, że w końcowych partiach książki udało mu się pokazać tragedię ludzi z AK bezstronnie i wiernie. Bardzo dobrze napisana jest historia Zygmunta, który po przepłynięciu Wisły z upadkiem Czerniakowa wcielony został do wojsk Berlinga i zdobywał z nimi Berlin, awansowany i po zakończeniu wojny jako dowódca szwadronu brał udział w likwidacji band partyzanckich. Nie ufano mu jednak, osaczono go podejrzeniami, obstawiono szpiegami i zmuszono do dezercji leśnej. A znowu Malutki, któremu przy pierwszym pobycie w więzieniu przekłuto w ucho bębenek, po drugim aresztowaniu popełnia samobójstwo.

Katastroficzne zakończenie *Kolumbów* jest artystycznie dobre. Śmierć Jerzego, śmierć Malutkiego i dezorientacja zagubionego na morzach w swym jachcie Kolumba (gdy zamiast „Listu na ocean” Jerzego, Fala Pokolenia nadaje felieton Zaboklickiego o „Obowiązku wzmożonej czujności”). W tym wszystkim zgrzyt: Olo wciąż martwiący się o wprowadzenie do Partii. Ale ta deklaracja nie ma znaczenia. Zawiedziony Akowiec i zawiedziony komunista jest w gruncie rzeczy tylko zawiedzionym człowiekiem, który uczciwie opisał mechanizm krzywdy wyrządzonej ludziom.

Bolesław TABORSKI

O Januszu Korczaku

Na kartach książki Hanny Mortkowicz-Olczakowej o Januszu Korczaku (1) słyszymy jego żywy głos, niezagłuszony latami, które nas od jego śmierci dzielą. Rozrzucony po całym świecie przyjaciele Starego Doktora z audycji radiowych, lekarza i społecznika, kierownika Domu Sierot — dzieci żydowskich i Naszego Domu — dzieci polskich, oryginalnego pisarza, słu-

(1) Janusz Korczak, Czytelnik 1957. Obwolutę projektował Jan S. Miklaszewski. Frontispis: fotografię Janusza Korczaka wyk. Edward Poznański, str. 273.

chacze, wychowankowie, uczniowie, każdy kto go kiedykolwiek spotykał, kto wziął coś z niego, każdy, który go kochał, albo o nim tylko słyszał i chciałby wiedzieć coś więcej — przeczyta tę książkę.

Hanna Olczakowa czerpała materiał do swej pracy z pism, wypowiedzi i korespondencji samego Korczaka, wydając ponadto bezcenną autobiografię, zawartą w niewydanym dotychczas *Pamiętniku* Doktora, pisanym w ciągu ostatnich miesięcy życia, od maja do lipca 1942 roku. Cały ten materiał, wzbogacony własnymi wspomnieniami, powiązany nicią chronologiczną, ujęła autorka w 35 rozdziałów, 35 etapów. W końcu znajdujemy spis wszystkich utworów Korczaka, obejmujący 28 pozycji książkowych, bez uwzględnienia artykułów.

Życie i śmierć Janusza Korczaka osnuła już legenda.

„Legenda z reguły odczłowiecza i fałszuje tego kogo wstawia — píše Hanna Olczakowa — w żądaniu pożytki dla swej stugębnej famy, omija szczegóły, wypacza kształty...”

Czy tak jest istotnie? To nie stugębna fama, goniąca za sensacją tworzy legendę, a tęsknota za wartościami wyższego rzędu, za bohaterstwem, świętością. Legenda na ogół nie wypacza rzeczywistości, a upraszcza ją i ozłaca, utwierdza w pamięci narodu czy społeczności najczystszy kształt upragnionego wzoru, świadczy o miłości.

„Janusz Korczak” to nie legenda, chociaż i ta książka stanie się pożywką dla legendy. Sam Stary Doktor mówi tu za siebie i o sobie.

„Po wojnie” — pisał w *Pamiętniku* — „długo nie będą mogli ludzie patrzeć sobie w oczy, żeby nie wyczytać pytania: jak to się stało, że żyjesz, że przetrwałeś, co robiłeś?” Każdy z nas co przetrwał tamte lata, zna to pytanie. Wielu by chciało zapomnieć, wielu zapomniało, ale kto zapomniał ten nie wart jest zachowanego życia.

Życie i śmierć Janusza Korczaka to złote karty Warszawy, to wspomnienie równie święte dla Polaków, jak dla Żydów, to coś najistotniejszego z naszej wspólnej kultury, z ducha obu narodów.

Henryk Goldszmit — Janusz Korczak — był Polakiem, związanym z ojczyzną przez pokolenia przodków; nigdy i nigdzie nie czuł się dobrze ani nigdzie u siebie — poza Warszawą. Pisarz polski i żołnierz polski, lekarz i dziennikarz, poświęcił się bezbronnemu dziecku, bo jak mawiał: „Ciężko jest być dzieckiem i sierotą, a jeszcze ciężiej dzieckiem i sierotą żydowskim”. Poświęcił się więc sierotom żydowskim, aby je wychować w duchu asymilacji, w nadziei wszczęcia tych żydowskich pędów w pień wspólnej ojczyzny — Polski.

Później, jako kierownik Naszego Domu, sierocińca polskiego nawiązał współżycie obu społeczeństw dziecięcych, tworząc dla nich teren porozumienia.

Lata mijały, stosunki polsko-żydowskie stale się pogarszały; wychowankowie Domu Sierot, w ogromnej większości, emi-

growali do Ameryki. Opuszczając swój „Dom” na Krochmalnej i swoich tam opiekunów, nie byli przygotowani, ani należycie uzbrojeni na walkę z wrogością otaczającego ich społeczeństwa.

Pozostawał sjonizm, ziemia obiecana: *Erec — Izrael*.

„Zaaklimatyzowaliśmy się na ziemi sosen, śniegów i diaspor, fizycznie i moralnie” — pisał Korczak do przyjaciół w 1928 roku. — „Próba związania dwóch końców nitki, która została zerwana przed dwoma tysiącami lat, jest trudna, uda się ona, bo tego żąda historia, ale ile wysiłków i cierpień...”

Sam dwukrotnie w latach międzywojennych odwiedził Korczak Palestynę, stwierdził jej gorzkie piękno, dynamikę i technikę życia, patos wiary, heroiczny upór, ale też obcość.

„Inny stosunek do Boga i moralności, inna flora. Inna trawa, nawet sosna — też inna, obca kora i igły... wszystko obce do rozpacy. Rozmawiałem z lasem palestyńskim, na rannym spacerze, nie mogliśmy się porozumieć nawzajem”.

Widział jak tutaj twarda praca rąk na kamienistej ziemi zastępuje europejski snobizm dyplomów, jak umysł żydowski tu odpoczywa. Miałże by opuścić ojczyznę? Przesiedlić dzieci swoje na bardziej, jak mu się zdawało, bezpieczną ziemię biblijną? W powyższej decyzji było więcej rozpacy niż ufności.

„Wysiłek potężny, a ja przystępuję do niego bez chęci, jakby bez własnej woli, jakby na rozkaz. Rozkaz losu?”

I to ostatnie słowo, które zaważyło na szali: „Tam najgorszy nie plunie w twarz najlepszemu, tylko za to, jest Żydem”.

Korczak jednak nie wyjechał i dzieci swoich od śmierci nie uratował. Zbrodnia sięgnęła po nie i po tego najlepszego, dlatego tylko, że byli Żydami i dosięgła ich w mieście rodzinnym, nad brzegami ich rzeki, szarej Wisły.



Krok za krokiem śledzimy zmrę dni i nocy tego ojca dwustu dzieci, z których każde było jakby źrenicą jego oka, śledzimy człowieka uwięzionego w obmurowanej i odrutowanej dzielnicy, gdzie nad pół milionem ludzi wisiała zguba, Polska — odciętego od polskiego społeczeństwa.

W getcie, jak w mieście obłożonym, było wszystko: głód i rozpusta, żarłoczny wyzysk i beznadziejna miłość matek, zbrodnia i poświęcenie. Stary, sześćdziesięcioletni doktor Korczak wierzył w człowieka, dlatego nie mógł uwierzyć w masowy mord, liczył na opamiętanie, na ratunek, na pomoc z zewnątrz, na jakiś cud, i zabiegał o ten ratunek. Usiłując odnaleźć schwytaną na ulicy wychowawczynię, zapytywał sam siebie: „...czy w razie powodzenia przysłuży się jej, czy zaskodzę i skrzywdzę... gdzie wpadła? Może nie ona, ale my wpadliśmy (że zostajemy?)”.

Nikt zrazu nie wiedział co znaczyło, dokąd zmierzało rozpoczęte w połowie lipca masowe przesiedlanie mieszkańców getta. W Judenracie obiecywali Doktorowi, że Dom Sierot nie zostanie ruszony, czy wierzył temu? Czy odżegnywał strach tą

kłamiwą obietnicą, by móc uspokoić dzieci? Chwilami szukał jakiegoś sensu w grożącej zagładzie.

„Gdy nacie kartofli zbyt wybujały, przejeżdżał przez nie ciężki walec i miażdżył, ażeby owoc w ziemi mógł dojrzeć lepiej”.

Ale czy owoc będzie zachowany, czy dojrzeje? Ciężki walec... Stary człowiek upadał pod jego ciężarem.

„Dzień daje tyle ponurych wrażeń i doznań”, pisał. — „Noc bez snów koi zmęczenie — ...z dnia na dzień zmienia się oblicze dzielnic: Kryminał. Zadżumieni. Tokowisko. Dom wariatów. Dom gry. Monaco. Stawka — głowa”.

W końcu 41-ego roku, udało mi się dostać do odrutowanej dzielnicy za cudzą przepustką, aby odwiedzić Korczaka. Mówił mi wtedy, że czuje się jak poczwarka, z której niebawem miałby wylecieć motyl na wolność, czy też na jakieś inne życie. — Że śmierć to zarazem początek. Uporczywie mu się to tak majaczy — „ale być może” — dodał — „że to tylko starcza skleroza”.

„Dzieci muszą się modlić”, mówił, „a ja odbiłem się od pnia mojąszowego...” Prosił o przysłanie mu rzymskiego mszału, rozczytywał się wtedy w Talmudzie i w Biblii, szukał w liturgii katolickiej wzorów do inwokacji w rodzaju litanii. „Dzieci muszą się modlić...”.

W ciągu ostatniej paschalnej wieczerzy doktor Korczak w otoczeniu najstarszych dwunastu chłopców sam odprawiał hebrajskie modły. „Zdumieni goście, zaproszeni na ów *seder*, lekarze i działacze społeczni, patrzyli nie wierząc własnym oczom, na wymowny i rozpaczliwy gest z jakim wznosił ręce, krzycząc w głucho niebo o pomoc”. (str. 251). W ostatecznym opuszczeniu powtarzał: „Ojciec nasz, który jesteś w niebiesiech. Chleba naszego... chleba naszego. Przecież to co przeżywamy było... Było...”.

Wreszcie nadszedł dzień piątego sierpnia 1942. Korczak kilkakrotnie w swoich opowiadaniach wymarzył sobie pochody na czele swych dzieci. W jednej z ostatnich bajek na koloniach letnich, ostatniego dnia kolonii, o zachodzie słońca, opowiadał dzieciom, że ustawiwszy je kiedyś dwójkami, rozwiną sztandar zielony i pójdą... Dokąd? — pytały. Do słońca.

„Dostojewski mówi” — pisał w *Pamiętniku* — „że wszystkie nasze marzenia spełniają się z biegiem lat, tylko w tak wynaturzonej formie, że ich nie poznajemy”.

Stał więc istotnie w pochodzie, na czele swego sierocińca, był też sztandar zielony, sztandar Domu Sierot i dzieci podobno śpiewały. Upał, zakurzona warszawska ulica. W powietrzu puch z rozprutych pierzyn. Za murami kwitły lipy. Doktor prowadził swoich dwieście dzieci do komór gazowych. A może prowadził je dalej, może w słońce?

Przed załadowaniem do wagonu raz jeszcze odwołano Doktora — należał do personelu sanitarnego, mógł być wyłaczony z transportu jako lekarz. Odmówił, jak poprzednio.

„Dziękuję wam” — pisał błogosławiąc pamięć rodziców — „żeście nauczyli mnie rozumieć szept żywych i umarłych. Dziękuję wam, że poznałem tajemnicę życia w pięknej godzinie śmierci”. (*Sam na sam z Bogiem*).

Ostatni pochód Domu Sierot zamykała Stefania Wilczyńska, prawa ręka Doktora od samego początku istnienia Zakładu, wierna z wiernych i kilka jeszcze osób z personelu zakładowego. W ten sam upalny dzień, piątego sierpnia 1942 roku, wysiedlano internaty z Dzielnej, Ceglanej, Twardej, Dzikiem, Mylnej — tysiące dzieci i ich personel wychowawczy i lekarski. W budynku na Śliskiej zostały kotły dymiące z niedopitą kawą, nieład nieposłanych łóżek i czerwone pelargonie w skrzynkach okiennych, podlewane do ostatniego dnia ręką Korczaka. Jakiś chłopak, dawny wychowanek Domu, pakował śpiesznie papiery Doktora do jego starej walizki spod łóżka.

Po wyparciu Niemców z Polski ukazało się kilka wspomnień o Korczaku, „Poemat” Zechentera i zapewne też inne poezje, audycja radiowa uczciła jego śmierć bohaterską, a potem nastąpiły lata milczenia. Nikt nie śmiał wymieniać jego imienia. System wychowawczy oparty na indywidualnym, moralnym postępie, myśl wychowawcy wybiegająca poza świat widzialny, jego nienazwane nadzieje nie były w linii marksizmu. Nie ku rewolucji, ani ku walce klas prowadziły szczeble wieży, której rysunek zauważyłam, przed laty, na tablicy Domu Sierot na Krochmalnej. Nawet bez żadnego credo wyznaniowego, przyjęcie jakiejś rzeczywistości niezależnej od bytu materialnego było odstępstwem i zdradą obowiązującej marksistów dyscypliny. Pamiętam jedno z dorocznych pożegnań dzieci, opuszczających zakład na Krochmalnej, przemówienie Doktora brzmiało mniej więcej tak:

„Jakimi słowy, mamy was żegnać dzieci, przed długą i niebezpieczną podróżą, którą nazywamy życiem? Nic wam nie damy... Nie damy wam Boga, bo go sami odszukać musicie we własnej duszy, w samotnym wysiłku... Nie damy wam Ojczyzny, bo ją odnaleźć musicie własną pracą serca i myśli, nie damy wam Miłości, bo nie ma miłości bez przebaczenia, a przebaczać to może, to trud, który każdy sam musi podjąć. Damy wam jedno: tęsknotę za lepszym życiem, którego nie ma, ale kiedyś będzie, za życiem Prawdy i Sprawiedliwości. Niech ta tęsknota doprowadzi was do Boga, Ojczyzny, Miłości”.

Nie wszyscy zapewne z tych, co przekraczali wtedy próg Domu Sierot dosłyszeli te słowa Pana Doktora, ale kto je dosłyszał, ten je na pewno zapamiętał i do dziś dnia pamięta.

Chciałabym w końcu upomnieć się o pamięć pani Maryny Falskiej, długoletniej współpracownicy Korczaka, kierowniczkę Naszego Domu na Bielanych. Pani Olczakowa nie znała jej chyba bliżej, ani jej się nie przyjrzała w obcowaniu z dziećmi, jeżeli

mogła napisać, że pani Maryna była oschła. Była smutna, nie umiała żartować z dziećmi jak Doktor, ale uścisk jej ręki, spojrzenie i uśmiech, który rzadko pojawiał się na jej wąskich wargach, były nieopisaniejszą tkliwości i mocy. Ona to spisała z opowiadań najmłodszych dzieci *Wspomnienia z Malenki*.

Nieporozumienie, które w ostatnich latach poróżniło Korczaka z panią Falską, powstało na tle rozbieżności poglądów pedagogicznych. Pani Maryna, o ile się nie mylę, nie odmieniła systemu, jak pisze Hanna Olczakowa, ale przeciwnie, nie chciała się zgodzić na daleko idącą i zbyt nagłą reformę dotychczasowych metod, reformę, którą Doktor zamierzał wprowadzić do obu domów. Może były też inne przyczyny, o których nikt poza ich dwojgiem nie wiedział. Ale przypuszczać, że dymisja Korczaka z Rady Pedagogicznej Naszego Domu, po piętnastu latach najściślejszej współpracy, była wywołana presją sfer rządowych, od których zależały fundusze sierocińca, że ta presja antysemitka wyszła jakoby z Komitetu Opiekuńczego „pań sanacyjnych” — jak je p. Olczakowa nazywa — jest nie do przyjęcia. Przewodniczącą tego Komitetu od 1926 r., serdeczną opiekunką Naszego Domu była Marszałkowa Piłsudska, nie wymieniona w tej książce. Powyższa więc insynuacja dotycząca i jej osoby jest równie fałszywa, jak krzywdzące jest przypuszczenie, że pani Falska, kobieta wielkiego serca i nieposzlakowanego charakteru, mogłaby ulec tego rodzaju presji.

Że tak nie było, że być nie mogło, świadczy chociażby to, że swój pamiętnik, przekazał Korczak, przewidując bliski swój koniec, nie komu innemu jak pani Marynie Falskiej; ostatnie jego słowa przechowały się bowiem zamurowane w podziemiach Naszego Domu.

Pani Maryna Falska umarła na serce, w ostatnich dniach Powstania Warszawskiego, w październiku 1944.



Po latach przemilczania i dyskryminacji „Nasza Księgarnia” podjęła się ostatnio wydania wyboru pism Janusza Korczaka w 5-ciu tomach, z przedmową Igora Neverly’ego; ma tam się pojawić również niedrukowany dotychczas Pamiętnik Korczaka oraz odnaleziony tekst „Senatu Szaleńców”, sztuki wystawianej przed laty w teatrze Ateneum przez Jaracza.

Pierwsze dwa tomy tego „Wyboru”, na które składają się pisma pedagogiczne, są już w sprzedaży.

Maria CZAPSKA

Więzien bławatków

W latach trzydziestych pojawił się w Polsce ruch literacki, *autentyzm*. Jego głównym teoretykiem był Stanisław Czernik, obok którego należy wymienić nazwiska dwu poetów: Andrzeja Frasika i Jana Bolesława Ożoga. Wystąpieniem swym przypomnieli autentyci sprawę ważną, ale oczywiście dla każdego poety, mianowicie rolę konkretnego utworu poetyckiego. To co mogło być stać się od biedoty tematem wakacyjnego artykułu, rozdmuchali do rozmiarów „ruchu”, czy „prądu” literackiego. Zalecali między innymi powrót do rzeczowości, do korzystania z gotowego i sprawdzalnego materiału poetyckiego, jakim jest natura. Równocześnie wystąpili ostro przeciw tym poetom, którzy „zmyślają”, przeciw tym, którzy — jak się wyraził jeden z autentystów w czasie programowego odczytu — „zapatrzeni w łyżkę wody, piszą o oceanach”.

Jak widzimy poetyka autentystów była na wskroś minimalistyczna. Cechowała ją nieufność wobec eksperymentu. Zamiast uczestniczyć w problemach ówczesnego życia literackiego, zamiast odkrywania, zalecała odwrót pod skrzydła czystej natury. Dodajmy, aby obraz był całkowicie zrozumiały, jeszcze jedno: autentyci związali się programowo z wsią.

Krytyka, jak również nieliczni czytelnicy tomików poetyckich przyjęli poezję autentystów z sympatią. Była prosta i naprawdę ludowa. Od wierszy Skamandrytów, od wierszy Awangardy — obu szkół wyrosłych na gruncie miejskim — poezja ta odbijała świeżością i gospodarskim, chciałoby się rzec sarmackim, podejściem do ziemi. Każdy z tomików wyżej wymienionych poetów był wiklinowym koszem przynoszonym na targ do miasta, koszem pełnym zdrowych papierówek, piwonii i główek sałaty, pełnych jeszcze rannej rosy.

Wojna i lata powojenne rozbiły wszystkie grupy poetyckie i o autentyzmie nie było już więcej mowy. Dlatego też z prawdziwą ciekawością otwierałem *Wiersze Wybrane* (I) Jana Bolesława Ożoga, przynoszące bogaty przegląd twórczości poety-autentysty.

Po przeczytaniu tomu, zdałem sobie sprawę, iż w ciągu niemal dwudziestu lat dzielących pierwsze wiersze Ożoga (*Wyjazd Wnuka*, 1937) od ostatnich, sprzed dwu, trzech lat, tylko jedno uległo zmianie: wiersz nabrał gładkości. Poza tym wszystko zostało po staremu. I stąd tytuł mej recenzji. Bowiem przez sto osiemdziesiąt cztery strony swego tomu poeta jest bezsilnym, co więcej, szczęśliwym więźniem ukochanych ziółek dzieciństwa, owych ślazów, malin, bławatków, wisiemek, glicynii, georginii, jaśminów, czeremch, powojów, maków i znowu malin, grusz i kalin — i tak bez końca.

Może poeta zasiąść do wiersza o wojnie („Gwiazdom”, str. 65), ziółka

nakażą mu porównanie: „czarne bomby — jagody”. Może chce zapisać wierszem wywożenie ludności przez okupanta w wagonach bez okien („Pojadą wagony”, str. 72), ale znowu ziółka („gałazki, jagody gradu” i „głogi” i „fiolki”) osłodzią wiersz, czyniąc zeń istny klomb, w którym toną tragiczne wagony.

Uwierzywszy, że wystarczy wyrażać ziemię i jej widzialne piękno, aby poezja była autentyczna, zgromadził Ożóg wiele słów „sielskich-anielskich”, z których układa wiersze. Cóż z tego, że są to słowa-konkrety, coś z tego, że barwy są świeże? Wybrane jeszcze okiem pacholęcia, pochodzą z wąskiego i kruchego świata doznań łatwych i powierzchownych. Nie wzbogacenie o dystans męskiego widzenia, upraszczają obraz wsi, czyniąc z niej arkadyjski malunek.

Nie tylko jednak wieś wychodzi zubożona z ozogowego warsztatu. Obawiam się, że wszechmocne ziółka utrudniają poecie w ogóle wyjście poza wiersz-obrazek.

Jak bardzo liczni poeci polscy, próbował i Ożóg wiersza „socjalistycznego”. Ale i tym razem górę wzięły ziółka. *Motyw* z *PGR* (str. 133) jest bowiem pretekstem, aby powrócić do „rzeki”, „tataraku” i ulubionych „plastrów trzmiech”. Podobny los spotkał Nowinę idącą ze Wschodu. Wpuszczona w wiersz Ożoga, wyszła zeń ziółkami: Róża Łada, wróciwszy z Rosji, opowiada poecie o „dyniach”, „melonach”, „kawonach”... I o tym, że przywiozła sobie stamtąd nasiona, w chusteczce. I wiersz kończy się pointą:

— Powiedźcie mi — z muru przy kielni
przez dwa się przechyla ogrodny
przewodniczący spółdzielni,
Jas Klap, roześmiany i młody —

czerwone torebki papryki
na listkach w ogródku u progu?
Ach, Róziu, a skąd to? Z Afryki?
— Z Afryki? Nie, nie! Z Taganrogu!...

Podobnie, nieco dalej, „Wisła tuli Nową Hutę w dziewanny...” (str. 158).

Cytuję te linie „apolitycznie”, pragnąc jedynie pokazać wszechwładzę elementu kwiatowo-warzywnego w twórczości Jana Bolesława Ożoga.

W warsztacie poety można natrafić na łatwizny. Czymże innym jest np. porównanie zięby do gołębia? („U bantów jak gołąb — zięba”, str. 114). Jeszcze bardziej rażą i dziwią w wierszach poety-autentysty takie wyrażenia jak np.:

...i dzwoni cyna kielni” (str. 158).

Ze dzwoni, zgoda, ale czy naprawdę cyna? Albo gdzie indziej („Młoc-ka”, str. 114), gdy poeta pisze o białych snopach zboża, że idą tak niechętnie w tryby młockami,

„jak krowy do wólu...”

I jak się tu dziwić niechęci krowy? Autentysta powinien jednak wiedzieć, że mężem krowy nie może być wół.

Tak, jak dwadzieścia lat temu, *Wyjazdem Wnuka*, Jan Bolesław Ożóg próbował opuścić wieś, aby sielskiemu natchnieniu przydać nowych wartości — tak teraz, jeżeli chciałby uczynić krok następny, winien by napisać *Porzucenie kwiatków*. Dotychczas bowiem poeta pisał urzeczony wszystkim co kwitnie i fruwa. Czas, żeby botanika i zoologia przestały być dla niego religią, pozostając natomiast bogatą i czułą wiedzą. Czas też, żeby poeta zdał sobie sprawę również i z tego, że upieranie się, choćby nawet „programowe” przy fujarce — w czasie gdy Bartok, Milhaud i Strawiński zeszli już między maluczkich — jest niepokojącym opóźnieniem.

Marian PANKOWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

WYDAWNICTWA EMIGRACYJNE I ZACHODNIE

MANDEL (Arnold). *Les vaisseaux brulés*. Roman. Pp. 270. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1957).

SPERBER (Manès). *Le talon d'Achille*. (Essais). Pp. 260. Collection „Liberté de l'Esprit”, dirigée par Raymond Aron. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1957, frs 771).

RUNES (Dagobert D.). *A book of contemplation*. Str. 149. (Wyd. Philosophical Library, New York, 1957, cena dol. 3).

SOLSKI (Wacław). *Rysy twarzy*. Str. 251. (Nakładem Czytelników, W. Brytania, 1957, cena 16 sh.).

KEDZIORA (Juliusz). *Szymon syn Jony*, Portret człowieka. Str. 286. Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas”, jako tom XXXIII Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, lipiec 1957, cena 15 sh.).

KOSSOWSKI (Jerzy). *Śmierć w słońcu*. Powieść. Str. 212. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, jako tom XXIX Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, czerwiec, 1957, cena 15 sh.).

JANTA (Alexander). *Barriers Into Bridges: Notes on Polish Culture in America*. Str. 79-97. Odbitka z „The Polish Review” Vol. II, No 2-3, 1957, New York).

SW. TERESA OD DZIECIĄTKA JEZUS. *Dzieje duszy*. Rady i wspomnienia — Modlitwy — Listy. Przełożyła Zofia Romanowiczowa. Str. 362. (Nakładem Kat. Ośr. Wyd. „Veritas” w Londynie, sierpień, 1957, cena 15 sh. Tom IX, Serii Niebieskiej „Biblioteki Polskiej”).

ZAREMBA (Zygmunt). *Wojna i konspiracja*. Str. 347. (Wyd. B. Świderski, Londyn, 1957).

LAUDAN (Stanley). *The White Baton*. Str. 196. (Wyd. Allan Wingate, London, 1957, cena 13/6).

ZANIEWSKI (Romuald). *L'Origine du Proletariat Romain et Contemporain*. Faits et Théories. Nouvelle édition augmentée. Introduction par C. Van Gestel, O.P. Pp. 398. (Ed. Nauwelaerts, Louvain, — Paris, 1957).

SKOK (P.). *Sur quelques noms de lieu d'origine ukrainienne en Roumanie*. Pp. 16. (Onomastika No 13. (Wyd. L'Academie Ukrainienne Libre des Sciences, Winnipeg, Canada, 1957).

RUDNYČKYJ (J. B.). *Canadian place names of ukrainian origin*. Wyd. III. Str. 96. (Onomastika No 2. Wyd. Ukrainian National Home Association, Winnipeg, Kanada, 1957).

Ukrainica Canadiana 1955. Compiled by J. B. RUDNYČKYJ and D. SOKULSKY. Str. 32. Seria: „Bibliography” No 3. (Wyd. Ukrainian Canadian Committee. Winnipeg, Kanada, 1956).

BACZKOWSKI (Włodzimierz). *The Chimera of a Soviet Thermidor: A Historical Analysis*. Pp. 326-342. (Odbitka z Nr 3, tomu I. Quarterly Journal of World Affairs, Wyd. Foreign Policy Research Institute, University of Pennsylvania, USA, 1957).

GAŚSIOROWSKI (Zygmunt J.). *Polish - Czechoslovak Relations, 1922-1926*. Str. 473-504. (Odbitka z Nr 85, Tomu XXXV „The Slavonic and East European Review”, W. Brytania, 1957).

WYDAWNICTWA KRAJOWE

STRYJKOWSKI (Julian). *Głosy w ciemnościach*. Wydanie II. Str. 429. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1957, zł 24).

STRUMPH WOJTKIEWICZ (Stanisław). *Traugutt*. Str. 782. (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1957, zł 30).

Pamiętnik wydany na setne zebranie Kola w dniu 12 października 1957 roku. Str. 16. (Wyd. Koło Przyrodników im. M. Kopernika w Edynburgu).

DOBRACZYŃSKI (Jan). *Gwałtownicy*. Wyd. II zmienione i poszerzone. Str. 331. (Wyd. PAX, Warszawa, 1957, zł 35).

YAKEMTCHOUK (Romain). *La Ligne Curzon et la II Guerre Mondiale*. Pp. 135. (Ed. Nauwelaerts, Louvain — Paris, 1957).

BRAHA (Svmon). *Mickewicz and a Whiteruthenian Trend in Polish Literature*. Str. 32. (Wyd. Whiteruthenian Institute of Arts and Sciences, New York, 1957).

Proceeding. Vol. II. Str. 64. (Wyd. Sekcja historyczno - filozoficzna Naukowego Towarzystwa Szewczeni, Paryż, New York, Toronto).

SEP - SZARZYŃSKI (Stanisław). *W służbie latającego smoka, oraz FACZYŃSKI (Jerzy). Szkielet wojenny*. Rysunki. Ogółem str. 178 plus 6 nlb plus 17 ilustracji poza tekstem i 7 rysunków w tekście. (Wyd. GRYF Publications, Ltd., Londyn, 1957).

MANDRYKA (M. L.). *Shewchenko and Franko*. Str. 21. (No 3. Seria „Literatura” Ukrainkiej Wolnej Akademii Nauk, Winnipeg, Kanada, 1957).

First Population Census of Sudan 1955/1956. Interim Report. (Wyd. The Republic of Sudan, Ministry for Social Affairs. Populations Census Office, Khartoum, wrzesień, 1957).

SEIDER (Grzegorz - Leopold). *Doktryny prawne imperializmu*. Str. 218. (Wydawnictwo Naukowe, Warszawa, 1957, zł 22).

HUSZCZA (Jan). *Z dalekich dróg*. Str. 294. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1957, cena zł 15).

DUNAROWSKI (W.). *Maska na twarzy*. Str. 245. (Wyd. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa, 1957, cena 10 zł).

SZCZEPAŃSKI (Jan Józef). *Pojedynek*. Str. 208. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1957, cena zł 8).

VOGLER (Henryk). *Ocalony z ochlani*. Str. 144. (Wyd. „Śląsk”, Katowice, 1957, cena zł 6,50).

Listy do Redakcji

Warszawa, dnia 20 września 1957 r.

Do Redakcji „Kultury” w Paryżu,

W numerze lipcowym - sierpniowym „Kultury” br. ukazał się list Józefa Mackiewicza, w którym autor rzucił szereg oszczerstw na osobę Jerzego Wrońskiego. My niżej podpisani członkowie b. Komendy Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej oraz b. Delegatury Rządu R.P. na Woj. Wileńskie kategorycznie protestujemy przeciwko wypowiedzi p. J. Mackiewicza o naszym koledze i współtowarzyszu broni z czasów okupacji.

Stwierdzamy, że byliśmy w bliskim kontakcie z kol. Jerzym Wrońskim w związku z czym możemy dać bardziej pełną i prawdziwą ocenę jego działalności i postawy.

Czujemy się w obowiązku stwierdzić publicznie, że kol. Jerzy Wroński niczym nie uchybił godności prawego Polaka i lojalnego członka Armii Krajowej.

Listem swym p. J. Mackiewicz jeszcze raz udowodnił płytkość swego rozumowania politycznego, całkowity brak rozeznania w przebiegu walki konspiracyjnej na Ziemi Wileńskiej w latach minionej wojny oraz brak skrupułów moralnych.

Prosimy o publikację naszej wypowiedzi.

Lubosław KRZESZOWSKI

b. Szef Sztabu i kmdt. Okręgu Wileńskiego AK

Dr Jerzy DOBRZAŃSKI

b. zastępca Delegata Rządu RP na woj. Wileńskie
i b. redaktor „Niepodległości”

Caracas, 28. 9. 1957.

Szanowny Panie Redaktorze,

Upieramie proszę o łaskawe zamieszczenie na łamach Pańskiego poczytnego miesięcznika „Kultura” kopii listu jaki wysłałem do redaktora londyńskiego „Tygodnika” i który od kilku miesięcy zbywa go milczeniem.

Łączę wyrazy wysokiego szacunku i poważania.

Józef JENNE

„Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z zamieszczeniem w Pańskim poczytnym piśmie „Tygodnik” w numerze z dnia 5 maja br. niezwykle a dotyczącej mnie nieścisłej informacji — dołączonej przez Pana do mojego artykułu pt. *Z innej pozycji* — bez mojej zgody i wiedzy, uprzejmie Pana proszę o zamieszczenie sprostowania następującego:

1) W sprawie wydrukowania mego artykułu pt. „Z innej pozycji” nigdy nie pisałem żadnej prośby, gdyż sam byłem o to proszony i Redakcja „Tygodnika” nie posiada takiego — ani żadnego innego w tej sprawie mego listu. Ogłoszenie drukiem jego — nigdy nie napisanej treści — byłoby chyba trudne... O napisanie artykułu dla „Tygodnika” byłem proszony przez osobę sympatyzującą z tym pismem, które zresztą od lat sam abonuję.

2) Nigdy nie byłem sekretarzem Komitetu PPR Warszawa-Śródmieście, co mi „Tygodnik” laskawie przypisuje. Jest natomiast prawdą, że jestem byłym działaczem przedwojennej PPS. Później PPR, i że z tej pozycji — do roku 1948 — zajmowałem szereg różnych i znacznych stanowisk.

3) Uartę twierdzenie („wybrał wolność”) jest tu nieścisłe — bo aby to móc uczynić najpierw trzeba być zagranicą. Ten rodzaj wybierania wolności jest jedynie udziałem: naukowców, dyplomatów, pisarzy i artystów, którzy w chwili wybierania wolności będąc nawet na ulicach Paryża i Nowego Jorku jeszcze mieli potężnego „pietra” i szeroko się o nim rozpisywali. Ja, po prostu — tak jak to opisywał Stanisław Mikołajczyk — zbiegłem „z brzytwą w kieszeni” po półrocznej tułaczce na Wybrzeżu — jako rybak i żebrak. Gdyby moja ówczesna postawa w warszawskiej organizacji PPR nie groziła ciężkim więzieniem, niewątpliwie pozostałbym w kraju. Ale dalsza — z tej pozycji, walka o Polskę i demokrację — była już bezcelowa. PPR, która miała być partią niekomunistyczną i, według słów obecnego sekretarza PZPR Władysława Gomułki w Polsce miało nie być kołchozów — stawała się coraz bardziej komunistyczną. Można to uważać za bajkę i oceniać — z bezpiecznej odległości — jak się chce, ale to są fakty. W kraju, na wiele rzeczy patrzy się inaczej i inaczej się je ocenia niż zagranicą. Tak jak wszyscy uwierzyliśmy — w pierwszy poryw Października — tak w kraju w latach czterdziści pięć — siedem uwierzano w pierwszy poryw PPR. Jednak rzeczywista rzeczywistość była inna i wtedy zaczęliśmy odmawiać jej swego poparcia. W „Kulturze” pisał o tym uczciwie ktoś, kto był szefem kancelarii cywilnej Bolesława Bieruta. Jego relacje były bezstronne i najbardziej odpowiadające prawdzie (wszystkie przypiski do kopii listu, moje).

4) Nigdy nie byłem członkiem Rady Politycznej, i wszelki w niej udział PPS uważałem i uważam za błąd taktyczny jej kierownictwa.

5) Z akcją Bergu nigdy nie miałem nic wspólnego. Informacje polityczne jakich — po przybyciu z kraju — chętnie udzielałem każdemu, nie mają z tym nic wspólnego. A udzielanie ich kierownictwu mojej macierzystej partii było i moim obowiązkiem i dobrym prawem. Lecz moja zagraniczna przynależność do PPS była krótka. Po rozejrzeniu się w wolnym świecie i działalności kierownictwa mej macierzystej PPS, wystąpiłem z serią artykułów, które chciałem ogłosić drukiem w londyńskim „Robotniku” oraz artykułami dyskusyjnymi, do czego, miałem statutowe prawa. Jednak były i obecne kierownictwo PPS publikacji tych materiałów odmówiło i zabroniło mi drukowania ich w prasie obcej. Oświadczone mi, że te moje prace — w których „wyrażałem wolę mas robotniczych w Polsce” — są w ogóle szkodliwe; tak dla PPS, jak i dla klasy robotniczej. Na to zdumiewające oświadczenie odpisałem ostro. Że dla klasy robotniczej szkodliwe jest takie stanowisko CKZ PPS a nie moje artykuły.

W następstwie tego, zostałem z listy PPS skreślony — bez podania jakichkolwiek dalszych motywów — i bez jakiegokolwiek komedii sądu. Czyli potraktowano mnie nie gorzej i nie — lepiej jak to się dzieje w partiach komunistycznych. Taka była moja istotna działalność polityczna zagranicą.

Skąd redakcja „Tygodnika” uzyskała informacje sprzeczne z moimi powyższymi oświadczeniami jest już tajemnicą redakcji „Tygodnika” (który obecnie obraca się na jakims — dziwnym biegunie. Wszystkie dopiski do kopii listu moje własne).

Dziękując za zamieszczenie powyższego, pozostaję z wyrazami szacunku i poważania”.

Paryż, 18-go listopada 1957

Wielce Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W liście ogłoszonym w listopadowym numerze „Kultury” p. Aleksander Bocheński każe nam chwalić Piaseckiego i jego „liberalizm” za to, że w okresie stalinowskim Pax a) wydawał zachodnie książki; b) chronił ludzi przed prześladowaniami; c) głosił światopogląd chrześcijański.

Równie dobrze można by podziwiać „delikatność” włamywacza, który pracuje w rękawiczkach i wychodząc z obrabowanego mieszkania cicho zamyka za sobą drzwi.

Kluczem do zrozumienia sprawy Pax'u jest odpowiedź na pytanie, dlaczego stalinowcy dali Piaseckiemu szeroki monopol na reprezentację katolików w Polsce i zagranicą, na wydawnictwa, prasę, organizacje, niezależne finanse i wyjazdy na Zachód. Pamiętajmy, że jednocześnie odbywały się rugi biskupów, publiczne procesy i zamykania księży, konfiskaty pism katolickich i likwidacja nauki religii. (Pax naturalnie zawsze skwapliwie wszystkim tym prześladowaniom przyklaskiwał).

Otóż z komunistycznego punktu widzenia była to wówczas bardzo rentowna operacja. Albowiem co dawał Pax w zamian za tyle łask komunistycznych? W kraju Pax stwarzał pozory dobrowolnej współpracy niekomunistycznego, katolickiego społeczeństwa i części kleru z reżymem, osłabiając w ten sposób opór narodu polskiego wobec stalinizmu. Zagranicą zaś wysłannicy Paxu, pozując na autentycznych przedstawicieli katolicyzmu, stwarzali pozory rzekomego liberalizmu reżymu, zaślanając niejako własną osobą ponure praktyki stalinizmu przed opinią Zachodu i zachwalając je jako szczęśliwy przykład współpracy Kościoła z komunizmem. Trudno o bardziej szkodliwą robotę. I to chciałby p. Bocheński usprawiedliwić jakimś książkami Paxu? Czy tylko za taką cenę można było te książki wydawać i „głosić chrześcijański światopogląd poza murami kościołów”?

I jeszcze jedno. Pod koniec wojny gestapowcy chcieli się wylgać od odpowiedzialności za swe zbrodnie pomagając paru nieszczęśliwcom uniknąć losu milionów hitlerowskich ofiar. Niechże nam p. Bocheński zaoszczędzi widoku Paxowiczów zaślanających się dziś w podobny sposób przed gniewem narodu swą wyrachowaną pomocą dla ofiar stalinizmu! Zdawałoby się, że pomoc prześladowanym to normalny odruch solidarności ludzkiej. Może na szalach niebieskich zaważy kiedyś ta okoliczność na korzyść rozbijaczy kościoła, ale przed nami się tym nie chwalcie.

Dziwi się też p. Bocheński na końcu swego listu, że oburzamy się na bogactwa jakimi Pax się afiszuje. Trudno — nas raża na tle nędzy polskiej te samochody, wille, futra i srebra, koniaki i wina, przyjęcia w lokalach, podkupywanie ludzi i organizacji — tak samo jak raziły nas podobne

luksusy i metody Natolina. Zapewne w oczach p. Bocheńskiego to też potrzebne jest p. Piaseckiemu dla jego liberalizmu...

Październik zakończył rządy stalinowców, ale Pax pozostał. Nie może on już dziś występować pod płaszczykiem katolicyzmu; nie gra też już z gruntu fałszywe hasło: „idźmy na wszelkie ustępstwa, ratujmy co się da”. To nie poprzez tego rodzaju „ugodowość” doszło do uratowania Polski w Październiku. Ukazuje się, że między szaleńczym bohaterstwem à la Węgry i upodlającą ugodowością à la Pax jest jeszcze inna droga dla narodu wobec przemocy. Ale wódz Piasecki po niej iść nie chce. Nie miałby tam komu przewodzić... Więc w imię wielko-polskiego patriotyzmu namawia dziś Pax Polaków do pójsia z powrotem, dobrowolnie, na sowiecką służbę.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania.

Z. MICHAŁOWSKI

Monachium, dnia 11 listopada, 1957 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Dzienniku Polskim” z dnia 31 października br. w notatce „Posłuchane” zacytowana została rzekoma instrukcja wydana przez Radio Wolna Europa w marcu 1956 r. dla Zespołu Polskiego w Monachium. Instrukcja ta miała zobowiązywać „Głos Wolnej Polski” do propagowania Titoizmu.

Notatka „Dziennika Polskiego” zmusza mnie do stwierdzenia, że przytoczony tekst jest od początku do końca sfigowany, a rzekoma „instrukcja” pozostaje w całkowitej sprzeczności z linią polityczną „Głosu Wolnej Polski”.

Łączę wyrazy szacunku i poważania —



Jan NOWAK
Kierownik Rozgłośni Polskiej
Radia Wolna Europa

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIlswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4^e Trimestre 1957

HACHETTE

COLLECTION DU FLAMBEAU

jest podstawą każdej biblioteki

Najlepszy wybór tekstów wielkich pisarzy. Przedmowy i objaśnienie opracowane przez wybitnych specjalistów.
Piękna oprawa safianowa.

I. — TEATR

CORNEILLE	Théâtre	2 volumes
MOLIERE	Théâtre	5 volumes
RACINE	Théâtre	2 volumes
BEAUMARCHAIS	Théâtre	1 volume
MARIVAUD	Théâtre	1 volume
MUSSET	Théâtre	2 volumes
VIGNY, Chatterton.		

II. — POEZJE

LA FONTAINE	Fables	1 volume
VICTOR HUGO	Poésies	2 volumes
LAMARTINE	Poésies	1 volume
MUSSET	Poésies	1 volume
VIGNY	Poésies	1 volume
BAUDELAIRE	Poèmes	1 volume
G. de NERVAL	Le Rêve et la Vie	1 volume

III. — POWIEŚCI - NOWELE

MONTESQUIEU	Lettres persanes	1 volume
VOLTAIRE	Romans	1 volume
BENJAMIN CONSTANT	Cahier rouge. Adolphe	1 volume
MÉRIMÉE	Nouvelles	1 volume

IV. — PROZA - PAMIĘTNIKI

PASCAL	Pensées	1 volume
Mme de SEVIGNE	Lettres	1 volume
LA BRUYERE	Les Caractères	1 volume
SAINT-SIMON	Mémoires	2 volumes
ROUSSEAU	Confessions	2 volumes
CHATEAUBRIAND	Mémoires d'outre-tombe	2 volumes

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
FRANCUSKICH

HACHETTE

79, boulevard Saint-Germain, Paris (6^e)

Nowości

Biblioteka " KULTURY "

JUŻ SĄ W SPRZEDAŻY

TOM XXII

ANDRZEJ BOBKOWSKI

SZKICE PIÓRKIEM

(Francja 1940-44)

*Cena za całość w dwóch częściach (750 stron)
franków 1.800 (35 sh., dol. 5)*



TOM XXV

DANIEL BELL

PRACA I JEJ GORYCZE

(KULT WYDAJNOŚCI W AMERYCE)

Cena 400 franków (7 sh., dol. 1).

NOWA POWIEŚĆ

WACŁAWA SOLSKIEGO

RYSY TWARZY

wyszła z druku i jest do nabycia w księgarniach polskich.
*Czytelnicy, pragnący otrzymać książkę pocztą,
pisać mogą pod adresem :*

LIBELLA, 12 rue St.-Louis-en-l'Île,
PARIS IV^e, France.

Cena fr. 800, — sh. 16 — dol. 2.50

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTW KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
zamówienia.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I INNYCH KRAJÓW.

Na terenie Francji przedstawicielstwo :
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia :
Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301



POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Zapowiedzi wydawnicze

TOM XXIV

Biblioteki "KULTURY"

ALEKSANDER HERTZ

Amerykańskie Stronnictwa Polityczne

(Mechanizm demokracji)

NIECO HISTORII — AMERYKAŃSKIE FILOZOFIE POLITYCZNE — STANY ZJEDNOCZONE JAKO SCENA DZIAŁALNOŚCI PARTYJNEJ — SYSTEM DWUPARTYJNY — PARTIE W LICZBACH I FAKTACH — INTERESY I POLITYKA — APARAT WIELKIEJ ROZGRYWKI — WIELKA ROZGRYWKA — DEMOKRACJA PRZEZWYCIEŻA SWE KRYZYSY

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji :

91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15 th St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, «Liberia Polaca», Serrano 2076, Buenos Aires	22,50 peso	135 peso	270 peso
AUSTRALIA : «Vistula» (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
BELGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA : Prenumeraty przyjmują : Julia Barcinska, r. Itaipava 101 (J. Botânico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba Parana; Hanna Leksyska, r. Guira 139, vila Pompeia, Sao Paulo ..	40 cruz.	200 cruz.	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Krolkowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d. 220 fr.	21 sh. 1.100 fr.	42 sh. 2.200 fr.
FRANCJA : «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-4	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta poczt. 13500 — t.b.v.s. 6538			
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 220 Howard Park Ave, Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W, Toronto Ont.; K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel.: HY-3829; Vatra Trade, 277 Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man.; «Zwiastkowiec», 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel.: LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, A. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY : «Ostatnie Wiadomości», Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	2,50 DM 3 sh 9 d.	13,50 DM 21 sh.	25 DM 42 sh.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél. : 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431			
SZWECJA : Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, California; M.K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1471 Lakeland Ave., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; Polish Amer. Book Co 1136 Milwaukee Ave, Chicago 22, Ill.; The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich.	75 cent. 3 sh 9 d.	4 dol. 21 sh.	6 dol. 42 sh.
W. BRYTANIA : «Gryf» Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	300 lir	1.750 lir	3.000 lir
WŁOCHY : Aleksander J. Mikucki, Viale Parioli 124, int 12, Roma. Tél. : 87-10-27			

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres : Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Zapowiedzi wydawnicze

BIBLIOTEKA "KULTURY"

Tom XXIV

ALEKSANDER HERTZ

AMERYKAŃSKIE STRONNICTWA POLITYCZNE

(Mechanizm demokracji)



Tom XXVI

JAN WINCZAKIEWICZ

IZRAEL W POEZJI POLSKIEJ

(Antologia)



Tom XXVII

MILOVAN DJILLAS

NOWA KLASA BIUROKRATÓW POLITYCZNYCH

(Analiza systemu komunistycznego)